DEMOKRACJA WALCZĄCA W AKCJI

Tusk użyje Trybunału Konstytucyjnego do zdelegalizowania partii Brauna?



Rozmowa „Do Rzeczy” z wiceprezesem Korony, Włodzimierzem Skalikiem



Czy kanclerz Friedrich Merz dotrwa do marca

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 47/707 16–22 LISTOPADA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

Reset z Rosją?

Co Polska na to?

PISZĄ: ŁUKASZ WARZECHA I ADAM WIELOMSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 8645d9a30d



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Cnota nieobecności

Najbardziej uderzającą cechą obecnych negocjacji Rosji z Ukrainą pod patronatem USA oraz poprzedzających je konsultacji międzypaństwowych z udziałem przedstawicieli Europy jest… nieobecność Polski. Tak jakby nikt się z głosem i stanowiskiem Warszawy nie liczył. Jakby stanowisko Polski w sprawie żywotnych interesów naszego państwa w ogóle nie musiało zostać wzięte pod uwagę.

Cóż, można się na to zżymać i złościć, ale brutalna prawda jest taka, że ową nieobecność Polska zawdzięcza sama sobie. Stawiając od początku 2022 r. tylko na jedną stronę, a więc na Ukrainę, i uzależniając losy własnego państwa od losów Kijowa, Polska skutecznie wyeliminowała siebie jako samodzielnego uczestnika gry międzynarodowej. Wydaje się, że w tej operacji pospołu uczestniczyła większość polskiej klasy politycznej. W gruncie rzeczy okazało się bowiem, że w Polsce mamy tylko dwie partie: berlińską (umownie nazwać ją można unijną) i waszyngtońską. To one na zmianę reprezentują Polskę. Tym samym polski wpływ na kształt negocjacji jest, krótko mówiąc, żaden. Jak na państwo, które przeznaczyło na wsparcie dla Ukrainy proporcjonalnie najwięcej, jest to wynik żałosny.

Pierwotnie obie polskie partie szły w tę samą, jedynie słuszną stronę. Powód był prosty: między Waszyngtonem Joe Bidena a Brukselą różnic praktycznie nie było. Przedstawiciele Zachodu byli przekonani, że nałożenie na Moskwę coraz dalej idących sankcji, połączone ze wsparciem finansowym i militarnym dla Ukrainy, przyniesie w rezultacie załamanie Rosji. Zachód dawał pieniądze, sprzęt i dane wywiadowcze, prezydent Wołodymyr Zełenski dostarczał ludzi, a wszystko to było okraszone odpowiednią dozą sloganów o potrzebie obrony demokracji.

To jest też dokładnie stanowisko rządu PiS z lat 2022–2023, z czego wynikało bezwarunkowe wsparcie dla Kijowa. Przegrana Ukrainy – a więc ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji i rezygnacja z członkostwa w NATO – miała oznaczać w domyśle katastrofę Polski. Podział był jasny i zero-jedynkowy. Moskwa to siły zła, agresji, imperializmu i chaosu, Ukraina to świetlany obrońca „naszych wspólnych wartości zachodnich". Było to stanowisko obu głównych polskich sił politycznych – swoim prowojennym zapałem politycy PiS próbowali wtedy dodatkowo jak najszybciej wkupić się w łaski Joe Bidena, licząc na to, że zostanie im zapomniane przywiązanie do Donalda Trumpa. Każdy, kto nie dość entuzjastycznie ową linię wspierał, okazywał się głosem Kremla.

Jednak czas mijał i pierwszy entuzjazm Zachodu wygasał. Okazało się, że Rosja jest znacznie bardziej odporna, niż to mogło się wydawać. Sankcje nie zdusiły rosyjskiej gospodarki, przeciwnie – doprowadziły do jej uniezależnienia, a dobre relacje z Chinami dały jej nowe rynki zbytu. Masowy napływ broni i danych na Ukrainę uniemożliwił wprawdzie Moskwie szybki sukces militarny, ale nie pozwolił na zasadniczą zmianę na froncie. Systematyczne niszczenie ukraińskiej gospodarki (np. kompletne zdławienie przemysłu hutniczego) oraz powolne odcinanie systemu energetycznego sprawiły, że Kijów znalazł się na progu załamania. Dodatkowo jego położenie pogorszyła niedorzeczna wojna USA i Izraela z Iranem – Amerykanie musieli przerzucić swoje siły oraz większość broni na Bliski Wschód i nad Zatokę Perską. Państwa europejskie nie są w stanie Amerykanów zastąpić.

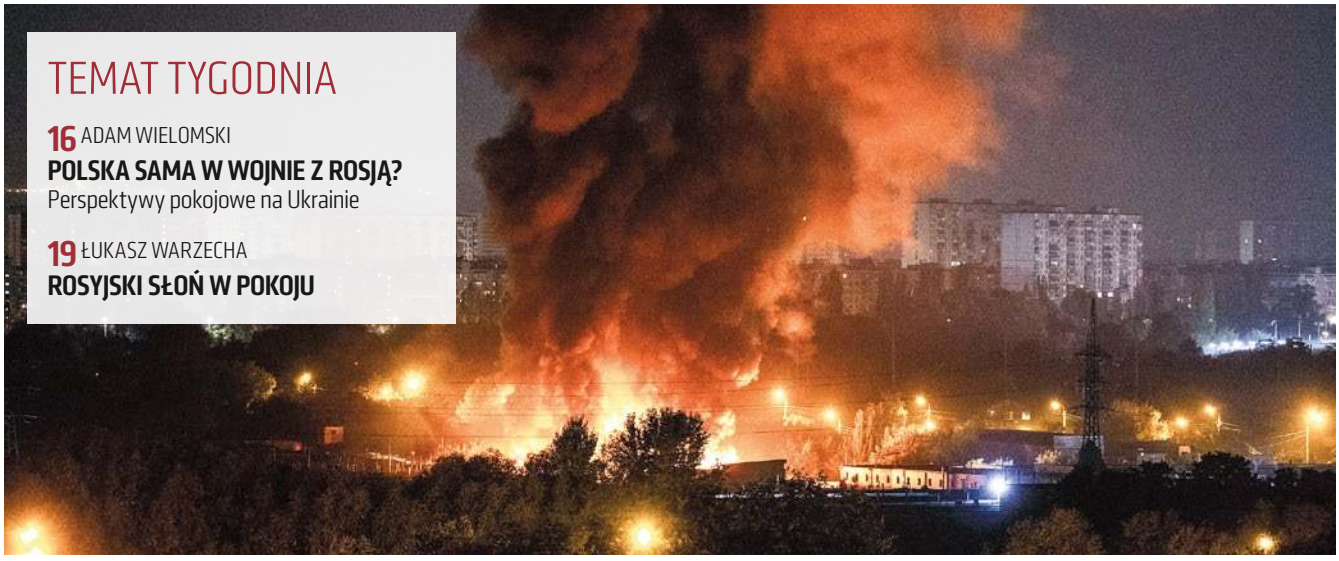
Mimo tego Europa Zachodnia cały czas podtrzymuje, przynajmniej oficjalnie, pierwotną, prowojenną linię. Najlepiej pokazują to wypowiedzi Ursuli von der Leyen, przewodniczącej Komisji Europejskiej, i Friedricha Merza, kanclerza Niemiec. Ta pierwsza stwierdziła, że celem rozmów w Abu Zabi musi być najpierw zawieszenie broni, a ten drugi ogłosił, że UE musi dać Ukrainie kolejnych 70 mld euro wsparcia. Jest to, z grubsza rzecz biorąc, stanowisko polskiego rządu, a więc partii berlińskiej.

Nieco trudniej zdefiniować postawę PiS, bo to nikt inny jak właśnie ich wcześniejszy bohater, Donald Trump, jest głównym zwolennikiem negocjacji z Rosją. Tak sam prezydent USA, jak jego urzędnicy dawno już nie mówią o zwycięstwie Ukrainy. Gwarancje bezpieczeństwa dla niej muszą zostać zaakceptowane przez Rosję (Marco Rubio), a Ukraina „będzie miała nieco zmieniony kształt" (Donald Trump).

Obie zatem główne polskie siły polityczne znalazły się w ślepym zaułku. Jedni trwają przy Berlinie, drudzy poruszają się po ruchomych piaskach. Nie mogą przecież przyznać, że ich antyrosyjskie stanowisko reprezentuje obecnie Berlin, a ukochany Waszyngton dogaduje się z człowiekiem, którego polski prezydent konsekwentnie nazywa „zbrodniarzem". Ci pierwsi wszędzie tropią „rosyjską narrację", ci drudzy opowiadają niestworzone historie o tajemniczym porozumieniu ukraińsko-rosyjsko-niemieckim.

Nic z tego dobrego dla Polski wyniknąć nie może. Trudno się jednak było spodziewać czego innego. Jest to efekt sytuacji, w której emocje (w tym przypadku rusofobia) i poddaństwo wobec obcych (czy Waszyngtonu, czy Berlina) zastępują troskę o interes własnego państwa. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



TEMAT TYGODNIA

16 ADAM WIELOMSKI
POLSKA SAMA W WOJNIE Z ROSJĄ?
Perspektywy pokojowe na Ukrainie

19 ŁUKASZ WARZECHA
ROSYJSKI SŁOŃ W POKOJU

KRAJ

22 ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM SKALIKIEM
WŁADZA CHCE WZIĄĆ POLAKÓW ZA PYSK
Tusk poszedł w zamordyzm jeszcze dalej niż Bruksela

26 PIOTR SEMKA
TUSK JAK SURFER – PŁYNIE NA FALI SPOŁECZNEGO NIEPOKOJU

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
CO WIADOMO O MICHALE OKSIŃSKIM, ZABÓJCY Z KRAKOWA

33 KRYSTIAN KRATIUK
MŁODZI SIĘ LAICYZUJĄ. TO MA KONSEKWENCJE

KULTURA

36 ROZMOWA Z JANEM BOROWCEM
NA SKRZYDŁACH WOLNOŚCI
Oddzielić fakty od legendy

38 PIOTR GOCIEK
MIEĆ PRZYSZOŚĆ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TRYBUNAŁ POLICYJNY – PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO TUSKA
Ostatnie pozory legitymacji moralnej

47 MIKOŁAJ DROZDOWICZ
BĘDĄ CHCIELI ZDELEGALIZOWAĆ PARTIĘ BRAUNA?

50 MICHAŁ ADAM SZYMAŃSKI
KARAĆ? ZAPOMNIEĆ? CO ZROBIĆ Z POLICJANTAMI SPOD TRYBUNAŁU?

52 WOJCIECH GOLONKA
ECHA AFERY EPSTEINA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
MARYJA WSPÓŁODKUPICIELKA? GŁOS KARDYNAŁÓW

HISTORIA

56 GRZEGORZ MAJCHRZAK
„SMUTNI PANOWIE" I OLIMPIADA W MONTREALU
Z dziejów poufnych polskiego sportu

ŚWIAT

62 JAN BOGATKO
CZY MERZ DOTRWA DO MARCA?
Dlaczego kanclerz Niemiec traci poparcie?

66 TERESA STYLIŃSKA
DEBREXIT – LONDYN WRÓCI DO UE?

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
KULISY UKRAIŃSKIEJ KARTAGINY

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃCZYCY SIĘGAJĄ PO KORONĘ
Czy BYD zdoła odebrać klientów europejskim gigantom?

74 ROZMOWA ZE STELLĄ LI
ZAMIERZAMY WYZNACZYĆ NOWE GRANICE LUKSUSU I TECHNOLOGII

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 8645d9a30d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **White House/Zuma Press/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Wojciech Golonka, „Święta wojna Zachodu", „DRz" nr 43/2026

Państwa tekst o oporze Unii Europejskiej i jej polityków wobec potencjalnego procesu pokojowego na Ukrainie nie sięgnął najgłębszego poziomu przyczyn, ale przede wszystkim skutków owego parcia unijnych elit ku przedłużaniu konfliktu. A jakie są owe najdalej idące skutki realnie przegranej w wojnie Ukrainy i Unii, pokazuje sama europejska historia. Rozmiar tej klęski będzie bowiem, patrząc na skalę zaangażowania w wojnę Zachodu, a zatem i na skalę poniesionych przezeń dotychczas kosztów i strat, nie do zrekompensowania, gigantyczny. W skali całej Unii to przecież łącznie nawet nie setki miliardów, ale najpewniej już biliony zmarnowanych euro, funtów i złotych. I oby tylko ich!

Dlatego historyczna klęska Unii w tej wojnie, jeśli, a raczej gdy już do niej dojdzie, przyniesie równie historyczne następstwa dla samego superorganizmu parapaństwowego, w który w ostatnich latach zmienia się UE. Wystarczy przypomnieć sobie los trzech cesarstw: Niemiec, Austrii i Rosji, gdy przegrały one swoją wojnę. Kiedy w roku 1918 przyszło w nich do realnego, w żywej gospodarce i polityce, sporządzania bilansu, w tym finansowego, do rozliczania strat, a zatem winnych, imperia te po prostu się rozpadły, na liczne niezależne państwa. Także dlatego, że ich elity i ich myśl ideologiczna, imperialna splajtowały i tym samym straciły rację bytu.

To samo nastąpiło w roku 1989, gdy swoją 70-letnią walkę o panowanie nad światem przegrał, po swej plajcie, Związek Sowiecki. I też się w efekcie szybko całkowicie rozpadł, pod naporem rozczarowanych i wściekłych sił odśrodkowych. Rozpadł się w dodatku równie gwałtownie także dlatego, że lokalne elity postanowiły dla zachowania przynajmniej części władzy i pieniędzy przejść z internacjonalizmu w skali imperium na nacjonalizmy w skali państw „narodowych", a na pewno etnicznych. W ten np. sposób sowiecki minister spraw zagranicznych Eduard Szewardnadze stał się błyskawicznie gruzińskim nacjonalistycznym przywódcą.

Prawa historii są nieuchronne i nużąco powtarzalne. Po tej obecnej wojnie, która już dawno dalece wyrosła ponad poziom skromnej „proxy war", identyczny rozpad przegranych, a w tym przypadku tym przegranym będzie najpewniej kontynentalne parapaństwo unijne, także stanie się nieunikniony, tym bardziej że na straty finansowe i polityczne nie do odrobienia już nakładają się w krajach Unii straszliwe skutki szaleńczej polityki ekologicznej, migracyjnej i obyczajowej. Pokój na Ukrainie i tym samym odzyskanie przez Rosję części jej dawnych wpływów oznaczać będzie zatem kompromitację, w efekcie upadek unijnych elit, krach ideologicznego i politycznego modelu forsowanego przez brukselską i berlińską kastę nietykalnych, której już nikt normalny nigdy nie uwierzy.

I wtedy to właśnie, raczej szybciej niż później, na kontynencie dojdzie do gwałtownej dekompozycji unijnej struktury ponadnarodowej. Bo tak było do tej pory w realnej historii ZAWSZE.

I to dlatego właśnie przywódcy UE tak obecnie prą do zakonserwowania ukraińsko-rosyjskiej wojny. Bo każdy jej dzień odwleka nieunikniony już, w dodatku bezwzględnie brutalny i nagły, upadek i odejście w historyczny niebyt i ich samych, i ich niewydolnego politycznego socjalistyczno-globalistycznego projektu. Który po tej wojnie zniknie, bo pod naporem kolejnych swych kosztownych porażek najzwyczajniej przestanie się państwom narodowym, ich ludności i ich nowym elitom opłacać.

Co powstanie w to miejsce? Tego nie wie dziś nikt. Ale jedno wiadomo prawie na pewno: Europa, a może tylko jej najbardziej pogrążona w kryzysach część, przejdzie najpierw, jak to kiedyś nazwał Pan Rafał A. Ziemkiewicz, okres (oby jak najkrótszy i jak najmniej krwawy) rozliczeń, a zatem „bałkanizacji". I przestanie na dekady liczyć się na geopolitycznej mapie świata. Tego właśnie boją się dzisiejsi jej władcy.

Historia wciąż się bowiem powtarza i warto o tym pamiętać.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Odpowiedź autora

Zgadzam się, że im bardziej UE angażuje się w tę wojnę – czasowo i finansowo – tym bardziej może być to konflikt o samą jej egzystencję. Nie przesądza to jednak o jej przyszłym rozpadzie. Albowiem gdyby o trwaniu tego tworu decydowała wyłącznie opłacalność dla poszczególnych państw członkowskich, ta sprzeczna z naturą suwerennych narodów konstrukcja dawno już by się musiała rozpaść. ***Wojciech Golonka***

eprasa.pl 8645d9a30d



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wielki sukces i co dalej?

Ilu ludzi szło w tegorocznym Marszu Niepodległości 11 listopada? Kąśliwa plotka głosi, że w celu ustalenia prawdziwej liczby uczestników pochodu należy dane podawane przez ratusz Rafała Trzaskowskiego – liczbę 250 tys. – pomnożyć przez trzy.

Ale żarty na bok. Ludzi było naprawdę ogromnie dużo. Gdy czoło pochodu mijało Stadion Narodowy, ostatni uczestnicy jeszcze czekali na wyruszenie z Ronda Dmowskiego. Ta demonstracja miała dwa wyraźne przesłania: zdecydowane wsparcie dla prezydenta Karola Nawrockiego i zdecydowaną krytykę koalicji Donalda Tuska. I w tym sensie ten marsz był wyraźnym ostrzeżeniem dla obecnego premiera. Ostrzeżeniem, że w razie prób Tuska pójścia na czołowe zderzenie z obecną głową państwa setki tysięcy Polaków znów gotowe są w każdej chwili przyjechać do stolicy i pokazać, komu ufają.

Jakby dla przypomnienia, z jakiego powodu obecny premier budzi aż tyle złych emocji, Tusk pokazał się na uroczystościach 11 listopada w Szczecinie, stojąc obok dwóch postaci mających kłopoty z prawem: Tomasza Grodzkiego i Stanisława Gawłowskiego. W trakcie szczecińskich uroczystości obu tym personom publicznie uścisnął rękę. Symboliczna to demonstracja.

Marsz Niepodległości w Warszawie, który połączył wszystkie siły sytuujące się na polskiej scenie politycznej po prawej stronie, był nieformułowanym wprost, ale wyraźnym sygnałem skierowanym do liderów partii prawicowych o współdziałanie.

I tu już, niestety, trudno o jakiś wyraźny optymizm. Owszem, pakt senacki jest ponoć dopinany na ostatni guzik. Ale były też dwa akcenty pokazujące, jak trudne jest porozumienie. Sławomir Mentzen maszerował w pochodzie na tle dużego baneru z napisem „Reset", z przekreślonymi twarzami zarówno Tuska, jak i Jarosława Kaczyńskiego. Wskazuje to, że lider Konfederacji i jej frakcji „Nowa Nadzieja" wciąż lansuje doktrynę „dwóch wrogów". A przecież policjanci z tarczami i w przyłbicach chroniący TK, aby mogła w nim rządzić sędzia Anna Korwin-Piotrowska, to jest polityczny konkret, a grzechy lidera PiS w grze o Trybunał to już przeszłość. Kaczyński nie ma już siły, by samodzielnie decydować o przyszłości TK. Ukazywanie go dziś jako takiego samego zagrożenia dla prób reformy Trybunału jak Tuska to wyłącznie zacietrzewienie.

Ale podobnie mało dyplomatyczne było ogłoszenie przy okazji wiecu przez Kaczyńskiego, że powstać powinna jedna lista wszystkich sił prawicowych w wyborach do Sejmu. Takich ofert nie składa się w wypowiedziach dla dziennikarzy. Taką propozycję sonduje się w rozmowach z innymi liderami partii prawicowych i dopiero potem się ją ogłasza.

To właśnie takie ciche kontakty, rozładowujące wzajemną nieufność między liderami prawicy, są teraz najbardziej pożądanym scenariuszem. Bo Marsz Niepodległości był wielkim sukcesem, ale to już przeszłość. A najbliższe 10 miesięcy to czas, gdy prawica musi nauczyć się ze sobą jakoś rozmawiać. ©℗



FOT. YOUTUBE.COM/@CMPAPOSTOLATE

PAPIEŻ LEON XIV Z PIELGRZYMKĄ W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

17 listopada planowane jest zakończenie 12-dniowej podróży apostolskiej Leona XIV. Jej celem były Urugwaj, Argentyna i Peru. W Buenos Aires papież upomniał rządzących, by opierali przyszłość kraju na trwałych fundamentach moralnych i prawnych. Mimo krytyki prezydent Javier Milei żegnał Leona XIV na lotnisku Ezeiza ze łzami w oczach. ©℗

W KRAKOWIE ZNÓW PADŁY STRZAŁY

W czwartek policja w Krakowie otrzymała zgłoszenie dotyczące mężczyzny, który miał trzymać przedmiot przypominający broń. Gdy patrol pojawił się w rejonie ulicy Bieżanowskiej, mężczyzna oddał dwa strzały w kierunku policjantów. Ci odpowiedzieli strzałami ostrzegawczymi. Mężczyzna rzucił się wówczas do ucieczki, ale szybko został obezwładniony. Nikt nie został ranny. Ze wstępnych ustaleń wynika, że 39-letni napastnik posługiwał się rewolwerem pneumatycznym zasilanym CO_2. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

Policja weszła do siedziby TV Republika

Nieumundurowani funkcjonariusze policji weszli w czwartek do warszawskiej siedziby Telewizji Republika, żądając m.in. wydania nagrań z przebiegu manifestacji przed Trybunałem Konstytucyjnym. Redaktor naczelny stacji odmówił spełnienia żądań. – W Polsce trwa zamach stanu organizowany z udziałem policji i wy oczekujecie, że my wydamy materiały po to, żeby policja mogła sama siebie bronić? [...] To jest skandal – oznajmił Tomasz Sakiewicz. Według komunikatu szczecińskiej KWP policjanci działania podjęli na polecenie Prokuratury Okręgowej w Szczecinie.

Również w czwartek prezes PiS Jarosław Kaczyński ujawnił, że służby wysłały pismo do telewizji wPolsce24 z żądaniem wydania nagrań spod Trybunału Konstytucyjnego. Potwierdził to redaktor naczelny Jacek Karnowski, który odmówił wykonania polecenia służb. „Boją się prawdy! Boją się wolnych mediów!" – napisał Jarosław Kaczyński w serwisie X. ©℗



FOT. YOUTUBE/TV REPUBLIKA

REKLAMA



eprasa.pl 8645d9a30d



PŁYWANIE W KISIELU

Oferta do odrzucenia

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Nikt – ani spośród zdeklarowanych wrogów Donalda Tuska, ani jego oddanych zwolenników – nie potraktował poważnie wygłoszonego w Dniu Niepodległości zaproszenia prezydenta na rodzinną Wigilię. Rzecz jest oczywista: takich zaproszeń nie wygłasza się publicznie, szczególnie jeśli oferta pojednania dotyczyć ma osoby, którą się wielokrotnie w najpodlejszy sposób atakowało. Żaden ze zwolenników premiera w prawdziwość jego oferty czy w jakiś zamiar deeskalacji napięcia z jego strony nie uwierzył. Wszyscy uznali, że to cyniczna sztuczka mająca pozwolić ogłosić prezydenta tym, który nie chce zgody – i właśnie dlatego strasznie im się ten ruch spodobał. „Znakomity ruch premiera! Majstersztyk! W obu wypadkach wygra na tej propozycji, nawet bardziej jeśli zostanie odrzucona!" – zachwycali się Tomasz Lis i liczni mu podobni.

Tusk kiedyś celował w takich zachowaniach. Nad stołem wyciągał do braci Kaczyńskich rękę i składał najpiękniej brzmiące deklaracje, że musimy się jako Polacy porozumieć dla wspólnego dobra, a pod stołem boleśnie kopał ich po kostkach. A potem rozkładał do kamer ręce i mówił: „Patrzcie, ja do Kaczyńskiego z sercem na dłoni, a on mi o jakichś »mordach zdradzieckich«. Widzicie, z kim ja się muszę męczyć?". Tyle że wtedy miał do brudnej roboty Niesiołowskiego, Palikota i innych. Oni hejtowali, a on udawał, że nie ma z tym nic wspólnego.

Dziś sytuacja jest nieco inna. To Tusk osobiście „polaryzuje", napinając strunę do granic możliwości i dalej. Nikt nie da się nabrać, że obrzydliwe pomówienia wobec prezydenta i jego rodziny nie mają nic wspólnego z Tuskiem. Choćby dlatego, że premier rozkochał się w mediach społecznościowych i łatwości, z jaką pozwalają one insynuować, poniżać w słowach i zniesławiać, za każdym razem dając w ten sposób sygnał gotowej do podchwytywania ich sforze. Tej właśnie, która zarechotała, że „kierownik" tak dowalił znienawidzonemu „batyrowi". Widzę w tej radości raczej „chciejstwo" niż realną ocenę dzisiejszej skuteczności Tuska. ©℗



#WARTO

Wiesław Kęcik. Gratulacje!

JAN POSPIESZALSKI

Życiorys uhonorowanego Orderem Orła Białego Wiesława Kęcika to gotowy scenariusz na film. Po ukończeniu jezuickiego studium rezygnuje z seminarium i trafia do podziemnej organizacji Ruch, z którą przygotowuje plan wysadzenia w powietrze Muzeum Lenina w Poroninie. Gdy okazało się, że w obiekcie znalazły się przypadkowe osoby, nie chcąc ryzykować ofiar, konspiratorzy odwołują akcję. W 1970 r. zostaje aresztowany i na procesie dopiero poznaje pozostałych członków Ruchu, w tym piękną Marzenę Górszczyk, której oświadcza się w milicyjnej „suce". Dostaje wyrok 3,5 roku więzienia, Marzena nieco mniej. Narzeczona obiecuje, że będzie na Wiesia czekać. Tak zaczyna się niesamowita historia kawalera orderu.

W orbicie tej pięknej rodziny znalazłem się w 1980 r., za sprawą stryja Antoniego Pospieszalskiego, dziennikarza BBC. W ich domu przy ul. Gimnastycznej 18 powstało centrum informacji Solidarności Rolników Indywidualnych. Po przystąpieniu Wieśka do KOR z tego domu SB wyprowadzała go wielokrotnie na kolejne 48 godzin. Stamtąd, nocą 12 grudnia, SB zgarnęła świętujących zaległe imieniny Wiesława, w tym solenizanta wraz z małżonką. Troje dzieci zostało pod opieką dziadków, a sąsiad młodych Kęcików (o ironio!), Czesław Kiszczak, przez okno widział osieroconych, bawiących się małych „wrogów ludu". W przypływie człowieczeństwa (?) zgodził się na odbywanie przez małżonków kary we wspólnej celi, z czego Marzena i Wiesiek skwapliwie skorzystali, powołując na świat czwartą pociechę. W 1984 r. wyemigrowali do Szwecji, skąd wrócili w 1991 r. Po powrocie Wiesiek pozostał na uboczu polityki, ale jako społecznik i świecki ewangelizator z pasją angażował się na rzecz potrzebujących i zagubionych. Na 80. urodzinach Wieśka spotkałem jego liczną, czteropokoleniową rodzinę, w tym syna – misjonarza i wnuka kleryka.

Drogi Wiesiu, nie wiem, czego bardziej gratulować. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Bezdomność Tuska



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Było to mianowicie tak, że premier Donald Tusk zaprosił prezydenta Karola Nawrockiego do siebie do domu do Sopotu (tak powiedział, słyszałem personalnie), żeby tam porozmawiać o sprawach dla Polski ważkich, żeby topory, spory zakopać, z rodziną przybyć zaprosił, opłatkiem się podzielić, jak miło, pięknie, och. Stop. Nie będę się tu zajmował aspektem pokracznym, że najpierw premier na policyjnych pałach wprowadza uzurpatorów-klakierów, którzy chcą udawać Trybunał Konstytucyjny, a potem mówi: „Ej, dobra, zapomnijmy, że sobie pobandytowałem, fajnie jest". Stop. Otóż fajnie nie jest, pobandytował sobie premier, raczej się o tym nie zapomni, ale ja o innym aspekcie sprawy. Stop. Otóż sytuacja jest tego typu, że Donald Tusk, niestety, obiektywnie biorąc, nie może nikogo zaprosić do siebie do domu, bo on nie ma domu. Stop. No nie ma. Stop. Nie ma w tym sensie, że nie ma, nie posiada ani domu, ani nawet mieszkania, nie tylko że w Sopocie nie ma, ale w ogóle nie ma. Stop. Można sprawdzić w jego oświadczeniu majątkowym. Stop. Nie ma. Stop. Kiedyś miał, ale coś się zadziało i niestety ma jego żona, Małgorzata, i on u żony pomieszkuje czasem, kątem. Stop. Jest to sytuacja dla premiera trudna, no bo żona nazwała go w swojej książce pt. „Między nami" „gnojkiem" i chciała się z nim rozwieść, gdyż serce jej ku innemu biło. Stop. Chciała dzielić majątek, w tym szafę, wszystko to można przeczytać. Stop. Mamy tu kwestie delikatne, przykre dla premiera, i są mężczyźni, którzy mu współczują (np. ja to nie jestem zbyt empatyczny). Stop. Piszę to dla pewnej precyzji, bo premier powinien ewentualnie powiedzieć: „Chciałbym zaprosić do Gosi, Gosia się zgodziła, nagotuje klusek" czy coś takiego, ale rola właścicielki lokum nie może zostać pominięta, bo gdyby się Gosia (przepraszam, pani Małgorzata) nie zgodziła, mogłoby dojść do afrontu. Stop. A tak swoją drogą, bezdomny premier 38-milionowego kraju... Ech...

Tusk czy tam inny Boroń (Boroń, czyli szef policji ważniejszy, bo cała władza Tuska opiera się już tylko na policji) wysłał oficerów policji do Republiki, żeby pochwycić sprzęt i dane. Stop. Oni przyjechali metrem i autobusem i metrem i autobusem wracali. Stop. Takiej nędzy w milicji to nawet za komunistów nie było. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

GWIAZDOBZDUR



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

JANDA WZBURZONA

Wzburzona, umęczona, udręczona. Wciąż i wciąż, choć niby w Polsce zmieniło się tak wiele. Krystynę Jandę wzburza i umęcza spór wokół Trybunału Konstytucyjnego, a dokładniej postawa prezydenta. – Pełną odpowiedzialność za całą tę sytuację, każdego policjanta pod Trybunałem, za wszystkie nielegalne działania takie jak zawieszenie sędziów, nielegalne zarządzenia, wejście do Trybunału od strony kancelarii premiera, ponosi jeden człowiek [...], premier Donald Tusk – stwierdził Karol Nawrocki podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Wypowiedź wywołała negatywną reakcję Jandy. – Ja po prostu już nie mogę wytrzymać tego wszystkiego. Strasznie mnie to denerwuje i „niepokój" to jest za małe słowo. Ja w tej chwili zdążyłam jeszcze usłyszeć to chłostanie premiera przez prezydenta, wyjeżdżając z domu tutaj do państwa, i po prostu myślałam, że śnię. Myślałam, że telewizor wyrzucę przez okno, ponieważ te zarzuty, ten ton i ta arogancja, a jeszcze niepozwolenie na jakąkolwiek odpowiedź, po prostu mnie oburzyły – perorowała. Dalej zastanawiała się, czy możliwe jest znalezienie porozumienia w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. – Tak niewielu ludzi potrafi się postawić w sytuacji drugiego człowieka, że te racje są egoistyczne. Z jednej strony jest agresja, a z drugiej strony jest oniemienie, ponieważ ja też mam takie uczucie oniemienia na to wszystko, co słyszę. To, co dzisiaj usłyszałam z ust prezydenta, po prostu wprawiło mnie w taką perturbację. Podziwiam premiera Tuska, że on to wytrzymał – podsumowała artystka. Prześladowania celebrytów w Polsce nie ustają.



FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

ŻAŁOBA W DWÓCH AKTACH

Ubiegłotygodniowa, dwudniowa żałoba narodowa okazała się dla niektórych nie lada wyzwaniem. Wydawałoby się, że dosłownie dwa dni refleksji i uczczenia ofiar zamachowca z Krakowa nie powinny być problemem. Niestety, nie dla wszystkich. Ten gest ogólnonarodowej solidarności wykonała szybko zdecydowanie większość krajowych instytucji kultury, odwołując zaplanowane na niedzielę i poniedziałek wydarzenia. Tymczasem warszawski Teatr 6. piętro, kierowany przez Michała Żebrowskiego, ogłosił, że tam zmian nie będzie. W komunikacie kierownictwo przekazało, że przedstawienia zostaną wystawione zgodnie z planem, powołując się na chęć budowania wspólnoty z widzami. Internauci jakoś nie dali się przekonać i sieć zalała fala krytycznych komentarzy. „Od teatru oczekuję wrażliwości. Waszą decyzję o graniu podczas żałoby odbieram jako brak szacunku dla osób przeżywających stratę; Odwołanie spektaklu byłoby gestem szacunku. Wy zdecydowaliście się grać. Kompromitujący brak taktu; To chęć zarobku w otoczce »bądźmy razem«; Naprawdę??? Przemyślcie swoją decyzję raz jeszcze" – apelowali komentujący. Refleksja, na szczęście, przyszła. Ostatecznie teatr Żebrowskiego włączył się w żałobę. „Szanowni państwo, w związku z wprowadzoną żałobą narodową w dniach 8 i 9 listopada decyzją Dyrekcji Teatru 6. piętro spektakle zaplanowane w tych dniach zostają ostatecznie odwołane. Bilety można wymienić na kolejne spektakle lub zwrócić zgodnie z formą płatności. Biuro Obsługi Widza skontaktuje się z państwem w tej sprawie mailowo" – przekazano. Nie można było tak od razu?

RAJ ODWOŁANY

Tylko złośliwi podejrzewaliby, że aktor Żebrowski jest jak influencerki z Instagrama, dla których krakowska tragedia to przeszkoda w realizacji osobistych planów. Ze względu na żałobę stacja TVN7 poinformowała, że wprowadza zmiany w ramówce. „Dziś nie wyemitujemy premierowego odcinka »Hotelu Paradise«" – ogłoszono w poniedziałek. „HP" to niezwykle popularne randkowe bikini reality show. Żaden problem, prawda? Nie dla każdego. Hanna Iluszczenko, działająca jako „iHanio", skomentowała: „Poranna rutyna zepsuta. Cały dzień do wywalenia". I chociaż później broniła się, że to był tylko sarkazm (co bardzo prawdopodobne, że było prawdą), to niesmak pozostał. Nie zawsze wypada, nie zawsze.

NIESTRAWNOŚĆ GRETKOWSKIEJ

Gościem w podcaście Jakuba Władysława Wojewódzkiego była niedawno pisarka Manuela Gretkowska. Wśród wielu wątków tej jakże wybitnej rozmowy pojawiły się „Kuchenne rewolucje" i Magda Gessler. – Ona jest bardzo barwna. Jest taką babą, co powie, co myśli i dla niektórych jest to smaczne. Dla mnie nie, bo... wolę kuchnię francuską – stwierdziła Gretkowska. – Czy ona jest zbyt dosadna w tym? To jest disco polo gastronomiczne? – kontynuował Wojewódzki. – Tak [...]. Jeżeli uznasz Gessler za naszego [Gordona] Ramsaya, to okej. Ja bym chciała równowagę – oceniła. Pisarka w krytycznych słowach odniosła się do formatu „Kuchennych rewolucji", twierdząc, że niektóre osoby, którym Magda Gessler pomaga ratować gastronomiczne biznesy, w ogóle nie powinny prowadzić restauracji. – Mam wrażenie, że ona bardzo często wparowuje do miejsc [...], gdzie ci ludzie w ogóle nie powinni brać się za gotowanie z wielu powodów – wskazała. – Jeśli nauczysz ich pięciu potraw, to zmieni się wystrój i oni będą uszczęśliwiać innych – fantastycznie. To jest taka tymczasowość. Tak jak Polska – taka tymczasowa za pomocą kleju, gipsu – podsumowała Gretkowska. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, za nami kolejny Marsz Niepodległości. Niestety, pisząc te słowa nie wiemy, jak się tym razem potoczył, czy było spokojnie, czy fashyści poprzebierani za rodziny z dziećmi nie podpalili nam Warszawy. Dlatego aby rozładować ewentualne napięcia, które do tej pory mogły się nie rozmasować, chcemy Was zaprosić do udziału w krótkiej psychozabawie pod hasłem: „Jakiego rodzaju patriotą jesteś?". Pamiętajcie, nie ma złych odpowiedzi (poza jednymi, jeśli Wam z nich wyjdzie to, co ma z nich wyjść, to straszna siara).

1. JAK SPĘDZIŁEŚ/AŚ/OŚ 11 LISTOPADA?
a) na Marszu Niepodległości, wymachując flagami i wznosząc nacjonalistyczne okrzyki
b) do południa na dobrowolnych nadgodzinach, a potem zbierając kupy psieci z okolicznych ulic
c) kłóciłem się z innymi w Internecie, odsłaniając czarne karty z historii tego kraju
d) w Berlinie, iżby nie oglądać 11 listopada w tym kraju

2. WIDZISZ POLSKĄ FLAGĘ NA BALKONIE SĄSIADA. CO ROBISZ?
a) odwiedzam go z wódką i kiełbasą, wspólnie śpiewamy „Rotę"
b) sprawdzam regulamin wspólnoty mieszkaniowej i przepisy dotyczące manifestowania przynależności narodowej na elewacji budynku
c) wywieszam na swoim balkonie transparent z przeprosinami za polskie zbrodnie
d) wywieszam flagi Unii Europejskiej i wszystkich państw członkowskich; zaciągam rolety, iżby nie widzieć nawet przypadkiem balkonu sąsiada

3. KTOŚ MÓWI PRZY TOBIE: „JESTEM DUMNY, ŻE JESTEM POLAKIEM". TWOJA REAKCJA TO:
a) zbijacie pionę i cieszysz się, że poznajesz nowego kolegę
b) dzwonisz na Policję i zgłaszasz mowę nienawiści
c) pytasz, czy jest dumny też z tego, co Polacy wyrządzali przez wieki swoim sąsiadom
d) wywracasz oczami i tłumaczysz, iż miejsce urodzenia i rodzice nie są powodem do dumy

4. OSOBA Z INNEGO KRAJU PYTA CIĘ, CZY POLSKA TO DOBRE MIEJSCE DO ŻYCIA. CO ODPOWIADASZ?
a) że najlepsze na świecie, bo papież, pierogi, góry i Mazury
b) najgorsze, iż nie ma prawa do wyboru, mniejszości są prześladowane, a ludzie są smutni, noszą wąsy i stare jugosłowiańskie swetry
c) jeśli jest się Polakiem, to owszem, bo wiadomo, jaka tu ksenofobia, nacjonalizm i prześladowania
d) wszystkie kraje UE są wspaniałe do życia, ale Polska trochę mniej niż pozostałe

5. JAKIE MIEJSCE W POLSCE POKAZAŁBYŚ ZNAJOMYM OSOBOM Z ZAGRANICY?
a) Najchętniej wszystkie, ale ostatecznie decydujesz się na Wadowice i Wawel
b) Okrągły Stół w Muzeum Historii Polski
c) Wiadomo, że Auschwitz
d) Najchętniej jakieś Centrum Integracji Europejskiej, a jak nie, to Gdańsk i Wrocław

ODPOWIEDZI

NAJWIĘCEJ ODPOWIEDZI A: no siara, ale to patriota bogoojczyźniany, tradycyjny. Jeśli tak ci wyszło, to przykro, ale mentalnie tkwisz w średniowieczu, nienawidzisz obcych i mniejszości, polskie produkty eksportowe to dla ciebie wódka i kiełbasa, a największy Polak w historii to pewnie papież, ale tylko dlatego, że poza nim znasz tylko Piłsudskiego. Jesteś bezkrytyczny i nie ma dla ciebie miejsca w Europie.

NAJWIĘCEJ ODPOWIEDZI B: gratulacje, jesteś nowoczesnym patriotą, który dobrze rozumie, że nie w wielkich gestach kryje się przywiązanie do ojczyzny, ale w tak prozaicznych postawach obywatelskich jak dbanie o wspólną przestrzeń, przestrzeganie prawa i porządku oraz eliminowanie zbędnych symboli z otoczenia. Cenisz sobie literę prawa, nie ma w tobie ducha – to dobrze, bo cenisz świeckie państwo.

NAJWIĘCEJ ODPOWIEDZI C: ponieważ twoją pasją jest historia, ale nie taka pisana na kolanach, to najbardziej pasuje do ciebie określenie „patriota świadomy". Potrafisz wymienić wszystkie grupy etniczne prześladowane na ziemiach polskich od czasów Piasta Kołodzieja, a jednocześnie nie wyrzekasz się odpowiedzialności całego narodu.

NAJWIĘCEJ ODPOWIEDZI D: nowoczesny patriotyzm kosmopolityczny to pojęcie, które najpełniej charakteryzuje twoją postawę. Rozumiesz współczesną Europę lepiej niż tradycyjni patrioci i dostrzegasz wartość tam, gdzie zjawiska wykraczają poza polskość. Jesteś mentalnie bliżej Brukseli i Berlina niż Warszawy, a w dodatku świetnie zdajesz sobie z tego sprawę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dwie trzecie

Ania, nas jest ośmioro. Czyli żeby były dwie trzecie, to musimy ustalić, ilu w sumie jest sędziów. Żeby dopasować.

Zaraz, Maćku,
nie tak szybko.

Na karteczce ci wypiszę.
Skoro osiem to mają
być dwie trzecie,
to najpierw musimy osiem
podzielić na dwa.
Ile to jest?
Czekaj, moment...
Dwa! Nie, chwila...
Cztery, znaczy się.
Doskonale. To teraz dodajemy jeszcze raz tyle samo...
Osiem?

Nie, cztery.
I ile nam wychodzi?
Nie, daj mi już spokój,
głowa mnie rozbolała. Muszę iść na pilates. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czekam aż pani Szczepaniec orzeknie, że Ziemia jest płaska".

WALDEMAR ŻUREK, *minister sprawiedliwości, na X o wyroku Sądu Najwyższego*

eprasa.pl 8645d9a30d

dwaj panowie g

To, co najważniejsze: Święto Niepodległości. W tym roku podczas przyjęcia w dużym pałacu było inaczej. Świętowano sukces marszu, w którym szedł jak co roku prezydent Karol Tadeusz, ale specjalnie nie fetowano. Na wszystko się bowiem nakładały świeże jeszcze wspomnienia z ostatnich wydarzeń w Krakowie. Było też skromniej. Jedzenia nie brakowało (wołowina w sosie własnym, gęsina, dorsz), jednak szybko skończyła się zastawa i nie było na czym jeść. Z alkoholi były tylko dwa rodzaje wina w barwach narodowych. Pomstowali na to niektórzy cudzoziemcy, przekonani, że Polska jest krajem wódką płynącym. Wino wyszło szybko. Cięcia poczynione przez puczystowski rząd Donalda Tuska dały się we znaki. Byliśmy za to ciągnięci aż na trzy afterki. Tam już na niczym nie zbywało.

Apropos smutnych wydarzeń w Krakowie. Wprawdzie policja nie podlega prezydentowi miasta Krakowa, ale Łukasz Gibała nie ma powodów do zadowolenia, jeśli chodzi o współpracę z tą formacją. Owszem, docenia bohaterstwo obu policjantów, ale nie da się ukryć, że prezencja policji w czasie zamachu była o wiele skromniejsza niż straży miejskiej. Jeszcze gorzej było, jeśli chodzi o obecność policyjnych antyterrorystów. Z wyjątkiem tych, którzy mieli wolne i chorobowe, w Krakowie nie było żadnego. Wszystkich wysłano nad rosyjską granicę z obwodem królewieckim. A straż miejska nie służy do zwalczania aktów terroru. Nic dziwnego, że na korytarzach krakowskiego magistratu coraz głośniej słychać o potrzebie wyposażenia straży miejskiej w broń palną. Ale do tego trzeba zmiany ustawy.

W policji natomiast nastroje minorowe. I nie mówimy tylko o funkcjonariuszach służących pod Trybunałem. Swoje obiekcje wyrażają również funkcyjni, w tym komendanci wojewódzcy. Komendant Boroń cieszy się zaufaniem Kierwy, ale nie cieszy się zaufaniem podwładnych. Z wyjątkiem tych, którzy Boroniowi coś zawdzięczają. Policjanci coraz częściej rozglądają się wśród siebie, wypatrując następcy na stanowisku komendanta głównego. Podobno silna jest frakcja śląska. Słynne zdanie „śląska woda pogruchocze kości" znów może zyskać na aktualności.

Tymczasem w Niezjednoczonej Prawicy. Miała zacząć się jednoczyć w obliczu zamachu stanu dokonanego przez puczystowski rząd Donalda Tuska. No i zaczęła z kopyta: z okazji Marszu Niepodległości Sławomir Mentzen chwalił się zdjęciem z przekreślonymi Tuskiem i Kaczyńskim. Zaczynamy mieć podejrzenia, że w odróżnieniu od wszystkich uważających – zresztą słusznie – „każdy, byle nie Tusk" Sławomir Mentzen uważa, że „każdy, byle nie Kaczyński".


FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Głupia sprawa z tym jednoczeniem. Z tego, co słyszeliśmy, to szeregowy poseł naczelnik Jarosław Kaczyński z jedną listą prawicy do Sejmu też wyskoczył tylko po to, by zrobić dobre wrażenie. No i zrobił. Sprawa zakończona. Co będzie dalej, odpowie wiatr.

Zabawne jest to, że niektórzy w PiS wzięli ten zabieg promocyjny na serio. Co poskutkowało np. tym, że w Radiu Kraków Filip Kaczyński z PiS bardzo się oburzał na Jarosława Kaczyńskiego z PiS, że ten ostatni chce iść z Braunem. Otóż nie chce. I nie pójdzie.

Inni z kolei sarkają, że niepotrzebnie naczelnik Jarosław udzielił na Marszu Niepodległości wywiadu przedstawicielowi Złonetu, tego samego Złonetu, z którym procesuje się prezydent Karol Tadeusz. Sarkający uważają, że należy zachować konsekwencję i nie rozmawiać w ogóle. W sumie ich rozumiemy.

Ciąg dalszy jednoczenia Niezjednoczonej Prawicy będzie zapewne miał miejsce lokalnie. Po odwołaniu w referendum czerwonego prezydenta Częstochowy będą wybory. No i STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus) wystawia Monikę Pohorecką-Całko. To osoba znana z dwóch rzeczy. Pierwsza to fakt, że odeszła z PiS. Druga – że już kiedyś kandydowała na prezydenta Częstochowy, ale jej nie wyszło. Zatem tak: nie dość, że nie ma w Częstochowie wspólnego kandydata prawicy, to jeszcze ojciec Mateusz wystawia kandy-

eprasa.pl 8645d9a30d

datkę, która nie zdołała jako przedstawicielka partii sześć razy większej zrobić tego, co ma teraz zrobić w imieniu partii sześć razy mniejszej. Podziwiamy tę logikę.

Tymczasem w Gliwicach akcję referendalną przeciw prezydent Katarzynie Kuczyńskiej-Budce (żonie słynnego Borysława Budki) wsparł były wieloletni prezydent Gliwic, czyli Zygmunt Frankiewicz. Z jego licznych płomiennych wypowiedzi w mediach najbardziej spodobała się nam ta dla Wirtualnej Polski: „Pan Borys Budka użył takiego określenia: nomenklatura. Powinien doskonale wiedzieć, co to znaczy, bo sam pochodzi z rodziny peerelowskiej nomenklatury w przeciwieństwie do mnie".

Wracając do Marszu Niepodległości i święta 11 listopada – każdy uczcił je, jak umiał. Opozycja, na ten przykład, maszerowała ulicami Warszawy. Puczystowski rząd Donalda Tuska odnotował zaś w przededniu święta wielki sukces: ogłoszono, że prąd jest w Polsce najdroższy w Europie. Jeszcze miesiąc wcześniej nie był, gdyż droższy odnotowano w Rumunii. Ale cóż to dla doświadczonych puczystów za wyzwanie – wyprzedzić Rumunię. Phi!

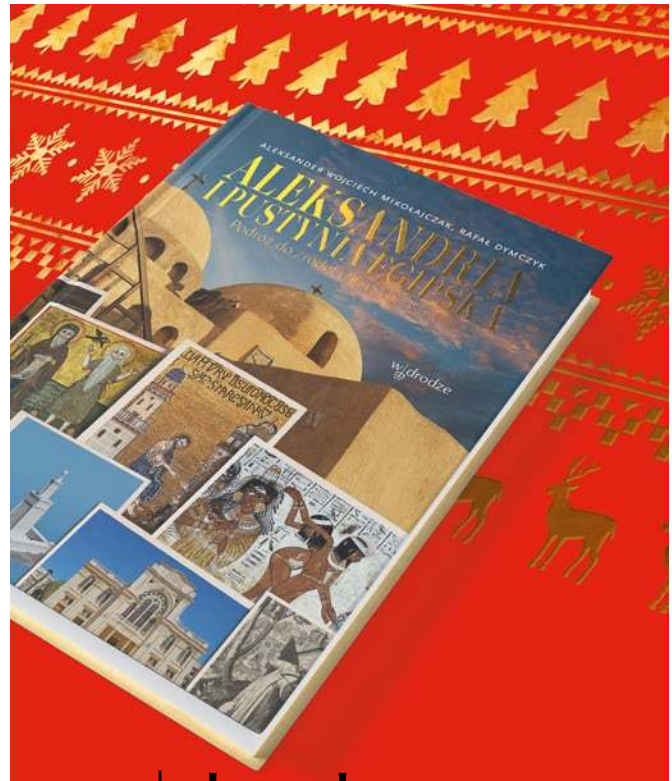
Àpropos Rumunii – tam właśnie odbędzie się kolejny akt powrotu Misia Kamińskiego na łono prawicy polskiej i europejskiej. Jest bowiem mówcą na organizowanej przez AUR wielkiej konferencji prawicy, którą zaszczycą goście z ponad 60 krajów. Z Niemiec np. przyjeżdżają przedstawiciele AfD. Cieszymy się, że Misio Kamiński znów występował będzie w godnym towarzystwie. Na szczęście nie wszyscy tam będą z AfD. Niektórzy będą np. Ryszardami Czarneckimi.

No i mamy przetasowanie w wyścigu po tytuł Warszawianki Roku. Tydzień temu proponowaliśmy kandydaturę chytrej baby z Opola, która przeprowadziła się pod osłoną nocy do Trybunału Konstytucyjnego. Czyli Anny Korwin-Piotrowskiej. To mocne nazwisko, ale blednie w porównaniu z niejaką Katarzyną Pejdą. To ta pani z KUL, która po mordzie w Ostrowcu i Krakowie ogłosiła: „Trzy głosy na Konfę mniej".

Ktoś może zapytać, dlaczego do tytułu Warszawianki Roku nominujemy osobę człowiekopodobną z Lublina. Po pierwsze, już ją z KUL wywalono, więc może się przeprowadzić. Na przykład do Warszawy. Po drugie, mentalnie jest Warszawianką stuprocentową. Świadczy o tym jej niesławny wpis internetowy.

Uważamy zresztą, że kariera pani Pejdy powinna nabrać teraz rozpędu. Jej takt oraz poglądy kwalifikują ją do jakiegoś stanowiska rządowego. Może ministra spraw wewnętrznych? Na pewno by się przecież z wrogami reżimu nie cackała. Na pytanie: „A co z Marcinem Kierwińskim?" odpowiadamy: aktualny szef MSW bardziej nadaje się na pełnomocnika rządu do spraw promocji Polski. Wiele już zrobił w tej kwestii, np. ogłaszając całemu światu, że morderca z Krakowa miał poglądy ultraprawicowe. I pomyślcie: w odróżnieniu od Mróz-Gorgoń nie musiał do promocji Polski wykorzystywać sztucznej inteligencji. ©℗

REKLAMA



w drodze

Kupuj tylko trafione prezenty

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY"

25% rabat!

Przy zakupie na **wdrodze.pl**, wpisz kod rabatowy: **dorzeczy** *

sprzedaz@wdrodze.pl
tel. +48 694 480 625

* Oferta ważna do 31 grudnia 2026 r.

eprasa.pl 8645d9a30d

REKORDOWY MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI

Setki tysięcy osób z całego kraju przeszły 11 listopada ulicami Warszawy w Marszu Niepodległości. Wśród Polaków chcących zamanifestować swój patriotyzm szli również politycy: prezydent Karol Nawrocki, Jarosław Kaczyński, Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen, a także szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, szef Gabinetu Prezydenta Paweł Szefernaker, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki i szef Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz.

Według dyrektora Stołecznego Centrum Bezpieczeństwa w Marszu Niepodległości wzięło udział 250 tys. osób, tymczasem zdaniem organizatorów marszu uczestników mogło być nawet milion. Mimo rekordowej frekwencji nie odnotowano żadnych poważniejszych incydentów.

Marsz Niepodległości skandalicznie relacjonowały jednak niektóre zagraniczne media. Na przykład Agencja Reutera pisała o tym wydarzeniu jako o „marszu skrajnej prawicy". Z kolei niemiecka telewizja publiczna ARD mówiła o pochodzie „nacjonalistów", „konserwatystów" oraz „skrajnej prawicy". Dziennikarze ARD zniekształcili nawet tegoroczne hasło marszu. Zamiast „Polak w Polsce gospodarzem" na antenie mówili o haśle: „Polak w Polsce panem". ©℗

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



eprasa.pl 8645d9a3

Polska sama w wojnie z Rosją?



Od ponad czterech lat na Ukrainie trwa wojna pozycyjna FOT. VLADYSLAV SODEL/REUTERS/FORUM



Adam Wielomski

Wszystko wskazuje na to, że najpierw Trump, a teraz elity europejskie są coraz bardziej gotowe do zawarcia kompromisu z Kremlem, aby powrócić do dochodowych biznesów z Rosją

Spory w Polsce o Trybunał Konstytucyjny, znajdujące się na pograniczu konstytucyjnego zamachu stanu, spowodowały, że ostatnio mało patrzymy na to, co dzieje się na świecie, szczególnie zaś na froncie ukraińsko-rosyjskim. Dokładnie rzecz biorąc, na froncie tym niewiele się dzieje, gdyż od czterech lat trwa wojna pozycyjna, jako żywo przypominająca I wojnę światową. I tak jak wielokrotnie pisałem i mówiłem, ta wojna pozycyjna skończy się tak jak wspomniany konflikt zbrojny sprzed ponad stulecia: przegra ta jego strona, która wykaże się mniejszą odpornością psychiczną na koszty starcia. Po toczącej się cztery i pół roku batalii z udziałem armii Ukrainy i Rosyjskiej już znamy stronę, która psychicznie nie wytrzymała kosztów wojny: to formalnie niebiorący w niej udziału Zachód.

OZNAKI POKOJU

Media donoszą, że wiele międzynarodowych korporacji wraca do Rosji, bojąc się, że opuszczony przez nie rynek zajmie konkurencja. Światowy biznes ma lepszą orientację niż my, zwykli czytelnicy informacji medialnych. Miliarderzy oraz bankierzy spotykają czołowych polityków na obiadach, kolacjach, rautach, przy szampanie, piwie i wódce (i na wysepkach Epsteina). Dlatego uzyskują wiadomości od decydentów, często na nich też wpływają, nie zadowalając się medialną papką propagandową. Jeśli wielki biznes wraca do Rosji, to znaczy, że już wie, iż batalia zmierza ku zakończeniu. Mamy także pierwsze oficjalne rozmowy polityków zachodnich z rosyjskimi. Najpierw, 26 września 2026 roku, szef MSZ Niemiec Johann Wadephul spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem w Nowym Jorku, przy okazji obrad ONZ. Obydwie strony ostentacyjnie podkreślały brak porozumienia, ale przecież polityk niemiecki nie mógł ogłosić kapitulacji Berlina wobec rosyjskiej „agresji". Miesiąc później, 27 października

eprasa.pl 8645d9a30d

2026 r. prezydent Finlandii Alexander Stubb i premier Norwegii Jonas Gahr Støre odbyli wspólną rozmowę telefoniczną z Władimirem Putinem. Oczywiście, także i oni podkreślali, że nie doszło do zbliżenia stanowisk. W otwarte karty grają zaś Słowacy, których ministrowie już w blasku fleszy latają na spotkania do Moskwy, co przestało się spotykać z tak piorunującym atakiem mediów zachodnich jak jeszcze nie tak dawno, gdy Viktor Orbán spotykał się w Moskwie z Putinem. Ktoś zwrócił nawet uwagę, że w mediach zachodnich Putin coraz rzadziej jest określany mianem „zbrodniarza" i „dyktatora", stając się ponownie „prezydentem", a nawet „Panem Putinem". Bułgaria, Węgry, Słowacja i Czechy wprost odmawiają finansowania strony ukraińskiej, ale na spotkaniach Unii Europejskiej nie stawiają weta zawieszającego, zadowalając się wyłączeniem ich z wysyłania pieniędzy. Gdy jeszcze nie tak dawno podobne wyjątki wywalczał dla siebie Orbán, było to stygmatyzowane jako „prorosyjskość". Nastąpiło zatem zjawisko popularnie zwane przez politologów „zmianą narracji".

CO SIĘ STAŁO?

Zawsze powtarzałem i swój pogląd podtrzymuję, że politykiem od zawsze najbardziej zainteresowanym końcem wojny ukraińsko-rosyjskiej był i pozostaje Donald Trump. Nie ze względu na jakąś personalną sympatię dla Putina (która wydaje się rzeczywista), lecz dlatego, że jemu ta wojna, otrzymana w spadku po Joe Bidenie, jest wyjątkowo nie na rękę. Trump jest świadomy, że czas jednobiegunowej hegemonii amerykańskiej nad światem zakończył się i musi skracać fronty. Priorytetem dlań nie była i nie jest Europa Wschodnia, lecz konflikt z Chinami o Tajwan i Morze Południowochińskie, a także Bliski Wschód. Dramatyczny błąd w postaci ataku na Iran wykazał iluzoryczność amerykańskiej dominacji, przy okazji wywołując gigantyczny kryzys paliwowy. Notowania Putina natychmiast wzrosły, gdyż zablokowany eksport arabskiej ropy naftowej i gazu ziemnego realnie zrównoważyć była zdolna wyłącznie Rosja. Stąd wielki „deal" między Trumpem i Putinem: eksport rosyjskiej ropy naftowej w zamian za koniec poparcia dla Ukrainy i doprowadzenie do pokoju na rosyjskich warunkach minimalnych, czyli uznanie aneksji Krymu i Donbasu, a także neutralności militarnej Ukrainy. Obydwaj politycy zapowiadają kolejne wielkie „deale" ekonomiczne, włącznie z ponownym uruchomieniem Nord Streamu po dnie Bałtyku jako przedsięwzięcia rosyjsko-amerykańsko-niemieckiego.

W sumie Rosja i Stany Zjednoczone wracają do zasad ustalonych w Anchorage na Alasce w 2025 r. Siergiej Ławrow wielokrotnie zarzucał Amerykanom niedotrzymanie tamtych umów i najprawdopodobniej miał rację. Wszystko wskazuje na to, że Trump zobowiązał się wtenczas do wymuszenia na Kijowie uznania formuły „pokój za ziemię" czy podpisania traktatu pokojowego po zaspokojeniu rosyjskich roszczeń. Wołodymyr Zełenski przeciwstawił się amerykańskiemu żądaniu w oparciu o państwa Europy Zachodniej. Trump zaś nie wymusił posłuchu, gdy Europejczycy zaczęli płacić amerykańskim koncernom miliardy za broń dla Ukrainy. Administracja amerykańska uznała, że zyski z tej sprzedaży były większe niż z pokoju z Rosją. Teraz sytuacja uległa gwałtownej zmianie z powodu kryzysu energetycznego, który Trump sam sprowokował swoją eskapadą wojenną na Iran. Rosyjskie węglowodory są dziś cenniejsze niż zyski amerykańskich koncernów zbrojeniowych, szczególnie że ceny benzyny zaczęły dominować nad amerykańską polityką wewnętrzną i kalkulacjami wyborczymi. Okazało się, że mylili się ci, którzy twierdzili, że „Zełenski skutecznie przeciwstawił się Trumpowi". Jego niesubordynacja była skuteczna, gdyż popłynęły za nią miliardowe kontrakty dla armii ukraińskiej za europejskie pieniądze. Dziś wiemy, że wystarczy, iż Amerykanie wyłączą Starlinka, nie dostarczą wiadomości wywiadowczych, nie dowiozą rakiet Patriot i Kijów stanie się bezbronny wobec ataków rakietowo-lotniczych pustoszących ukraińską gospodarkę, infrastrukturę i zaopatrzenie. Putin zaczyna być bliski zrealizowania zapowiedzi Trumpa wobec Iranu, że swojego przeciwnika „cofnie do epoki kamienia łupanego".

NIE NASZA WOJNA

Zmieniła się również sytuacja w Europie Zachodniej, która po wycofaniu się Amerykanów z zaopatrywania Ukrainy przejęła praktycznie wszystkie związane z tym wsparciem wydatki. Europa Zachodnia rzeczywiście popierała i nadal popiera Ukrainę. Brytyjczycy chcą wrócić za pomocą tej wojny do rangi mocarstw światowych, nie mając armii lądowej. Ursula von der Leyen, Niemcy i Francuzi prą zaś do federalizacji Unii Europejskiej pod pretekstem konieczności budowy armii unijnej, aby ta obroniła nasz kontynent przed Rosją i osobiście przed Putinem. Tyle że wszystko wskazuje na to, że Europa… nie wytrzymuje wojny z Rosją. Jest to o tyle dziwne, że Rosja przestawiła całą swoją gospodarkę na tory wojenne, utrzymuje armię liczącą jakieś półtora miliona żołnierzy, z których połowa walczy na Ukrainie. Giną rosyjscy obywatele. Tymczasem Europa Zachodnia ponosi wyłącznie koszty finansowe tego konfliktu, które nie są specjalnie wielkie w stosunku do jej PKB. O cóż więcej chodzi? Wielu specjalistów od współczesnej Rosji już od przełomu lat 2024–2025 mówiło i powtarzało, że „Putin nie boi się Europy", iż „nie traktuje Europy poważnie", „lekceważy Europę", ponieważ „zna Europejczyków".

Tak, Rosjanie znają największą słabość Europy Zachodniej: niskie morale, czyli słabą psychikę. Wyjąwszy broń jądrową, Rosja przegrywa z Unią Europejską i Wielką Brytanią pod każdym względem: w PKB to stosunek 1:9,5–10 (2,57 bln dol. do ok. 25); w PPP (wartość realnej siły nabywczej) to stosunek 1:4,5–5; w zasobach demograficznych koniecznych do przeprowadzenia mobilizacji 1:3,5 etc. W samolotach bojowych, o której to przewadze mówił ostatnio Radosław Sikorski, stosunek ten wynosi wprawdzie tylko 1:1,1 (1500 do 1700), lecz nowoczesność jest po stronie europejskiej etc. Mimo to Rosja ma przewagę trudną do opisania w kategoriach potęgometrycznych (mierzalnych matematycznie): cierpliwość, wytrzymałość i zdolność do poświęceń. Wedle niezależnego ośrodka badań opinii publicznej w Rosji Lewada ponad trzy czwarte Rosjan cały czas popiera Putina, a także toczącą się wojnę, przy czym największy odsetek rejestrowany jest pośród starszych mężczyzn (żyjących legendą wielkiej wojny ojczyźnianej) i najmłodszych, czyli teoretycznie mogących stać się poborowymi w razie eskalacji konfliktu.

A jak wygląda sytuacja w Europie? Teoretycznie, wedle ostatnich badań, 56 proc. mieszkańców UE popiera finansowanie dalszych działań wojennych

eprasa.pl 8645d9a30d

na Ukrainie. Jednak tylko teoretycznie, dopóki pytanie ma charakter ogólny i abstrakcyjny. Gdy pytamy, czy mój kraj i z moich podatków winien finansować Ukrainę, to spadek jest już dramatyczny, ale nie znalazłem zbiorczych wyników dla całej Europy. Rosnąca popularność ruchów eurosceptycznych, szczególnie francuskiej Rassemblement National Marine Le Pen, czy Alternative für Deutschland Alice Weidel oraz narodowo-lewicowej BSW Sahry Wagenknecht w Niemczech, pokazuje, że Europejczycy mają tej wojny i jej skutków finansowych po dziurki w nosie. Ocenia się, że w wyniku zerwania kontraktów na rosyjskie węglowodory, szczególnie na gaz ziemny, każda rodzina niemiecka wydaje więcej o ok. 100 euro miesięcznie na utrzymanie. Do tego dochodzą teraz dramatyczne wzrosty cen paliw i wynikły stąd ogólny wzrost cen, powstały w wyniku ataku Izraela i USA na Iran i wstrzymania dostaw z Zatoki Perskiej. Prawda jest taka, że wychowane w kulturze konsumpcyjnej społeczeństwa Europy Zachodniej nie są zdolne do ponoszenia niezbyt drastycznych, ale jednak liczących się w portfelu, kosztów wojny o Kramatorsk i Konstantynówkę, szczególnie że przeciętny Europejczyk nie ma pojęcia, gdzie te miasta leżą, kto je zamieszkuje i na ile prawowite są do nich roszczenia obydwu walczących stron. Krym? Chyba nie pomylę się, twierdząc, że przeciętny Europejczyk uważa, że to Rosja.

Z antyrosyjskości uczyniono papierek lakmusowy polskiego patriotyzmu

Prawda jest taka, że elity unijne nie zdołały przekonać Europejczyków, że „Ukraina walczy za nas" i że to jest „nasza wojna", szczególnie iż widać nieszczerość polityków, którym chodzi o federalizację UE, czego przynajmniej połowa obywateli państw członkowskich UE wcale nie popiera. Próbując za pomocą wojny wymusić prawie przemocą federalizację UE, elity unijne prowadzą do procesu rozsadzania tej kosmopolitycznej struktury. Stąd ciągłe bajki o „rosyjskich wpływach", „farmach trolli" i „dezinformacji". Już nikt w to nie wierzy, czego skutkiem są kolejne zakusy na wprowadzenie cenzury. Do tego w ostatnich tygodniach doszła rewolucja imigrantów i anarchistycznej młodzieży na ulicach najpierw francuskich, a teraz jeszcze włoskich i katalońskich miast. Towarzyszą jej manifestacje związków zawodowych, domagających się od państw rekompensaty rosnących kosztów życia i… zawarcia pokoju na Ukrainie, aby wrócić do rosyjskich węglowodorów i obniżyć ich ceny.

MINIATUROWY JASTRZĄB

Wielkie media liberalne starannie odcinają Polaków od tego, co dzieje się na świecie, tworząc alternatywną rzeczywistość wirtualną, taki polskojęzyczny matrix. Wszystkie informacje na temat oznak zmęczenia Zachodu i gotowości rozmów z Rosją opatrywane są komentarzami o rzekomej „onucowości", „dezinformacji" i „rosyjskich wpływach". W rezultacie polska opinia publiczna nie jest świadoma tendencji dominującej na Zachodzie. Nie zmienia to faktu, że Polacy są tą wojną jeszcze bardziej zmęczeni ze względu na jej koszty, szacowane przez Pawła Kowala na 500 mld zł, a także koszty społeczne w postaci płynnej, ale znaczącej liczby imigrantów. Polacy zaczynają coraz bardziej dostrzegać roszczeniowy charakter reżimu Zełenskiego, mającego charakter jawnie złodziejski (kleptokracja). Tylko prorządowy „beton" lewicowo-liberalnych wyborców potrafi nie dostrzec szerzącego się kultu UPA i wyraźnych sympatii w Kijowie dla tradycji powiązanej z III Rzeszą.

Problemem Polski jest dość skuteczne blokowanie przez elity rządzące i wielkie media upodmiotowienia politycznego opcji przeciwnej naszemu mieszaniu się w spór graniczny państw sukcesyjnych po upadłym ZSRS (w istocie przecież to jest esencja toczącego się za naszymi granicami konfliktu zbrojnego). W Polsce znakiem przynależności do establishmentu jest fanatyczna antyrosyjskość, co blokuje wyrażanie postaw ukrainosceptycznych na wzór AfD i BSW w Niemczech. Wyrażająca takie poglądy Korona Grzegorza Brauna jest systematycznie szkalowana jako rosyjska agentura, a politycy obozu rządzącego otwarcie mówią, że po przejęciu Trybunału Konstytucyjnego chcą tę partię z tego właśnie powodu zdelegalizować. Wystraszona wrzuceniem do „antysystemu" i wykluczeniem z udziału w przyszłych rządach Konfederacja sama zaczęła wpisywać się w antyrosyjski mainstream. Tutaj zaś poglądy KO, PiS, Lewicy, PSL czy partii „posthołownianych" są jednakowe, a w podobny ton grają praktycznie wszystkie liczące się media. Zakończenie wojny na Ukrainie na zasadzie „ziemia za pokój", które zaczyna dominować na Zachodzie, do Polski jeszcze nie dociera, a każde słowo Trumpa czy innego zachodniego polityka o potrzebie pokojowego kompromisu przyjmowane jest niczym polityczno-ideologiczne bluźnierstwo.

Tymczasem z Rosją oficjalnie rozmawiają już prawie wszyscy: Stany Zjednoczone, Niemcy, Francja (Emmanuel Macron cały czas zachowuje kontakty telefoniczne z Putinem, o czym mało się pisze), Norwegia, Finlandia, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria. Polska znalazła się pośród miniaturowych prowojennych „jastrzębi" w postaci państw nadbałtyckich (które dopiero co Amerykanie strofowali publicznie, aby politycy z tych państw ważyli słowa, mówiąc o Rosji), które cały czas prowadzą wojnę „do ostatniego Ukraińca" w celu odbicia Donbasu, Krymu i postawienia Putina przed jakimś ad hoc zebranym trybunałem międzynarodowym. Radosław Sikorski, Donald Tusk, Karol Nawrocki i politycy PiS prześcigają się w coraz ostrzejszych antyrosyjskich deklaracjach, zarzucając w kółko opozycji „uleganie rosyjskim wpływom", „ruskiej narracji" albo sugerując agenturalność. W sytuacji, gdy z antyrosyjskości uczyniono papierek lakmusowy polskiego patriotyzmu, nie istnieje możliwość rozmawiania bez histerii o toczącej się wojnie, o pokoju, w którym Ukraina nie będzie zwycięzcą, a wreszcie o relacjach z Rosją po zakończeniu wojny.

Wszystko wskazuje na to, że najpierw Trump, a teraz elity europejskie są coraz bardziej gotowe do zawarcia kompromisu na zasadzie „ziemia za pokój", aby powrócić do dochodowych biznesów z Rosją. Taka jest logika racji stanu, którą kierują się poważne państwa. U nas tę kategorię się lekceważy, wybierając grę na emocjach. Nie wiem, jak ci politycy i dziennikarze mają zamiar powiedzieć Polakom: „Ukraina przegrała wojnę i będzie pokój z Rosją". Obawiam się, że Kijów prędzej uzna warunki pokojowe z Rosją niż Warszawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Rosyjski słoń w pokoju



Łukasz Warzecha

Jeżeli nastąpi ocieplenie stosunków Moskwy i z USA, i z przynajmniej częścią państw UE, podparte zakończeniem wojny na Ukrainie, to trwanie w twardej antyrosyjskości nijak nam się nie przysłuży

Resetu polskich relacji z Rosją jako ostatni próbował rząd Donalda Tuska po objęciu władzy w 2007 r. Chodziło wówczas przede wszystkim o odróżnienie się od poprzedników i pokazanie, że nowa władza nie podziela ich antyrosyjskich obsesji. Dzisiaj może to brzmieć jak bajka o żelaznym wilku, jednak tak było.

Inna sprawa, że nawet rząd PiS nie był tak antyrosyjski, jak można by myśleć, słuchając dzisiejszych deklaracji polityków tego ugrupowania. Na przykład w 2006 r. rosyjskiego ministra spraw zagranicznych (który 20 lat później jest nim nadal), Siergieja Ławrowa, przyjmowała w Warszawie szefowa MSZ Anna Fotyga. Rosjanin spotkał się także z premierem Jarosławem Kaczyńskim, a relacjonując później wizytę w Polsce, stwierdzał: „Polska będzie brała pod uwagę interesy Rosji przy rozpatrywaniu problemu rozmieszczenia elementów amerykańskiego systemu obrony antyrakietowej na swoim terytorium".

PRÓBA POROZUMIENIA

Było to jednak jeszcze przed atakiem Rosji na Gruzję, który miał miejsce latem 2008 r. Tymczasem w swoim exposé, wygłoszonym rok później, szef MSZ w rządzie Platformy Obywatelskiej Radosław Sikorski mówił: „Rosja jest strategicznym partnerem Unii Europejskiej. Mamy świadomość, że możliwości budowania wzajemnych relacji z Rosją na fundamencie wspólnych wartości są dzisiaj ograniczone. Proponujemy więc, aby ustalić przejrzyste zasady współpracy, »reguły gry«, na jakich będą się te stosunki opierały, bez rozchwiania istniejącej architektury instytucjonalnej w strefie europejskiej i euroatlantyckiej. Chcemy zawarcia nowego, zgodnego z naszymi interesami, porozumienia o partnerstwie i współpracy pomiędzy Unią Europejską i Rosją […]. Powszechnie uważa się, szczególnie w Europie Zachodniej, że Europa potrzebuje Rosji, i to prawda. My uważamy, że Rosja jeszcze bardziej potrzebuje Europy".

Minister Ławrow był gościem Radosława Sikorskiego jako szefa MSZ czterokrotnie. Wiele z tego nie wynikło – reset okazał się pojęciem głównie propagandowym, i to przede wszystkim z powodu braku woli strony rosyjskiej.

NOWY UKŁAD

Zróbmy teraz skok naprzód do chwili obecnej, starając się podsumować strategiczną zmianę w globalnej i polskiej polityce.

W polityce globalnej utrwalony po 1989 r. ład całkowicie się posypał i jesteśmy w trakcie kształtowania się nowego układu, którego obraz dopiero zaczyna się wyłaniać. Atak Rosji na Ukrainę w 2022 r. był zaskakujący z zachodniego punktu widzenia (niezależnie od ostrzeżeń wywiadów), wszystko bowiem wskazywało, że Moskwa jest w stanie osiągać daleko rozciągnięte wpływy poprzez oddziaływanie polityczne i gospodarcze, bez sięgania po ryzykowne działania militarne. Ten pogląd trzeba było zrewidować, aczkolwiek niektórzy tę rewizję posunęli za daleko, przekonując, że inwazja na Ukrainę oznacza gotowość do inwazji na kraje NATO: państwa bałtyckie, a nawet Polskę. Na to nic nie wskazuje. W połowie października dowódca wojsk Sojuszu Północnoatlantyckiego, gen. Alexus Grynkewich, publicznie stwierdził, że Rosja nie zaatakuje NATO, ponieważ zostałaby przez nie pokonana. Jego stwierdzenie jest spójne z częścią opinii wyrażanych przez frakcję podżegaczy wojennych, którzy nieustannie wskazują na koszty, jakie Rosja ponosi w związku z wojną. Nie wyciągają z tego jednak logicznego wniosku, że na dalej posunięte działania jej nie stać, bo zarazem straszą nieuchronnym atakiem na kraje sojuszu.

GEOPOLITYCZNE TRZĘSIENIE ZIEMI

Atak na Ukrainę, a następnie ponowny wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA uruchomiły geopolityczne trzęsienie ziemi. Jego opis mógłby zająć wiele tomów, lecz w największym skrócie widzimy następujące zjawiska.

Po pierwsze – spadek pozycji Rosji w wielkim trio globalnych mocarstw do pozycji najwyżej równej albo nawet niższej, niż mają Chiny. Po drugie – odpowiadający temu wzrost pozycji Chin. Po trzecie – najpewniej trwałe ograniczenie chęci Stanów Zjednoczonych do działania w imieniu i na rzecz swoich sojuszników, przynajmniej bez wyraźnych korzyści z tego wynikających. Ta zmiana niemal na pewno przetrwa Donalda Trumpa, niezależnie od tego, kto – republikanin czy demokrata – zajmie jego miejsce. Po czwarte – próba wykorzystania sytuacji przez część krajów UE oraz aktualną Komisję Europejską do realizacji planów skrajnej centralizacji UE oraz nacisk na kontynuację morderczej polityki klimatycznej. Po piąte – rozchwianie systemu handlu surowcami energetycznymi z powodu bliskowschodniej awantury, wywołanej z inicjatywy Izraela. Nałożenie się tego faktu na wojnę rosyjsko-ukraińską

eprasa.pl 8645d9a30d



FOT. ADOBESTOCK

niesie ze sobą druzgocące skutki w postaci radykalnych wzrostów cen nie tylko surowca (w chwili pisania tego tekstu cena ropy Brent sięga nawet 117 dol. za baryłkę – to poziom tylko o kilkadziesiąt centów niższy niż tuż po wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie), lecz także gotowego paliwa, a to z powodu znaczącego spadku mocy rafineryjnych wskutek ataków na te instalacje, prowadzonych odwetowo przez Iran w krajach sojuszniczych wobec USA oraz przez Ukrainę w Rosji.

Jak widać, mamy do czynienia z prawdziwą szachownicą 3D, przy której układ międzynarodowy, który wykształcił się w pierwszych dwóch dekadach po 1989 r., wydaje się kolorowanką dla dzieci. Niestety, polska debata i koncepcje za tymi komplikacjami nie nadążają. U nas nadal politycy zajmują się kolorowankami.

„SKORO NIE UNIA, TO PUTIN"

Do chwili wybuchu wojny na Ukrainie schemat był rozpisany następująco: PiS jest rusofobiczny, a pokrzykiwania Jarosława Kaczyńskiego na Majdanie w 2013 r. „Sława Ukraini!" są powodem do dumy. Platforma Obywatelska jest „europejska", a „europejskość" oznacza, że trzeba jakoś z Rosją współpracować, skoro współpracują z nią na potęgę Niemcy, bo to Berlin jest wyznacznikiem „europejskości". Przedstawiciele opcji „jagiellońskiej" byli przede wszystkim w PiS, podczas gdy polityczni oponenci, na czele z ministrem Sikorskim, opowiadali się za opcją „piastowską", pokpiwając z wysiłków Lecha Kaczyńskiego. Wysiłków skazanych zresztą – co dzisiaj widać jak na dłoni – na niepowodzenie z powodu immanentnych różnic interesów między państwami regionu, lekko tylko zamaskowanych wspólnym – i to też nie dla wszystkich – stanowiskiem wobec Rosji.

Rok 2022 zdjął z głównych sił politycznych właściwie już wszelkie uciążliwości związane z udawaniem, że prowadzi się jakąś bardziej skomplikowaną pracę myślową. Sprawa stała się prosta jak konstrukcja cepa: Putin jest zły, Rosja jest zła, zatem trzeba tak przedstawiać politycznych rywali, żeby jak najmocniej powiązać ich z Putinem. Od czterech lat większość publicznej wymiany poglądów pomiędzy głównymi siłami politycznymi sprowadza się do bzdurnej i całkowicie bezproduktywnej licytacji na to, kto bardziej nienawidzi Rosji, oraz przypisywania sobie nawzajem onucyzmu i putinizmu. Najnowsze wydanie tego chocholego tańca to komentarze po wystąpieniu Jarosława Kaczyńskiego w Krynicy, gdzie wspomniał o rozpoczęciu negocjacji o polexicie jako ostatecznym środku wywarcia presji na UE w sprawie reform. Jak łatwo było przewidzieć, z obozu władzy natychmiast zaczęły dobiegać komentarze w stylu „skoro nie Unia, to Putin!". Putin pojawił się również – jakżeby inaczej – w wystąpieniu premiera Tuska po siłowym zajęciu Trybunału Konstytucyjnego przez pseudosędziów.

SPRZECZNOŚĆ W INTERESACH PAŃSTW UE

Rytualizacja debaty obejmuje w zasadzie wszystkie ośrodki polityczne poza Konfederacją i Konfederacją Korony Polskiej, przy czym ta ostatnia w wielu momentach celowo, jak można założyć, przegina przekaz w stronę przeciwną wobec mainstreamowej. Antyrosyjskie rytuały dotyczą również Pałacu Prezydenckiego. Występując niedawno na forum w Krynicy, szef prezydenckiego Biura Polityki Zagranicznej Marcin Przydacz stwierdził, że Polska powinna być bardzo ostrożna, gdy idzie o negocjacje z Rosją na temat wygaszenia wojny na Ukrainie. Mówił również, że negocjacje z Rosją powinny mieć miejsce dopiero wówczas, gdy to Moskwa będzie przyciśnięta do ściany, a jej pozycja słabsza niż pozycja Ukrainy.

Poziom oderwania tych deklaracji od rzeczywistości był tak przykry, że z trudem się tego słuchało. Mniej więcej w tym samym czasie w „Financial Times" pojawiła się informacja, że Polska nie znajdzie się w wąskiej grupie krajów, mających uczestniczyć w negocjacjach na temat zakończenia wojny na Ukrainie. Europę mają w niej reprezentować jedynie Wielka Brytania, Niemcy oraz Francja (tzw. format E3). Nasze sprzeciwy wobec negocjacji, mówienie o pożądanych warunkach i inne wypowiedzi, które można sprowadzić do zaklęcia „nie ma naszej zgody!", narażają nas jedynie na śmieszność.

Przy czym trzeba odnotować pewną sprzeczność w interesach największych europejskich graczy, w tym zwłaszcza Niemiec. Z jednej strony trwanie konfliktu na Ukrainie jest Berlinowi na rękę. Pozwala szermować argumentem bezpieczeństwa w odniesieniu do likwidacji weta w sprawach bezpieczeństwa i zagranicznych. Z drugiej jednak, dopóki wojna trwa, dopóty Berlin nie może wznowić handlu węglowodorami z Rosją. Wszakże, jak to w dyplomacji, nic nie musi być zero-jedyn-

eprasa.pl 8645d9a30d



kowe. Można wyobrazić sobie sytuację, w której handel z Rosją zostaje wznowiony, a jednocześnie trwa nacisk, aby ze względów bezpieczeństwa centralizować Unię Europejską. Ten ostatni jest wspomagany planem przyjęcia do niej Ukrainy. Tu bowiem pojawia się argument, że nie sposób sprawnie zarządzać związkiem przynajmniej 28 krajów (pomijając inne możliwe poszerzenia) przy aktualnych zasadach. Rosja przystąpieniu Ukrainy do UE się nie sprzeciwia.

Z ROSJĄ NALEŻY WSPÓŁPRACOWAĆ

Na horyzoncie majaczy wznowienie jakiejś formy relacji z Rosją, choć nie wiemy jeszcze, co przyniesie planowane spotkanie Trumpa z Xi i Putinem – jeśli do niego dojdzie; pomiędzy jego uczestnikami pojawiają się bowiem spory co do jego agendy. Polska nie odpowiada na razie w ogóle na pytanie, co w takiej sytuacji powinniśmy zrobić. To olbrzymi słoń w pokoju, którego istnienie próbują ignorować prawie wszyscy politycy głównych sił. Niechętnie na ten temat mówią nawet politycy Konfederacji. Jedynie dla tych z Konfederacji Korony Polskiej sprawa jest jasna – z Rosją należy współpracować – ci jednak z kolei idą w uproszczenie kwestii wcale niełatwej.

Część obozu opozycji nie jest w stanie wyzwolić się spod zaklęcia rywalizacji z obozem władzy na antyrosyjskość i boi się choćby napomknąć, że Polska z konieczności będzie przynajmniej musiała spróbować jakoś odnaleźć się w nowym układzie. Tak zachowują się PiS i Rozwój Plus, ale również – co w obecnej sytuacji szczególnie istotne – Pałac Prezydencki. Głosy płynące z Konfederacji są ostrożniejsze. Mój niedawny gość w programie „Warzecha Kontra", poseł Ruchu Narodowego Witold Tumanowicz, przyznał, że gdyby duża część Europy wznowiła handel z Rosją, pozostawanie Polski w tej mierze w izolacji ustawiałoby nas w raczej niekorzystnej pozycji. Z kolei politycy KKP wydają się ignorować fakt, że w takim układzie są zawsze dwie strony, więc chcieć jakiejś formy resetu musiałaby również Moskwa – a tutaj gwarancji nie ma. Ba, jest również możliwe, że sytuację po zakończeniu wojny na Ukrainie Rosja wykorzystałaby do mocnego podzielenia Zachodu na tych, którzy są „pragmatyczni", i „groźnych doktrynerów", takich jak Polska. Przy czym – to trzeba również podkreślić – Warszawa na taki obraz wydatnie obecnie pracuje. Finał może być taki, że z naszym twardym antyputinizmem pozostaniemy jak Himilsbach z angielskim.

Już tak się zresztą częściowo dzieje. W minionym tygodniu we wtorek i w czwartek w Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich toczyła się kolejna runda negocjacji między Rosją, USA a Ukrainą. Europa była w tych rozmowach nieobecna, tymczasem po raz pierwszy strona amerykańska dopuszcza rozmowę o „nowej architekturze bezpieczeństwa". Miałaby ona obejmować z jednej strony twarde gwarancje dla Kijowa – rzecz z polskiego punktu widzenia fatalną – oraz uwzględnienie „rosyjskich interesów bezpieczeństwa", co może oznaczać np. rezygnację z budowy stałej bazy wojsk amerykańskich w naszym kraju. Można narzekać, że Polski nie uwzględnia się jako uczestnika tych negocjacji w żadnym ich wariancie. Ale jak miano by nas uwzględniać, skoro sami założyliśmy z góry, że w żadnych negocjacjach z Rosją nie będzie brać udziału, bo to dyshonor?

Czy naprawdę nie jest jeszcze jasne, że chowanie głowy w piasek się nie sprawdzi? Nie ma powodu sądzić, że nasze relacje z Rosją staną się z dnia na dzień choćby przyzwoite ani też że sama Rosja będzie takich w ogóle chciała. Ten kraj jednak nie zniknie z mapy z powodu naszego chciejstwa. W dotyczących go kalkulacjach musimy brać pod uwagę zarówno jego ambicje, jak i paranoje, w tym te dotyczące własnego bezpieczeństwa, rozumianego nierzadko w absurdalnie szeroki sposób. Musimy też jednak uwzględniać własny interes, zarówno ekonomiczny, jak i geostrategiczny. Jeżeli nastąpi ocieplenie stosunków Moskwy i z USA, i z przynajmniej częścią państw UE, podparte zakończeniem wojny na Ukrainie, to trwanie w twardej antyrosyjskości nijak nam się nie przysłuży. Tu trzeba przypomnieć, że o odpowiedzi na rosyjskie obawy, dotyczące bezpieczeństwa, wspominał ostatnio w kontekście negocjacji z Moskwą nawet Wołodymyr Zełenski, a Pentagon zaczął naciskać na szczególnie agresywnych w swojej retoryce Bałtów, aby przestali odnosić się do Rosji prowokacyjnie, bo zmniejsza to ich bezpieczeństwo. Za tymi wskazaniami ma stać wpływowy podsekretarz stanu w Departamencie Wojny Elbridge Colby. Te upomnienia należy czytać jednoznacznie: jeżeli rosyjska kontra będzie skutkiem powtarzającego się prowokacyjnego zachowania krajów bałtyckich, to reakcja Ameryki może być co najmniej wstrzemięźliwa. Można się na takie postawienie sprawy oburzać, ale oburzenie jest bezproduktywne.

KONIECZNOŚĆ MODUS VIVENDI

Nie chodzi o przyjaźń z Rosją (przyjaźń w stosunkach międzynarodowych raczej nie istnieje). Nie chodzi również o stosunki ciepłe czy kordialne. Chodzi o wypracowanie modus vivendi, którego w tym momencie po prostu nie ma. Pomóc nam mogłyby w tym chociażby przyzwoite relacje z Chinami, o ile nie ulegniemy amerykańskim i brukselskim naciskom, aby Chiny traktować jak wroga. Aczkolwiek, patrząc na relacje Donalda Trumpa z Xi Jinpingiem, nie jest to bynajmniej jednoznaczne.

Tak czy owak, konieczność ułożenia relacji z Moskwą pojawi się raczej prędzej niż później. Nie zmienią tego rytualne zaklęcia polskich polityków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



Z Włodzimierzem Skalikiem, wiceprezesem Konfederacji Korony Polskiej, szefem Koła Poselskiego KKP w Sejmie
rozmawia Ryszard Gromadzki

Władza chce wziąć Polaków za pysk

RYSZARD GROMADZKI: Nie obawia się pan, że rządzący będą próbowali wykorzystać tragedię, która rozegrała się w Krakowie 7 listopada, do przeforsowania ustawy „o środkach ograniczających", de facto likwidującej wolność słowa w Polsce oraz zamknięcia debaty na temat dostępu obywateli do broni palnej?

WŁODZIMIERZ SKALIK: Niezależnie od tego, co wydarzyło się w Krakowie – czy ten dramat miałby miejsce czy nie – obserwuję ogromną determinację władzy, żeby wprowadzić ustawę o „środkach ograniczających", żywcem przypominającą przepisy obowiązujące w III Rzeszy. Rząd Tuska forsuje ją z wielką konsekwencją. Mam nadzieję, że to niemające precedensu w najnowszej historii Polski, totalitarne prawo nie wejdzie w życie, za sprawą weta prezydenta Nawrockiego. Karol Nawrocki wydaje się zasadniczo innym prezydentem od swojego poprzednika, ufam, że wsłucha się w argumenty przeciw tej ustawie i podejmie właściwą decyzję. Choć nie mogę definitywnie wykluczyć sytuacji, w której prezydent, poddany presji wywołanej przez zamach w Krakowie, może zgodzić się, żeby to drakońskie prawo jednak zaczęło w Polsce obowiązywać. Czas pokaże. Wierzę, że sprzeciw wobec tego totalitarnego bezprawia ze strony niezależnych mediów, w tym państwa redakcji, i planowane protesty społeczne pozwolą ostatecznie zastopować te bardzo szkodliwe przepisy.

Ustawa o „środkach ograniczających", o której rozmawiamy, ma na celu przeciwdziałanie mitycznej dezinformacji wymierzonej w podstawy bezpieczeństwa państwa. Tymczasem jak na razie to premier i jego ministrowie sieją rzeczywistą dezinformację. Tusk notorycznie straszy Polaków rosyjską napaścią i prowokacjami, których jakoś nie widać, ale prawdziwym mistrzem dezinformacji okazał się szef MSWiA Marcin Kierwiński, który błyskawicznie połączył poglądy zamachowca z Krakowa z radykalną prawicą, choć prokuratura wykluczyła, żeby zabójca miał takie związki.

Skandaliczne wystąpienie Kierwińskiego to, niestety, nie pierwszy tego rodzaju przypadek. Przypuszczam, że gdyby wypowiedź szefa MSWiA miała miejsce pod rządami ustawy 3003, to przy drakoń-

eprasa.pl 8645d9a30d



FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI / FOTONEWS / FORUM

skich sankcjach, które są w niej zapisane, mało kto odważyłby się zaprotestować czy choćby zwrócić uwagę na kłamstwa ministra. Właśnie tego ministra, który według ustawy miałby wpisywać na tzw. krajową listę sankcyjną osoby fizyczne czy prawne, które w jego mniemaniu miałyby szerzyć dezinformację. Zwracam uwagę, że minister, wpisując jakąś osobę na ową listę sankcyjną, nie miałby obowiązku powiadamiać tej osoby.

Taki nieszczęśnik dowiadywałby się, że jest „wrogiem ludu" od komornika skarbowego, który zająłby mu konta i nieruchomości.

Tak. W myśl ustawy wpisy na krajową listę sankcyjną byłyby publikowane – uwaga! – w Biuletynie Informacji Publicznej. Kompletne kuriozum. Kto śledzi ten biuletyn? Ustawa miałaby uderzać nie tylko w autorów domniemanej dezinformacji, lecz także osoby ich wspierające czy współpracujące z nimi faktycznie, czy hipotetycznie.

Przy tych zapisach Wielki Brat to mały pikuś...

Idźmy dalej. Jeżeli ktoś dokonałby darowizny na rzecz któregoś z wolnościowych mediów np. takiego jak wasze, natychmiast podpada pod tę ustawę i musi liczyć się z karami finansowymi do 20 mln zł albo z pozbawieniem wolności do lat 12. W przypadku gdy podejrzenie o szerzenie dezinformacji padłoby na jakiś podmiot prawny, wysokość kary pieniężnej może sięgać nawet 200 mln zł.

Tak można „zaorać" wolność słowa i prawa obywatelskie. Czysta bolszewia. Tusk okazał się pojętnym uczniem towarzysza „Wiesława", autora słynnej frazy „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy".

Trzeba pamiętać, że nawet w najczarniejszym okresie komuny w Polsce nie było takiego prawa, które pozwalałoby pozbawić kogoś w trybie administracyjnym całego majątku i środków do życia. Takie prawo wprowadziła III Rzesza w 1933 r. Podobnie jak w przypadku „ustawy 3003", to minister spraw wewnętrznych III Rzeszy decydował arbitralnie, kto kwalifikuje się do zastosowania tych przepisów, wymierzonych we wszystkie środowiska opozycyjne. Podobieństwo między prawem przyjętym pod rządami Adolfa Hitlera w Niemczech a tym forsowanym dziś w Polsce przez Donalda Tuska jest uderzające. Kiedy wskazywałem na to podobieństwo w trakcie prac nad ustawą w komisjach sejmowych i podczas debaty na sali plenarnej, wywołało to wielkie oburzenie, jak śmiem porównywać te przepisy do prawa ustanowionego za czasów Hitlera w Niemczech.

Jak wytłumaczyć to, że podczas głosowania nad tą ustawą od głosu wstrzymał się były wicepremier w rządzie PiS Jacek Sasin?

To warto zapamiętać. To jest bardzo znamienne, kto jak głosował w tej sprawie. To dobry test na to, kto ma odchylenia zamordystyczne. Jak się okazuje, ma je cała koalicja rządowa.

Nawet w najczarniejszym okresie komuny w Polsce nie było takiego prawa, które pozwalałoby pozbawić kogoś w trybie administracyjnym całego majątku

I nie tylko. Ustawę poparła Partia Razem, pozornie tak wyczulona na sprawiedliwość społeczną.

Mnie to nie dziwi. Lewicowa międzynarodówka, której częścią jest przecież Partia Razem, od zawsze promowała zamordyzm. Czy to jest Czarzasty, czy Zandberg, gdy idzie o wolność słowa i swobodę wyrażania opinii, to oni zawsze trzymają sztamę. Ustawa o „środkach ograniczających" pojawiła się w Sejmie cichcem i natychmiast uzyskała numer druku. Jednego dnia została powołana specjalna podkomisja, by po paru godzinach prac i nieprzyjęciu wniosku o odrzucenie ustawy w całości, już kolejnego dnia skierować ją ponownie do komisji, pomimo że sejmowi legislatorzy znaleźli ponad 80 błędów legislacyjnych w projekcie. Zwracam uwagę, że ustawa była prezentowana w Sejmie w imieniu rządu Donalda Tuska przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, konkretnie przez wiceministra Niemczyckiego. Przecież MSZ z natury rzeczy powinno reprezentować Polskę na zewnątrz, a poprzez dyplomację dbać o polski interes narodowy w relacjach z innymi państwami. A co mamy? MSZ, jako odwrócony agent, transmituje do Polski systemy zniewolenia.

Rząd Tuska transmituje te „systemy zniewolenia" – jak pan to określił – wprost z Brukseli z pełnym namaszczeniem Komisji Europejskiej.

Okazuje się, że Tusk poszedł w zamordyzm jeszcze dalej niż Bruksela. Do przeforsowania ustawy 3003 wykorzystano implementację dyrektywy Komisji Europejskiej mającej na celu zdyscyplinowanie państw Unii w zakresie przestrzegania sankcji nałożonych na Rosję. Rząd Tuska niepomiernie rozbudował tę dyrektywę, dodając do niej

eprasa.pl 8645d9a30d

przepisy o krajowej liście sankcyjnej, których unijna dyrektywa bynajmniej nie zawiera.

Trudno mi sobie wyobrazić, żeby prezydent Nawrocki podpisał ten totalitarny gniot. Gdyby to zrobił, skompromitowałby się w oczach większości wyborców prawicy. Byłoby to polityczne samobójstwo.

Ustawa 3003 była procedowana w tak „konspiracyjnym" trybie, że wielu posłów w Sejmie nie miało pojęcia, że toczą się nad nią prace. Dotyczy to również Kancelarii Prezydenta. Teraz, myślę, że m.in. dzięki Konfederacji Korony Polskiej, ten groźny projekt jest już Kancelarii Prezydenta znany. Powtórzę raz jeszcze, bardzo liczę na to, że pan prezydent nie pozwoli na to, żeby to skrajnie groźne prawo w Polsce obowiązywało. Mówimy o sytuacji, w której urząd głowy państwa sprawuje Karol Nawrocki.

Trzeba mieć świadomość, że Tusk i jego rząd podają w wątpliwość to, że prezydent ma kompetencje i jest zdolny do sprawowania tego urzędu. Kurs, który obrał Tusk, może doprowadzić do stanu, w którym to już nie Karol Nawrocki będzie oceniał ustawę 3003. Za pośrednictwem mediów, takich jak pana redakcja, wzywam rodaków do wielkiej mobilizacji. Najbliższe tygodnie i miesiące zdecydują o tym, czy Polska pozostanie państwem suwerennym, czy stanie się landem eurokołchozu, gdzie będą obowiązywać przepisy wdeptujące w ziemię opozycję, uniemożliwiając jej jakąkolwiek działalność. Myślę, że ustawa 3003 jest fragmentem szerszego zestawu działań prowadzących do zniewolenia Polski, które jeszcze się nie uwidoczniły, a które rząd Tuska planuje. Zarówno w Sejmie, jak i podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego widać było niesamowitą pewność siebie, wręcz butę ze strony Tuska i jego otoczenia.

Moim zdaniem wynika to z bardzo silnego poparcia mocodawców z Brukseli dla programu realizowanego przez Tuska. Nieprzypadkowo przewodnicząca Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola przybyła do Warszawy kilka dni po zamachu na Trybunał Konstytucyjny. Jestem przekonany, że przejęcie TK było skorelowane z jej wizytą. Takie rzeczy planuje się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Bezprawne zawłaszczenie TK było swoistym „prezentem" dla gościa z Brukseli. Dlatego jako posłowie Konfederacji Korony Polskiej opuściliśmy salę plenarną Sejmu, w momencie kiedy pojawiła się tam pani Metsola, w geście sprzeciwu wobec hańby, jaką była przestępcza akcja rządu Tuska wobec TK. Co znamienne, Metsola odmówiła spotkania z prezydentem Nawrockim, dając jasno do zrozumienia, po czyjej stronie opowiada się w konflikcie o Trybunał.

Rząd Donalda Tuska z całą pewnością zmierza do zawieszenia obowiązującego prawa i wprowadzenia stanów nadzwyczajnych, by ograniczyć swobody obywatelskie

Wrócę do tragedii w Krakowie. Nie chcę promować żadnych alternatywnych scenariuszy, ale czy pana zdaniem dramat, który się tam rozegrał, był dziełem przypadku? Morderczą akcją „samotnego wilka", bo wydaje się, że taką narrację tkają organy ścigania i większość mediów?

Przyznam się, że mam wiele wątpliwości, ale na razie oparte są one na tak niepewnych przesłankach, że nie mogę w sposób odpowiedzialny wypowiadać się na ten temat. Dlatego nie chcę w tym momencie dzielić się swoimi wątpliwościami. Mam ich wiele. Chociażby wymowna sekwencja zdarzeń. Donald Tusk, bodaj na dzień przed zamachem w Krakowie, ostrzegał przed wydarzeniami, które mogą nastąpić w ciągu najbliższych kilku dni, a może nawet kilkudziesięciu godzin. Myślę, że w przyszłości poznamy informacje, które rzucą więcej światła na to, co stało się w Krakowie 7 listopada, i będzie to wiedza niekoniecznie potwierdzająca rozwijane dziś narracje. Z całą pewnością Donald Tusk i jego ekipa brutalnie wykorzystują tę sytuację do forsowania swojej antypolskiej agendy. Natychmiast po zamachu w Krakowie pojawiły się głosy, żeby utrudnić Polakom dostęp do broni. Podejmuje się tę sprawę w kraju, którego społeczeństwo jest najbardziej rozbrojone w Europie.

Społeczeństwo uzbrojone, odpowiedzialni obywatele potrafiący obchodzić się z bronią, są potencjalnie groźni dla władzy...

Tak. Dramat w Krakowie jest bezczelnie wykorzystywany przez rząd do realizacji tych złych pomysłów. Niedawno Gawkowski wypowiadał się wprost, że trzeba zwalczać swobodę wypowiedzi w Internecie, pomstując na platformę X, że to medium, które nie współpracuje z rządem. Uważam, że jako społeczeństwo stoimy naprawdę w obliczu groźnej sytuacji.

Powiedział pan, że najbliższe miesiące będą kluczowe dla polskiej suwerenności. Czy w związku z tym należy spodziewać się prób wzniecenia chaosu w kraju? Dramat, jaki miał miejsce w Krakowie, może się powtórzyć?

W mojej opinii rząd Tuska zmierza z całą pewnością do zawieszenia obowiązującego prawa i wprowadzenia stanów nadzwyczajnych, by ograniczyć swobody obywatelskie. Być może będą szczególnie zmotywowani do takich ruchów, kiedy okaże się, że nie wszystkie działania, które mają zaplanowane, uda się im zrealizować przed wyborami. Chcę szczególnie podkreślić jedną, moim zdaniem newralgiczną kwestię. Stan finansów państwa polskiego jest nieprawdopodobnie dramatyczny. Jesteśmy w przedsionku wielkiego bankructwa państwa polskiego.

To m.in. skutek finansowania z naszego budżetu drugiego państwa, czyli Ukrainy?

Tak jest. Jako Polska wydajemy ponad 50 mld dol. na zbrojenia, z czego większość jest podyktowana potrzebami wojennymi Ukrainy. Zgodnie z wieloletnią perspektywą budżetową, którą przygotował minister Domański, już niedługo nastąpi gwałtowne zredukowanie wydatków państwa polskiego. Czy wyobrażamy sobie jakie skutki będzie miało obniżenie wydatków budżetowych o jedną trzecią? Czy wyobrażamy sobie, co się wtedy stanie ze szkołami, służbą zdrowia, wojskiem i policją, usługami publicznymi? To będzie kompletne załamanie. W związku z tym Polska i Polacy muszą zostać wzięci za pysk, zanim dojdzie do krachu państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8645d9a30d

Tusk jak surfer – płynie na fali społecznego niepokoju



Piotr Semka

Mało kto próbuje trafnie definiować techniki poszerzania władzy, którymi Tusk się posługuje. Lider KO sprawnie wykorzystuje w tym celu lęk społeczny przed ewentualnym konfliktem międzynarodowym i tego typu incydenty jak niedawna masakra w Krakowie

Od czasu pomyślnych dla Donalda Tuska wyborów w 2023 r. obecny premier konsekwentnie wykorzystuje polaryzację społeczną i nie waha się zawłaszczać instytucji publicznych. Ale dopiero po zdobyciu Trybunału Konstytucyjnego, czyli siłowego zamachu stanu na instytucję konstytucyjną, można mówić o kursie na zdobycie władzy autorytarnej.

TAKTYKA TUSKA

Mało kto próbuje trafnie definiować techniki poszerzania władzy, którymi Tusk się posługuje. Lider KO sprawnie wykorzystuje w tym celu lęk społeczny przed ewentualnym konfliktem międzynarodowym i tego typu incydenty jak niedawna masakra w Krakowie. Najtrafniejsza jest analogia do lidera KO jako surfera umiejętnie płynącego po falach niepewności Polaków co do ich przyszłości. Jakie są elementy tej techniki zdobywania przewagi nad rywalami? Dlaczego Tusk jest tak skuteczny? Wyliczmy elementy jego taktyki w punktach.

1. NIEPRAWDOPODOBNA MIESZANKA OSOBOWOŚCI

Szukając analogii do stylu osobowości i sposobu komunikacji Donalda Tuska z Polakami, trzeba przyznać, że jest to nieprawdopodobna mieszanka. Polityk, który raz niemal otwartym tekstem zapowiadał wzięcie państwa „za twarz", jak uczynił to w czasie wakacyjnego Campusu Polska, gdzie zapowiedział przejęcie Trybunału i całkiem szczerze wyznał, że dokonają tego „nasi" sędziowie. I dokonał tego bez jakichkolwiek głosów oburzenia lub konsternacji ze strony słuchających go setek młodych ludzi. A jednocześnie ktoś, kto stworzył wyspecjalizowany sztab psychologów, socjotechników władzy i praktyków politycznej propagandy, którzy na bieżąco reżyserują akcje siłowe bądź rozładowują atmosferę i uderzają w szyderstwo z oponentów. Szukając analogii do postaci Tuska, przychodzi mi na myśl tylko genialna kreacja Jacka Nicholsona w ekranizacji filmu „Batman" z 1989 r. Główny bohater to Joker – złoczyńca, który chce opanować fikcyjne Gotham City. Joker, z którym przychodzi walczyć pozytywnemu bohaterowi, Batmanowi, jest genialnym neurastenikiem – praktykiem uwodzenia mas. Sam popełniając przestępstwa, w doskonały sposób potrafi przedstawiać swego adwersarza Batmana jako największe zagrożenie dla porządku publicznego. Gdy trzeba, kreuje się na ofiarę, gdy jest to mu potrzebne, potrafi wzbudzać współczucie, a gdy chce zrealizować swój plan – potrafi być bezwzględny, skuteczny i brutalny. I w rezultacie spora część mieszkańców Gotham City jest nim zauroczona, a nawet uważa go za fantastyczną opcję w kwestii władzy nad miastem.

Coś podobnego przychodzi mi na myśl, gdy oglądam krótkie filmiki Tuska

eprasa.pl 8645d9a30d


FOT. FOTO/REPORTER

i jego bądź zaczepne, bądź udające współczucie tweety.

Wtedy gdy kłamie z sejmowej trybuny na temat incydentu na cmentarzu z Danutą Holecką i wtedy gdy fotografuje się z szelmowskim uśmiechem na sali sejmowej na tle opozycyjnego napisu: „Tusk = dictator!".

I właśnie dlatego Tusk jest tak bardzo skuteczny na drodze do zdobywania władzy autorytarnej. Ale sprzyja mu też określony moment historyczny.

2. SZAMAN EPOKI LĘKU

Jeśli próbować wyznaczyć kres epoki spokoju i pewności siebie Polaków, to będzie to listopad 2019 r., kiedy to w chińskim mieście Wuhan oficjalnie ogłoszono pandemię COVID-19. Polacy rozleniwieni ponad trzema dekadami optymizmu po upadku PRL nagle zderzyli się z czymś, co było nieprzewidywalne, groźne i niszczące. Ludzie tracili bliskich, restauratorzy bankrutowali, nagle zderzali się z zakazami, których wcześniej nikt im nie narzucał, a jednocześnie zaczęli tłumaczyć sobie na różne sposoby, dlaczego to całe nieszczęście ich dotknęło.

W tym sensie pandemia przypominała wielki kryzys w Niemczech w latach 20., kiedy to najpierw galopująca inflacja, a potem światowe załamanie gospodarcze w latach 1929–1932 wywróciło wszystkie dotychczasowe pewniki.

Przeciętny Niemiec, uczony żyć oszczędnie, odkrywa jednego dnia, że jego pieniądze są bez wartości. Ludzie pilnie pracujący przez wiele lat w danej firmie dowiadywali się, że nic to nie znaczy, bo w jednej chwili mogą zostać zwolnieni. Skoro ten świat dotychczasowych wartości się rozsypał, to ludzie wpadali w panikę i albo wycofywali się z życia publicznego, albo się radykalizowali. A w sytuacji radykalizacji i niepokoju wygrywał ten, kto miał największą determinację w używaniu sprawnej propagandy połączonej z gotowością do używania siły. I tutaj Tusk doskonale pasuje do tego wzorca.

To nie koniec atutów Tuska. Sprzyja mu też rozsypywanie się pewników w dziedzinie bezpieczeństwa. Polsce po raz pierwszy od końca pierwszej dekady XXI w., od czasu agresji Rosji na Gruzję, a potem Ukrainę grozi cały kompleks niebezpieczeństw. O ile próby zalania Polski imigrantami przez Białoruś (a w tle Rosję) udało się jakoś zahamować, o tyle prowokacje rosyjskie są już faktem. Awarie torów, rosyjska aktywność w polskiej infosferze czy „przypadkowe" przeloty dronów przez granice – wszystko to oddziałuje na psychikę Polaków. Jeśli dodać do tego pojawienie się w Polsce patologii socjologicznych, jak przypadki ataków uczniów z nożem w szkołach czy ostatnia masakra w Krakowie, to komplet niebezpieczeństw musi mocno przeorywać psychikę Polaków. I na tym korzysta Tusk.

3. KTOŚ, KTO LICZY NA ZOBOJĘTNIENIE WOBEC ŁAMANIA PRAWA

Najlepiej ten problem zdefiniował Piotr Gursztyn: „Masa ludzi nie jest w stanie znieść bombardowania skrajnie negatywnymi bodźcami. Wycofuje się prywatność. Nie chce »w tym wszystkim uczestniczyć«, więc de facto wycofuje się z życia publicznego. Natura nie znosi próżni, tym samym nienawistnicy dostają więcej przestrzeni dla siebie. A zbyt wielu obywateli traci przez to wiarę nie przez politykę, nie państwo, ale Polskę w ogóle".

Ktoś może powiedzieć w tym momencie, że problemem jest więc nie tyle sam Tusk, ile nienawiść dwóch politycznych plemion, które obrzucają się wyzwiskami w sieci. Ale sprawa nie jest taka prosta. Dlaczego polaryzacja działa bardziej na rzecz Tuska, a nie na rzecz jego prawicowych oponentów? Odpowiedź składa się z paru elementów. Po pierwsze, to Tusk ma do swej dyspozycji organy władzy – prokuraturę, policję, służby specjalne. Nienawiść jego obozu może się przełożyć na konkretne działania, takie jak np. zajęcie budynku Trybunału Konstytucyjnego czy demonstracyjna akcja, w której mąż prezenterki znienawidzonej przez rządzącą koalicję telewizji może zostać wskutek akcji policyjnej skuty i przygnieciony do nawierzchni ulicy. Jeśli z kolei druga strona przełoży swoją nienawiść w czyn, w jakikolwiek sposób, choćby rzucając jajkiem z farbą w biuro posłanki KO, to Tusk ma znacznie więcej narzędzi, aby ogłosić moralną panikę.

Kolejny czynnik, który daje Tuskowi przewagę w tej licytacji na nienawiść, to prosta okoliczność: jego obóz jest w miarę twardy i homogeniczny ideowo, a jego adwersarze są rozbici i skłóceni. W największym stopniu paraliżuje to skuteczny opór przeciwko działaniom Tuska w przestrzeni politycznej, ale o wiele bardziej widoczne jest w przestrzeni komentowania wydarzeń spontanicznych. Przytoczmy jeden przykład. Gdy Polacy i politycy prawej strony zobaczyli demonstrację jawnej siły w postaci najazdu policji na Trybunał Konstytucyjny w słynny piątek 30 października, wszyscy byli z grubsza zgodni, że stało się coś złego. Ale wystarczyło, że w trakcie protestującego przeciwko tej złej rzeczy zdarzył się jeden wizerunkowy kiks w postaci przaśnego występu posła PiS Michała Wójcika, a nagle wybuchła fala kpin i konstatacji, że to unieważnia wszelkie mówienie o zamachu stanu. A przecież każdy, nawet najmniej stosowny występ, nie zmieniał faktu, że Trybunał nadal jest broniony przez policjantów z tarczami i w przyłbicach, a sędzia

eprasa.pl 8645d9a30d

Anna Korwin-Piotrowska nadal nielegalnie zarządza tym budynkiem. Oczywiście różni krytycy reagowali różnie na występ Wójcika. Rozumiem, że część z nich, np. z prawego komentariatu, miała już dosyć zbyt częstej reklamy zegarków niepodległości czy też martwiła się, że śpiewanie hitu Krawczyka pozbawi protest pod TK powagi. Ale nolens volens ich krytyki wpisały się w kontrpropagandę obozu zwolenników Tuska, że „skoro pod Trybunałem demonstranci śpiewają, to znaczy, że o żadnym zamachu nie może być mowy. A to już było ewidentne kłamstwo i manipulacja. Trudno też było nie odnieść wrażenia, że dla części internautów beka z koncertu pod TK była wygodnym zwolnieniem z obowiązku odniesienia się do powagi sytuacji. Cykl rozumowania był bardzo prosty. Skoro pod Trybunałem – jak to mówią znani i opiniotwórczy – jest kabaret, to znaczy, że nie dzieje się nic naprawdę ważnego, w związku z tym ja nie muszę się tym przejmować.

I tu dochodzimy do kunsztu Tuska w dozowaniu przemocy. Gdy zajął już Trybunał, co daje mu asumpt do kolejnych działań z używaniem TK jako własnego narzędzia, może leciutko rozładować atmosferę. Temu służyły propozycja spotkania w cztery oczy z prezydentem, a potem „łaskawe" ogłoszenie, że Marsz Niepodległości powinien się odbyć tak jak zawsze w tym roku. A potem jeszcze pojawił się korzystny dla Tuska incydent, który całkowicie odwrócił uwagę od Trybunału, w postaci masakry w Krakowie. I tu Tusk korzysta jeszcze na jednej cesze współczesnej świadomości społecznej: że ludzie potrafią skupiać swoją uwagę na danym wydarzeniu tylko przez krótki czas. Wystarczy więc skierować ich uwagę na jakieś świeże, aktualne wydarzenie (najlepiej dramatyczne), by ludzie zainteresowali się czymś nowym, a gdy już ono minie – jak to się ładnie mówi – „życie zaczyna płynąć dalej". I wtedy np. wszyscy już mogą zacząć przyzwyczajać się do wizerunku sędzi Korwin-Piotrowskiej jako gospodyni Trybunału.

4. BENEFICJENT ZNIECZULICY KOMENTATORÓW

Czy Donald Tusk ściga lub mści się za samo stwierdzenie faktu, że sięga po władzę zamordystyczną? Nie. Jeśli ktoś wchodzi w ton zimnego realisty i opowiada o tym bez emocji, a nawet z pewnym tonem uznania za sprawność. Co więcej, odgrywa to nawet rolę pewnego wentylu bezpieczeństwa obniżającego emocje wokół brutalnych działań Tuska. Oto w podcaście „Super Expressu" zaproszony politolog prof. Antoni Dudek mówi: „Ja uważam, że Donald Tusk wybrał dla siebie optymalną drogę, której celem jest nie tylko kontrola nad Trybunałem, ale jeszcze większa polaryzacja. I tyle. I to od momentu, jak minister Berek został kandydatem na sędziego Trybunału, w otwarty sposób, taki ostentacyjny, że już bardziej się nie dało, Donald Tusk powiedział: »Był Trybunał Kaczyńskiego, będzie Tuska«. No i widzimy, jak ten proces boleśnie się dokonuje".

Przeciętny widz podcastu „Super Expressu" słuchając wypowiedzi prof. Dudka, reaguje nie tylko na treść, lecz także na tonację głosu, czeka, czy ten fakt zostanie okraszony jakąś moralną oceną, czy będzie diagnoza tego, jakie będą dalekosiężne konsekwencje takiego działania obecnego premiera. Jeżeli tego nie słyszy, to uznaje, że zasadniczo nic ważnego w Polsce się nie zmieniło.

Tusk dozuje przemoc i korzysta na jednej cesze współczesnej świadomości społecznej: że ludzie potrafią skupiać uwagę na wydarzeniu tylko przez krótki czas

Inny przykład. Dwie dziennikarki śledcze gazety „Rzeczpospolita" zamieściły bardzo ciekawy materiał w swoim dzienniku na temat szczegółów akcji policyjnej zdobycia budynku Trybunału Konstytucyjnego. Wymowa faktów podanych przez reporterki powinna skłaniać do pytań o legalność działań sił porządkowych i polityczną odpowiedzialność tych, którzy tę operację zlecali. A jednak „Rzeczpospolita" nie nawiązała bezpośrednio do tego tekstu żadnym komentarzem. Ale już parę dni później, gdy wybuchła dyskusja, czy Tomasz Sakiewicz w dniu wydarzeń w Krakowie miał podstawy do twierdzeń, że na rynku nie było policji, dziennikarz tej samej „Rzeczpospolitej" zdobył się na pełen emocji komentarz, że po takim incydencie TV Republika powinna stracić koncesję. Mamy więc kontrast. Stosunkowo blade komentarze po akcji policyjnej Tuska na TK i pełne zapału tyrady o podłościach Sakiewicza przy komentowaniu incydentu o nieporównywalnie mniejszym znaczeniu dla sytuacji politycznej Polski. To dla Tuska sytuacja, w której hamletyzujący komentatorzy biadolą, że „szkoda, że nie udało się uniknąć przemocy", nie jest niczym groźnym, jeśli nie towarzyszy temu pryncypialne twierdzenie, że Tusk dokonał zamachu na porządek prawny państwa.

KTO JESZCZE STOI TUSKOWI NA DRODZE

Jakiś czas temu, komentując pełzający autorytaryzm Tuska, przywołałem wspomnienie Nadieżdy Mandelsztam, która opowiadała, jak jej mąż, Osip, stojąc w oknie ich leningradzkiego mieszkania w okresie szczytu stalinowskich czystek, wypowiedział poruszające słowa: „Ludzie myślą, że jest tak jak zawsze, bo tramwaje jeżdżą według rozkładu".

Natychmiast posypały się na mnie gromy, jak mogę porównywać okres stalinowskich czystek do obecnych sporów politycznych w Polsce. Żadnego porównania oczywiście nie ma w sensie skali represji czy ich drastyczności. Ale zjawisko, w którym można łamać zasady demokracji i wzmacniać swoją władzę, a dzieje się to w sytuacji braku większego politycznego zainteresowania dużej części społeczeństwa, jest jak najbardziej trafne.

I w tym sensie demonstranci marznący w lodowate jesienne noce w miasteczku namiotowym pod Trybunałem Konstytucyjnym przejawiają najwyższy stopień obywatelskiej świadomości w skali całego kraju. Niezależnie od tego, czy chcieliby słuchać przebojów Krzysztofa Krawczyka czy muzyki poważnej. I ci, którzy tak łatwo potrafią ten protest zdeprecjonować, bo zdarzył się jeden kiks, nie rozumieją, że trzeba umieć odróżniać rzeczy ważne od nieistotnych. A jak się je miesza, to wygrywa ten, kto chce zagarniać coraz więcej władzy. A w Polsce jest nim dziś Donald Tusk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Trwa nabór na **Misję Polskiego Biznesu do Texasu**, liczba miejsc jest ograniczona! **ZAPRASZAMY!**

TEXAS

Planujesz skalowanie firmy, jesteś start-upem, szukasz inwestorów lub chcesz wprowadzić swoje produkty i usługi na rynek amerykański?

A może chcesz otworzyć oddział produkcyjny w USA?
Bez podatków, bez wysokich cen paliw i energii?

Ta misja jest dla Ciebie!

50% RABATU
dla pierwszych 10 zgłoszeń na hasło:
DO RZECZY

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost
TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
tysol
Radio Wnet
DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl 8645d9a30d

Mroczne motywy zła



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Fascynacja masowymi mordercami, problemy psychiczne, zainteresowanie nihilistycznymi ideologiami i marzenie o zdobyciu rozgłosu. Co mogło popchnąć Michała Oksińskiego do zamordowania dziewięciu osób?



Krakowski Rynek Główny w kilka godzin po tragicznej strzelaninie FOT. ART SERVICE/PAP

Kraków stał się miejscem pierwszej masowej strzelaniny w historii Polski. W sobotnie popołudnie 7 listopada 24-letni Michał Oksiński z Ostrowca Świętokrzyskiego wjechał samochodem na Rynek Główny i zaczął strzelać do przypadkowych przechodniów. Zginęło sześć osób, kilkanaście zostało rannych, wśród nich interweniujący policjanci. Tego samego dnia w rodzinnym mieszkaniu napastnika odnaleziono ciała jego rodziców – 53-letniego ojca, 52-letniej matki i 20-letniej siostry, a także dwa martwe koty. Według ustaleń prokuratury ich zabójcą również był Oksiński. Mężczyzna został postrzelony podczas policyjnej interwencji. Zmarł nad ranem 9 listopada w krakowskim szpitalu. Nie złożył wyjaśnień. Nie pozostawił pisemnego manifestu czy listu, co zdarza się w podobnych przypadkach. Śledczy zabezpieczyli jednak kilka telefonów. Jeżeli uda się dostać do urządzeń, mogą one dać bardzo szeroką wiedzę na temat stanu sprawcy w przededniu ataku. W związku ze śmiercią Oksińskiego postępowanie przeciwko niemu umorzono. Trwa śledztwo, w którym sprawdzany jest wątek ewentualnego podżegania.

PANDEMICZNA EDUKACJA

Oksiński kształcił się na kierunku technik mechanik CNC. W 2022 r. zdał maturę i egzamin zawodowy. Dyrektor szkoły Marcin Sitarz powiedział PAP, że uczeń nie sprawiał problemów wychowawczych. Osiągał dobre wyniki, uczestniczył w konkursach, oddawał krew, zarejestrował się również jako potencjalny dawca szpiku kostnego. Większą część edukacji odbył w czasie pandemii, kiedy zajęcia prowadzono zdalnie. Jego siostra była początkującą malarką studiującą na krakowskiej ASP. W sieci można znaleźć materiały z jej wernisażu, w którym Michał wziął udział z rodzicami, Renatą i Januszem Oksińskimi. Matka pracowała w dyskoncie, a ojciec prowadził własną firmę elektryczną. Babcia w rozmowie z Kanałem Zero mówiła: „Boże, oni się kochali. Janusz nie mówił nic o tym, że coś się dzieje z Michałem". Podkreślała mocny związek 24-latka z matką.

Po zakończeniu szkoły późniejszy zamachowiec znalazł pracę w Ostrowieckich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych. Wgląd w to, kim był, może dawać relacja byłego współpracownika. Według niego głównym zainteresowaniem Oksińskiego były militaria. Miał przynosić do zakładu fotografie posiadanych karabinów, opowiadać o zdobytym pozwoleniu na broń oraz o chęci odbycia treningu na strzelnicy dynamicznej. Rozmówca reportażu „Uwagi!" TVN ocenił, że zainteresowania 24-latka wykraczały poza zwykłe kolekcjonowanie informacji o uzbrojeniu. – Rozmawiał cały czas o seryjnych mordercach. Fascynował się nimi. Każdą historię znał od A do Z – relacjonował. W pracy Oksiński miał uchodzić za osobę specyficzną, do której inni mieli dystans. Z kolei osoby, które znały go ze szkoły, opowiadają, że już jako nastolatek miał rysować postacie wisielców, uzbrojonych napastników i sceny przemocy. Według jednej z koleżanek, pytany o znaczenie rysunków, odpowiadał, że przedstawiają one

eprasa.pl 8645d9a30d



planowany atak na szkołę, a uzbrojoną postacią jest on sam. Ponadto rówieśnicy wspominali swastyki i militarne symbole kreślone w zeszytach. Jeden ze szkolnych epizodów miał polegać na pojawieniu się podczas lekcji zdalnej w wojskowej masce przeciwgazowej. Prokuratura podkreśla, że śledztwo dopiero się zaczęło, a zebrane dowody nie pozwalają przesądzić, co ostatecznie popchnęło 24-latka do zbrodni.

Doktor Jerzy Pobocha, szczeciński psychiatra, od lat zajmujący się zagadnieniami psychiatrii sądowej, podkreśla, że w przypadku Oksińskiego sygnały te mogą mieć znaczenie przy próbie odtworzenia procesu prowadzącego do ataku. „Jeżeli już w szkole podstawowej czy średniej rysował szubienice i zwłoki, myślał o zabijaniu uczniów, to znaczy, że tego rodzaju myśli i pomysły pojawiały się u niego znacznie wcześniej" – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". Ekspert przestrzega jednocześnie przed automatycznym utożsamianiem nietypowego zachowania z osobowością przestępczą. „Z drugiej strony nie przejawiał cech osobowości antyspołecznej. Nie kradł, dobrze się uczył, sprawdzał się w pracy. Jego mechanizmy osobowościowe nie były więc rozchwiane w taki sposób, który uniemożliwiałby mu dostosowanie się do norm szkolnych, a później do zasad obowiązujących w pracy" – podkreśla dr Pobocha.

Więcej informacji dostarczyły analizy zabezpieczonego przez służby komputera. Śledczy znaleźli ślady zainteresowania Andersem Breivikiem, sprawcą ataków w Norwegii w 2011 r., a także innymi głośnymi zabójcami, m.in. innymi Charlesem Mansonem i Tedem Kaczynskim. Uwagę zwraca też napis na szafce w miejscu pracy. Funkcjonariusze ABW odczytali odnaleziony tam skrót „GGER" jako „Good Game Elliot Rodger". Elliot Rodger to sprawca zabójstw dokonanych w 2014 r. w kalifornijskiej Isla Vista. Zamordował sześć osób (jako pierwszych swoich współlokatorów) i ranił 14, następnie popełnił samobójstwo. W niektórych środowiskach internetowych Rodger stał się postacią otaczaną kultem.

EFEKT WERTERA

Jedną z hipotez, które warto rozważyć, jest potrzeba zdobycia rozgłosu. W przypadku części sprawców masowych zabójstw nie chodzi wyłącznie o pozbawienie życia – przemoc może być również traktowana jako sposób na zademonstrowanie własnej siły, zemstę na społeczeństwie lub zdobycie patologicznie pojmowanej sławy. Psychiatra zwraca uwagę na szczególną rolę tego ostatniego motywu. „W jego umyśle istniała więc potrzeba zabijania, przede wszystkim po to, żeby zaistnieć, żeby stać się sławnym. To jest jeden z możliwych motywów. Druga sprawa jest taka, że z relacji sąsiadów, koleżanek i kolegów wynika, iż był człowiekiem bardzo wrażliwym. Być może szczególnie wrażliwym na zachowania i wypowiedzi innych ludzi" – mówi Jerzy Pobocha. Zdaniem eksperta



Czy kiedyś poznamy co skłoniło Michała Oksińskiego do zbrodni?

FOT. FACEBOOK.COM/MICHAŁ OKSIŃSKI

człowiek funkcjonujący dotychczas na marginesie życia towarzyskiego mógł poszukiwać radykalnego sposobu na zdobycie zainteresowania. „Być może inspiracją była dla niego znajomość podobnych aktów przemocy na całym świecie, wiedza zdobywana w Internecie. Wytworzyła się w nim silna potrzeba dokonania takiego czynu. Dlaczego? Po to, żeby być sławnym, wyjątkowym, żeby przestać być osobą anonimową. To jest właśnie motyw sławy. Sława zdobyta przez przestępstwo. Mechanizm stary jak świat" – wyjaśnia doktor.

W ostatnich latach eksperci zajmujący się radykalizacją w Internecie zaczęli zwracać uwagę na szczególnie niepokojące zjawisko: środowiska, w których masowi mordercy nie są potępiani, lecz przedstawiani jako postacie godne podziwu i naśladowania. Jednym z nich jest tzw. True Crime Community, czyli TCC. W skrajnych odłamach TCC zabójcy otrzymują status idoli. Ich wizerunki są wykorzystywane w charakterystycznie zmontowanych filmach, tzw. editach, publikowanych głównie na TikToku (także na grupach na Telegramie). Krótkie, dynamiczne nagrania w rytm pulsującej muzyki przedstawiają tańczącego sprawcę, często w paramilitarnym stroju; obok można niekiedy znaleźć liczbę np. -6 – oznacza ona liczbę ofiar. Po krakowskiej masakrze w mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się materiały gloryfikujące Oksińskiego. Na razie nie wiadomo, czy sprawca utożsamiał się z TCC, która to fascynacja przerodziła się w działanie.

Zagrożenie dostrzega Institute for Strategic Dialogue, organizacja zajmująca się badaniem ekstremizmu. W tegorocznej analizie opisano TCC jako luźno powiązane środowisko internetowe gloryfikujące sprawców masowej

eprasa.pl 8645d9a30d

przemocy, niezależnie od wyznawanej przez nich ideologii. Nie chodzi o jedną, scentralizowaną organizację, lecz o sieć użytkowników i wzajemnie przenikających się środowisk. Psychiatra dr Jerzy Pobocha uważa, że media i Internet mogą odgrywać istotną rolę w procesie kształtowania takich fascynacji. „Warto zwrócić uwagę na działalność mediów, na wzorce tego typu zamachów i mechanizm ich kopiowania czy przyswajania. Zresztą podobne zjawiska obserwujemy również w innych dziedzinach np. w przypadku samobójstw. Zdarza się, że samobójstwo, o którym szeroko informują media, inspiruje inne osoby do odebrania sobie życia. To tzw. efekt Wertera" – tłumaczy.

FLAGA GADSDENA

W kontekście Krakowa szczególne znaczenie może mieć określany angielskim skrótem NVE („Nihilistic Violent Extremism") – ekstremistyczny nihilizm przemocy. Jego istotą jest afirmacja przemocy jako takiej, która rzadko służy jasno zdefiniowanemu celowi politycznemu, religijnemu czy społecznemu. W odróżnieniu od „tradycyjnego" terroryzmu, w którym przemoc stanowi narzędzie realizacji określonej ideologii, w skrajnych środowiskach nihilistycznych samo krzywdzenie innych może być sposobem zdobywania uznania, budowania pozycji w grupie, wyrażania pogardy dla społeczeństwa, wobec którego ma się postawę mizantropiczną lub zemsty na rówieśnikach, którzy wcześniej odrzucili sprawcę. Nie oznacza to jednak, że wszystkie tego rodzaju społeczności są pozbawione politycznych przekonań. W części z nich pojawiają się neonazizm, rasizm, antysemityzm, mizoginia, a także idee akceleracjonistyczne, zakładające przyspieszenie rozpadu istniejącego porządku społecznego. Inni uczestnicy zapożyczają symbole i hasła z różnych, nieraz sprzecznych nurtów ideowych. W przypadku Michała Oksińskiego pojawiły się informacje o zainteresowaniu skrajnymi ideologiami i treściami mizoginistycznymi. Śledczy nie ustalili, czy którakolwiek z tych idei była rzeczywistym motywem jego działania. 9 listopada prokurator Przemysław Nowak z Prokuratury Krajowej poinformował, że w pokoju zamachowca znajdowała się flaga Gadsdena – historyczny amerykański symbol przedstawiający grzechotnika na żółtym tle z hasłem „Don't tread on me" („Nie depcz po mnie"). Flaga bywa wykorzystywana przez środowiska wolnościowe, antyrządowe, pojawiała się na marszach LGBT.

Już w pierwszych godzinach po tragedii minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński sugerował, że Oksiński mógł fascynować się ideologiami „skrajnie prawicowymi". Z sugestii się nie wycofał. Z kolei minister sprawiedliwości Waldemar Żurek wskazywał na pojawiający się w śledztwie trop prawicowego ekstremizmu. Przed pochopnym przypisywaniem sprawcy politycznych motywacji przestrzegał prezydent Krakowa Łukasz Gibała. W rozmowie z RMF FM oceniał, że takie sugestie niepotrzebnie pogłębiają społeczne podziały. Doktor Pobocha zwraca uwagę, że pojęcie fanatyzmu nie musi oznaczać przywiązania do religii czy konkretnego programu politycznego. „Co to znaczy, że ktoś się zradykalizował? To znaczy, że doszedł do przekonania, iż musi podjąć określone działania przeciwko innym ludziom. Być może inspiracją była dla niego znajomość podobnych aktów przemocy na całym świecie, wiedza zdobywana w Internecie" – mówi.

NA STRZELNICY

Jednym z mrocznych wątków całej sprawy pozostaje zabójstwo rodziców i siostry zamachowca. Według dotychczasowych ustaleń śledczych miał pozbawić życia swych bliskich nocą z 6 na 7 listopada lub w sobotę rano, jeszcze przed wyjazdem do Krakowa. Wszyscy zginęli od strzałów z broni palnej. Doktor Pobocha przedstawia jedną z możliwych hipotez. „Mógł zdawać sobie sprawę, że po tym, co planuje zrobić, jego rodzina, gdyby pozostała przy życiu, stałaby się obiektem krytyki, hejtu, społecznego odrzucenia i izolacji. I chcąc uchronić rodzinę przed takim losem, mógł dojść do wniosku, że trzeba ją zabić. To jest pewien sposób myślenia, który zdarza się u sprawców zabójstw" – wyjaśnia lekarz. Odwołuje się do znanego psychiatrii mechanizmu, w którym sprawca we własnym, głęboko zniekształconym rozumowaniu przedstawia przemoc jako sposób uchronienia bliskich przed przyszłym cierpieniem.

Jednym z najczęściej pojawiających się pytań po podobnych tragediach jest kwestia zdrowia psychicznego napastnika. Sama skala przemocy nie pozwala na postawienie diagnozy. „W myśleniu przeciętnego człowieka istnieje tendencja do sprowadzania wszystkiego do psychopatologii. Ktoś zabił, a więc musiał być chory. Bo przecież, według takiego rozumowania, tylko człowiek chory psychicznie może kogoś zabić. Ale to nieprawda. Ludzie zdrowi psychicznie również dokonują zabójstw" – zaznacza doktor Pobocha. Śmierć Oksińskiego nie oznacza, że jego psychiki nie można już w żaden sposób badać. W praktyce sądowej sporządza się opinie dotyczące osób zmarłych, wykorzystując dokumentację medyczną, zeznania świadków i informacje o codziennym funkcjonowaniu. W przypadku zamachowca materiał do analizy mogą stanowić m.in. zabezpieczone urządzenia elektroniczne, relacje rodziny i znajomych, dokumenty dotyczące posiadania broni oraz informacje o jego zachowaniu w szkole i pracy.

Wiadomo, że 24-latek potrafił funkcjonować normalnie. Na strzelnicy KS Świt w Starachowicach, którą odwiedzał wraz z ojcem, jego zachowanie nie wzbudzało szczególnego niepokoju. Pełnomocnik klubu Adam Chyb informował, że w 2026 r. Oksiński pojawił się tam trzykrotnie: dwa razy uczestniczył w treningach, raz w zawodach. Osiągał przeciętne wyniki i nie utrzymywał bliższych relacji z innymi członkami klubu. „Nigdy nie zachowywał się w sposób naganny" – przekazał Onetowi. Na strzelnicy nie prowadzono szkoleń bojowych ani taktycznych.

Doktor Pobocha przekonuje, że za podobnymi tragediami powinno pójść stworzenie skuteczniejszych mechanizmów rozpoznawania zagrożeń. Psychiatra przestrzega, że bez odpowiedniej reakcji podobne mechanizmy mogą prowadzić do kolejnych tragedii. „Media społecznościowe mogą stanowić znakomite źródło inspiracji dla sprawców. Są pewnego rodzaju szkołą, dostarczają bodźców do podejmowania takich działań, szczególnie wtedy, kiedy dochodzi do gloryfikowania przemocy czy aprobowania podobnych zachowań" – mówi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Młodzi się laicyzują. To ma konsekwencje



Krystian Kratiuk

Od kilku lat przez media liberalno-lewicowe przetaczają się triumfalne doniesienia o gwałtownej laicyzacji polskiej młodzieży. Promotorzy ateizmu się cieszą. Potem jednak załamują ręce nad nożownikami w szkołach i ubolewają nad epidemią depresji. I jakoś nikt nie chce połączyć kropek...

Michał Oksiński, zamachowiec z Krakowa, miał zaledwie 24 lata. Jako człowiek urodzony już w XXI w. był przedstawicielem pokolenia, wśród którego samookreślenie się mianem prawicowego lub lewicowego wcale nie jest oczywiste. Wielu dzisiejszych, najczęściej bardzo nieszczęśliwych młodych ludzi należałoby nazwać generacją nowego nihilizmu. Zjawisko to opisał w 2024 r. kanadyjski badacz Patric Plesa. O ile dawny nietzscheański nihilizm wiązał się przede wszystkim z rozpadem religijnych i moralnych fundamentów cywilizacji, o tyle będący kontynuacją tamtych rozpadów dzisiejszy neonihilizm (popularny zwłaszcza wśród młodzieży często używającej Internetu) wyrasta również z rozczarowania obietnicami nowoczesności, takimi jak nieustanny postęp, samorealizacja, sukces, dobrobyt i możliwość kierowania własnym losem.

Według Plesy neonihilizm rodzi się z poczucia bezsensu i bezsilności człowieka, który – choć stale przekonywany, że sam odpowiada za swoje szczęście i sukces – odkrywa, że nie ma wpływu na najważniejsze kryzysy współczesnego świata, co prowadzi go do rozczarowania i rosnącego dystansu wobec rzeczywistości. Wszystkie symbole, które dotychczas uznawaliśmy za coś znaczącego i rozpoznawalnego, dla sporej części młodej neonihilistycznej populacji stanowią wyłącznie symbol bezsensu. Kto mieszka z nastolatkiem, niech zapyta go o memy dotyczące ogólnego bezsensu i mizantropii. Zaświadczam, można się zdziwić.

A możliwość znalezienia sensu, również sensu życia – przez setki lat odnajdywanego głównie w religii – jest dziś przez wielu młodych odrzucana. Tak jak sama religia. A to naprawdę ma konsekwencje.

MASOWE PORZUCANIE WIARY

Fakty są bezsporne – młodzież rzeczywiście się laicyzuje. Według badań CBOS w 1996 r. 80 proc. uczniów ostatnich klas szkół średnich uważało się za wierzących lub głęboko wierzących, a zaledwie 5 proc. deklarowało niewiarę. W 2025 r. wierzących było już tylko 55 proc., niewierzących – 24 proc. Jeszcze większą zmianę widać w praktykach religijnych: o ile w 1996 r. 62 proc. młodych uczestniczyło w nabożeństwach przynajmniej raz w tygodniu, o tyle w 2025 r. już tylko 24 proc. Jednocześnie odsetek w ogóle niepraktykujących wzrósł z 16 do 45 proc.

Jeszcze gorzej wyglądają statystyki dotyczące szkolnej katechezy – otóż w 2010 r. uczęszczało na nią 93 proc. uczniów ostatnich klas szkół średnich, w 2021 r. – 54 proc., a według rozmaitych badań w 2025 r. zaledwie... 35 proc.

Idee mają jednak konsekwencje. Odejście od wiary – a także w sposób oczywisty idące za tym odejście od katolickiej moralności – implikuje mnóstwo skutków. Zmienia się światopogląd, zmienia się podejście do tysiąca spraw i do ludzi, zmienia się pojmowanie sensu życia, zmieniają się poglądy polityczne i zamiłowania.

HIERARCHIA WARTOŚCI

W tym samym czasie, w którym obserwujemy gwałtowną laicyzację, nastąpiła również głęboka przemiana hierarchii wartości młodych Polaków. Znów powołajmy się na badania CBOS – oto w 1998 r. 57 proc. młodych wskazywało „udane życie rodzinne, dzieci" jako jeden z najważniejszych celów, które chcieliby osiągnąć w życiu. W 2025 r. już tylko... 36 proc.

Ciekawą obserwację można powziąć, również przyglądając się deklarowanemu przywiązaniu do dóbr materialnych – o ile jeszcze w 1994 r. aż 52 proc. młodych do swoich najważniejszych celów życiowych zaliczało znalezienie ciekawej pracy, zgodnej z ich zainteresowaniami, o tyle już w 2025 r. taką deklarację złożyło ledwie 34 proc. badanych. Jednocześnie znaczenie zdobycia majątku i osiągnięcia wysokiej pozycji materialnej wzrosło z 25 proc. w 1994 r. do 43 proc. w 2025 r.

Warto to wyraźnie podkreślić – wysoka pozycja materialna wyraźnie wyprzedziła w tych deklaracjach udane życie rodzinne.

Młodych przez lata pytano także o odczuwaną potrzebę „bycia użytecznym dla innych" i „życia dla innych". W 1994 r. 15 proc. badanych wymieniało te potrzeby wśród swoich trzech najważniejszych celów, a w 2025 r. ten odsetek wynosił... 7 proc.

Jednocześnie jednak ważnym życiowym pragnieniem młodych z różnych pokoleń pozostają miłość i przyjaźń:

eprasa.pl 8645d9a30d

w 1994 r. jako główny cel wskazywało je 39 proc., a w 2025 r. 51 proc.

OBYCZAJOWOŚĆ I MORALNOŚĆ

Wyraźne różnice widoczne są także w sferze obyczajowej. W wieloletnich badaniach HBSC dotyczących zachowań seksualnych 15-latków odsetek dziewcząt deklarujących rozpoczęcie współżycia wzrósł z 5,5 proc. w 1990 r. do 13,7 proc. w 2010 r. Wśród chłopców zmiana była mniejsza: z ok. 18 do 20 proc.

Co jednak ciekawe, postępująca laicyzacja nie oznacza nieustannego wzrostu liberalizmu obyczajowego wśród młodych mężczyzn, ale wśród kobiet – jak najbardziej. Jeszcze w 2013 r. 46 proc. uczniów zgadzało się ze stwierdzeniem, że homoseksualizmu „nie wolno tolerować", a w 2016 r. odsetek ten spadł do 39 proc. Tymczasem najnowsze badania CBOS pokazują zmianę kierunku – w 2021 r. aż 61 proc. uczniów deklarowało akceptację osób LGBT+, 20 proc. – niechęć, a 19 proc. – postawę ambiwalentną. Cztery lata później akceptacja spadła do 45 proc., niechęć wzrosła do 34 proc. Ale trzeba tu podkreślić wyraźne różnice między płciami: w 2025 r. akceptację deklarowało aż 63 proc. młodych kobiet i zaledwie 24 proc. młodych mężczyzn.

No dobrze, a jak w dobie laicyzacji wyglądają relacje rówieśnicze i sposoby spędzania wolnego czasu? Jeszcze w 2013 r. 88 proc. uczniów jako jedną z ulubionych form spędzania czasu wskazywało spotkania z kolegami, przyjaciółmi lub partnerem. W 2025 r. było to 77 proc. W ciągu 12 lat odsetek ten obniżył się o 11 punktów procentowych. W tym samym czasie coraz ważniejsze miejsce w życiu nastolatków zajęły filmy, seriale, gry i inna aktywność cyfrowa.

Jeszcze ciekawiej wyglądają zmiany w deklaracjach dotyczących korzystania z używek. Z prowadzonego od 1995 r. międzynarodowego badania ESPAD wynika, że odsetek 15–16-latków deklarujących, że pili alkohol w ciągu ostatniego miesiąca, spadł z 50,4 proc. w 1995 r. do 39,1 proc. w 2024 r. Ale zanim ogłosimy polepszenie prowadzenia się młodych, warto przypomnieć, że dzisiejsza młodzież stosuje inne używki niż wcześniejsze pokolenia. W 1995 r. 10,1 proc. 15- i 16-latków deklarowało, że przynajmniej raz w życiu używało marihuany lub haszyszu. W 2015 r. było to już 25 proc., ale w kolejnych latach nastąpił spadek – do 16,9 proc. w 2024 r. Wśród 15–16-latków odsetek deklarujących, że kiedykolwiek próbowali kokainy, wzrósł z 0,8 proc. w 1995 r. do 3,7 proc. w 2024 r., a ecstasy z 0,8 do 3,8 proc. W przypadku amfetaminy nastąpił wzrost z 2,9 do 4,2 proc.

STRES I ODRZUCENIE

Wszystko to oczywiście nie może nie odbić się na postępowaniu młodzieży i jej odczuciach dotyczących tego, jak jest traktowana. Zacznijmy od tego, jak funkcjonują w szkole – w badaniach CBOS uczniowie określali częstotliwość odczuwania stresu w szkole na siedmiopunktowej skali, na której 1 oznacza brak stresu, a 7 jego stałe występowanie. W 2016 r. średnia odpowiedzi wynosiła 3,77, a w 2025 r. już 4,60. To najwyższy wynik w całej serii badań. Jednocześnie coraz słabiej uczniowie czują się doceniani. Średni wskaźnik odczuwania uznania i sukcesów szkolnych obniżył się z 3,91 w 2016 r. do 3,62 w 2025 r.

Wraz ze wzrostem poziomu stresu i spadkiem poczucia uznania w szkole współwystępuje wzrost przemocy rówieśniczej. W 2016 r. 37 proc. badanych uczniów deklarowało, że w ciągu poprzedniego roku doświadczyło przynajmniej jednej z form przemocy fizycznej lub psychicznej wymienionych przez CBOS. W 2025 r. wynik ten osiągnął rekordowe 52 proc.

Najczęściej doświadczaną formą przemocy jest odrzucenie i wykluczenie przez rówieśników. W 2021 r. deklarowało je 26 proc. uczniów, a w 2025 r. już 37 proc. Odsetek otrzymujących obraźliwe wiadomości od uczniów ze swojej szkoły zwiększył się w tym samym okresie z 13 do 20 proc., a doświadczających pobicia – z 6 do 10 proc. Wzrosły również deklaracje doświadczenia napastowania seksualnego w szkole – z 3 do 6 proc. oraz kradzieży z 9 do 15 proc.

DEPRESJE I SAMOBÓJSTWA

Raz jeszcze powtórzmy – idee mają konsekwencje. Równolegle z laicyzowaniem się polskiej młodzieży, znajdowaniem innych autorytetów niż te wskazywane w Kościele, odrzuceniem katolickiej moralności, zmianą światopoglądu, sposobów spędzania wolnego czasu oraz zachowań rówieśniczych dochodzi do radykalnego pogorszenia się stanu psychicznego dzieci i młodzieży.

Szczególnie dramatyczne są wyniki dotyczące zachowań autodestrukcyjnych. W badaniu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę z 2023 r. aż 22 proc. nastoletnich respondentów zadeklarowało, że przynajmniej raz się samookaleczało. Ponadto 9 proc. respondentów przyznało, że miało za sobą próbę samobójczą.

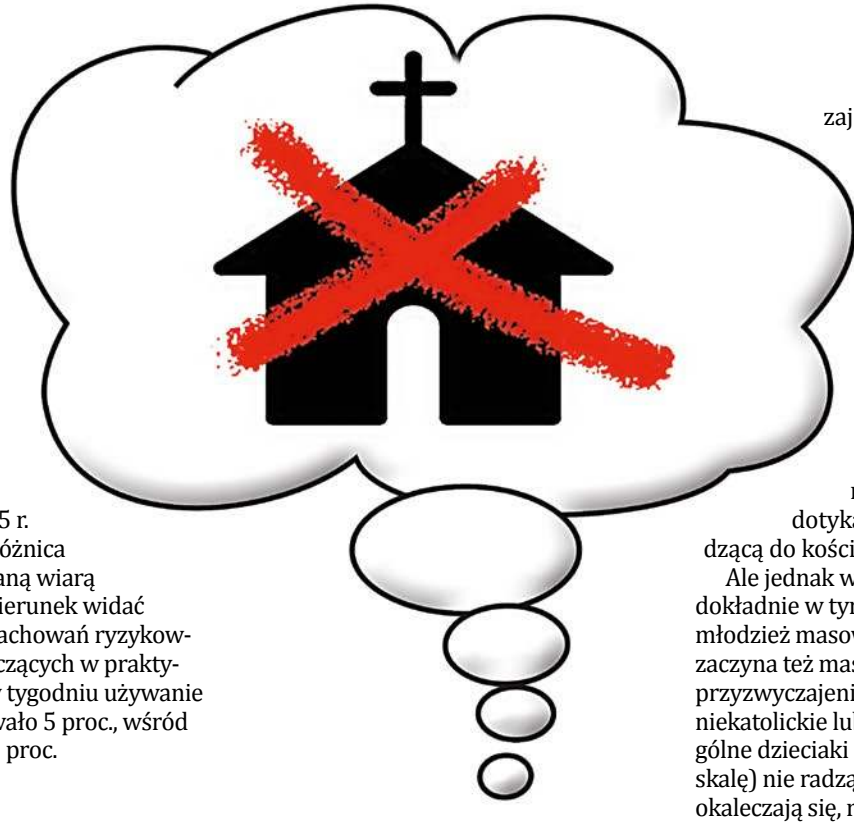
Na pogorszenie kondycji psychicznej młodego pokolenia wskazują również statystyki dotyczące korzystania z opieki zdrowotnej. W 2019 r. ok. 119 tys. dzieci i młodzieży otrzymało pomoc psychologiczną lub psychiatryczną finansowaną przez NFZ, natomiast w 2023 r. było to już ponad 279 tys. Oznacza to wzrost o 134,6 proc. w ciągu zaledwie czterech lat – a mówimy tylko o „wizytach na NFZ"!

Porównać można też skalę zakupu refundowanych leków przeciwdepresyjnych – oto w 2013 r. dla osób poniżej 18. roku życia zrealizowano 15,9 tys. recept na takie leki, a w 2023 r. aż 84,6 tys. To ponadpięciokrotny wzrost w ciągu dekady!

Pora na jeszcze jedną, przerażającą statystykę – na dane policyjne dotyczące prób samobójczych wśród dzieci i młodzieży. Według danych Komendy Głównej Policji w 2020 r. zarejestrowano 737 takich zdarzeń, a w 2024 r. – 2054. Wśród tych zdarzeń w 2024 r. było 127 przypadków śmiertelnych, a w 2020 r. – 107. Dodajmy jednak, że statystyki policyjne nie obejmują przecież wszystkich prób samobójczych, a same liczby bezwzględne nie uwzględniają też zmian liczebności populacji młodzieży, która przecież z roku na rok systematycznie się zmniejsza.

Oczywiście nie wszystkie statystyki pokazują pogorszenie sytuacji młodzieży. Przykładowo: CBOS porównał w latach 2021 i 2025 samopoczucie psychiczne uczniów za pomocą czteropunktowego wskaźnika. W obu latach jego średnia wartość wyniosła dokładnie 2,54, co oznacza, że nie odnotowano pogorszenia ogólnego samopoczucia. Ale w kontekście postępującej laicyzacji interesujące jest bezpośrednie porównanie samopoczucia młodzieży wierzącej i niewierzącej. W 2025 r. na wspomnianej czteropunkto-

eprasa.pl 8645d9a30d



wej skali uczniowie deklarujący wiarę uzyskali przeciętny wskaźnik 2,64, głęboko wierzący – 2,58, niezdecydowani w kwestiach wiary – 2,43, a niewierzący – 2,41. W badaniu z 2021 r. zależności między religijnością, praktykami a samopoczuciem były bardziej wyraźne; w 2025 r. osłabły, choć pewna różnica związana z deklarowaną wiarą pozostała. Podobny kierunek widać w przypadku części zachowań ryzykownych: wśród uczestniczących w praktykach religijnych raz w tygodniu używanie narkotyków deklarowało 5 proc., wśród niepraktykujących 11 proc.

WNIOSKI?

Nie jestem socjologiem i nie wydam osądu mówiącego o tym, że istnieje bezpośrednia korelacja między laicyzowaniem się polskiej młodzieży a liczbą samobójstw, depresji, poczucia osamotnienia, rozwiązłością seksualną, zażywaniem narkotyków i napaściami z nożem w ręku. Nie dotarłem też do takich badań korelacyjnych przeprowadzonych przez polskich socjologów – a szkoda, szczególnie uczelnie katolickie powinny pilnie się tym zająć (a np. opublikowany w czasopiśmie „JAACAP Open" przegląd wieloletnich badań wykazał, że u 67 proc. młodych ludzi religijność wiązała się z mniejszym ryzykiem zachowań samobójczych).

Nie będę chciał poprowadzić czytelnika do wniosku, że jedynym powodem, dla którego jakiś nastolatek popełnił samobójstwo, był jego ateizm, a więc że nie wierzy w grzeszność tego czynu. Albo że dzieciaki uprawiają seks, bo nie chodzą do kościoła, czy że czują się coraz bardziej nieszczęśliwe, gdyż nie współpracują z łaską Bożą. Wiem bowiem, że na każdą z tych ponurych statystyk wpływają dziesiątki różnych powodów, których wymienianie zajęłoby większość stron tygodnika. Wiem również, że problem dotyczy młodzieży w całym zachodnim świecie, że ogromną rolę odegrała tu globalna rewolucja smartfonów, a swoje dokłada patologicznie niedofinansowany system opieki zdrowotnej. I zdaję sobie też sprawę, że wszystko to, o czym napisano wyżej, może dotykać również młodzież chodzącą do kościoła i wierzącą w Boga.

Ale jednak widzimy wyraźnie, że dokładnie w tym samym czasie, w którym młodzież masowo odchodzi od Kościoła, zaczyna też masowo cierpieć. Zmienia przyzwyczajenia, postawy i poglądy na niekatolickie lub antykatolickie. Poszczególne dzieciaki (ale jednak na masową skalę) nie radzą sobie z problemami, okaleczają się, rozważają lub próbują popełnić samobójstwo, wpadają w depresję i są nieszczęśliwe.

A jednocześnie wiemy przecież, że Kościół wyraźnie naucza o moralności – w tym seksualnej, pokazuje, jak przyjąć cierpienie i radzić sobie z nim, wskazuje na sens życia i znaczenie poszczególnych wartości, które wypracowywał przez dwa tysiąclecia. Wskazuje, jak należy traktować siebie i innych, w tym odrzuconych w grupie rówieśniczej. Wiele mówi o przebaczeniu i daje możliwość przebywania we wspólnocie.

A przynajmniej powinien.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym pch24.pl.



FOT. ADOBE STOCK

Korzystałem z wyników następujących badań: „Młodzież 2025", „Młodzież 2021", „Młodzież 2018", „Młodzież 2016" i „Młodzież 2013" – raportów Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS); „Tendencje zmian zachowań zdrowotnych i wybranych wskaźników zdrowia młodzieży szkolnej w latach 1990–2010" – opracowania wyników międzynarodowych badań HBSC; „Używanie alkoholu i narkotyków przez młodzież szkolną" – raportu z ogólnopolskiego badania ESPAD 2024, zawierającego porównania z wcześniejszymi edycjami od 1995 r.; „Diagnoza przemocy wobec dzieci w Polsce 2023" – raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, porównującego także dane z lat 2013 i 2018; „Kryzys psychiczny u dzieci i młodzieży: Jak go rozpoznać i gdzie szukać pomocy?" – opracowania Narodowego Funduszu Zdrowia; „Dwa lata po kontroli NIK. Co zmieniło się dla dzieci?" – opracowania Najwyższej Izby Kontroli zawierającego statystyki dotyczące psychiatrii dziecięcej, a także „Zrozumieć, aby zapobiec 2024 – zachowania samobójcze wśród dzieci i młodzieży" – raportu opartego na danych Komendy Głównej Policji.

eprasa.pl 8645d9a30d



Z Janem Borowcem, reżyserem dokumentu „Tajemnica Gwiaździstej Eskadry”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Na skrzydłach wolności

Kadr z filmu „Pod twoją obronę”, 1933 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kopie superprodukcji filmowej II Rzeczypospolitej pt. „Gwiaździsta eskadra” zniszczono na rozkaz Stalina?!

JAN BOROWIEC: To jedna z najbardziej intrygujących hipotez dotyczących zaginięcia filmu, ale nie chciałbym przedstawiać jej jako udowodnionego faktu. Nie dysponujemy dokumentem potwierdzającym osobisty rozkaz Stalina. Z relacji Jana Karskiego znamy jednak dramatyczną historię kinooperatora ze Lwowa, który ukrył kopię filmu przed NKWD i został za to rozstrzelany. Według tej relacji wydano rozkaz zatrzymania filmu. Jego treść była przecież niewygodna dla sowieckiej narracji historycznej: opowiadał o polskim zwycięstwie nad bolszewikami i amerykańskich lotnikach wspierających Polaków. W moim dokumencie próbuję oddzielić fakty od legendy. Jest w nim również wątek rosyjski, który rzuca nowe światło na losy kopii. Nie chciałbym jednak zdradzać zbyt wiele, ponieważ zaginięcie filmu okazuje się początkiem znacznie większej historii.

Czy to była najdroższa produkcja naszej kinematografii międzywojennej?

„Gwiaździsta eskadra” należała do najbardziej ambitnych i kosztownych przedsięwzięć polskiego kina międzywojennego. Zaangażowano wojsko i lotnictwo, kamery mocowano do skrzydeł samolotów i w kokpitach, realizowano sceny walk powietrznych i bombardowań. Budowano nawet całe wsie i miasteczka w pomniejszonej skali, z domami sięgającymi człowiekowi do pasa. Wojsko udostępniło poligon w Biedrusku, a zdjęcia atelierowe realizowano w Poznaniu. Z pamiętników scenarzysty Janusza Meissnera wiemy, że otrzymał 1,5 tys. zł, czyli niemal roczne zarobki listonosza czy górnika albo kilka bardzo dobrych miesięcznych pensji urzędnika ministerialnego lub majora. Producentem była firma Klio-Film, której kontakty umożliwiły współpracę z wojskiem. Trudno jednak jednoznacznie określić film jako najdroższy bez porównywalnych danych budżetowych. Właśnie ten ogromny rozmach sprawia, że jego zaginięcie wydaje się tak niezwykłe.

Pomysł dyskontował autentyczne wydarzenia?

Tak, punktem wyjścia były wydarzenia wojny polsko-bolszewickiej i historia amerykańskich ochotników z Eskadry Kościuszkowskiej, której powstanie wiąże się z Merianem C. Cooperem i Cedrikiem Fauntleroyem. „Gwiaździsta eskadra” była jednak filmem fabularnym, w którym rzeczywiste postacie i wydarzenia podporządkowano dramaturgii widowiska. Fascynuje mnie, jak szybko autentyczne doświadczenia wojenne przekształciły się w filmową opowieść, a później w mit. Proszę pamiętać, że wydarzenia przedstawione w filmie z 1930 r. rozegrały się zaledwie 10 lat wcześniej. Bohaterowie wciąż żyli, a pamięć o wojnie była świeża. Dzisiaj, niemal 100 lat później, trudno oddzielić historyczną rzeczywistość od jej filmowej interpretacji i narosłej wokół nich legendy.

Scenariusz napisał człowiek z lotniczym doświadczeniem?

Janusz Meissner, pisarz, doświadczony lotnik, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i jeden z najważniejszych polskich autorów literatury lotniczej, znał realia służby wojskowej, technikę pilotażu, a przede wszystkim mentalność ludzi, którzy ryzykowali życie w powietrzu. Nie musiał wyobrażać sobie świata swoich bohaterów, ponieważ sam był jego częścią. Należał do tego samego środowiska lotniczego co amerykańscy ochotnicy, choć nie mam potwierdzenia, że osobiście

eprasa.pl 8645d9a30d

znał Coopera czy Fauntleroya. To fascynujące, że scenariusz tak wielkiego widowiska napisał człowiek, który potrafił spojrzeć na lotnictwo zarówno oczami pilota, jak i pisarza.



REŻ. JAN BOROWIEC „TAJEMNICA GWIAŹDZISTEJ ESKADRY" POLSKA 2025

Zrazu zrealizowano obraz niemy?

„Gwiaździsta eskadra" powstawała w momencie wielkiego przełomu technologicznego, kiedy do kina docierał dźwięk. W 1930 r. miała premierę w wersji niemej. Ze względu na zainteresowanie obrazem zdecydowano się później go udźwiękowić i w 1938 r. ponownie wprowadzić do dystrybucji. To niezwykłe świadectwo czasów, kiedy technologia filmowa zmieniała się tak szybko, że dzieło sprzed kilku lat można było zaprezentować publiczności w zupełnie nowej formie.

Jak poradzono sobie ze zdjęciami podniebnymi?

W 1930 r. nie było efektów komputerowych, więc samoloty musiały naprawdę wzbić się w powietrze. Jak już wspominałem, kamery montowano na nich, a sceny walk przygotowywano z udziałem wojskowych pilotów. Wymagało to ogromnej odwagi i precyzji. Niestety, na planie doszło do katastrofy, w której zginęło dwóch lotników. O tragedii pisała prasa od Stanów Zjednoczonych po Nową Zelandię. Co najbardziej poruszające, prawdziwa katastrofa została sfilmowana! To jeden z tych momentów, kiedy historia kina i rzeczywistość spotykają się w sposób tragiczny.

A z jakim przyjęciem spotkał się film?

Wzbudzał zainteresowanie rozmachem i tematyką. Wiemy, że zachwycił się nim Jan Karski, który wspominał, że jako młodzieniec oglądał go wielokrotnie. Recenzje prasowe, do których dotarliśmy, nie były jednak wyłącznie entuzjastyczne. Krytycy zarzucali filmowi słabą grę aktorską czy banalność fabuły, doceniając jednocześnie rozmach techniczny i patriotyczny charakter przedsięwzięcia. Przypomina mi to trochę odbiór niektórych współczesnych filmów poświęconych ważnym wydarzeniom polskiej historii. Doniosłość tematu nie zawsze idzie przecież w parze z równie wysoką oceną artystyczną.

Główny bohater obrazu zaistniał w Hollywood i doczekał się sławnego potomka...

Merian C. Cooper był postacią niezwykłą. W jego życiorysie mieści się kilka życiorysów, z których każdy nadawałby się na osobny film. Amerykański lotnik z frontu pierwszej wojny światowej, ochotnik walczący po stronie Polski w bojach z bolszewikami, potem ich jeniec, którego losy zetknęły się z pisarzem Izaakiem Bablem, podróżnik, dokumentalista, a w końcu współtwórca historii Hollywood. Z Ernestem B. Schoedsackiem realizował pionierskie filmy podróżnicze „Grass" i „Chang", później stworzył „King Konga", a następnie współtworzył Cineramę, jedną z historycznych poprzedniczek współczesnych widowisk wielkoformatowych, takich jak IMAX. Jego życie mogłoby stać się kanwą kolejnej przygody Indiany Jonesa.

Nie sposób też nie wspomnieć o Macieju Słomczyńskim, znakomitym tłumaczu literatury anglojęzycznej i autorze kryminałów pod pseudonimem Joe Alex, biologicznym synu Coopera, choć dorastał on bez ojca. Proszę sobie wyobrazić: twórca „King Konga" pozostawił również ślad w historii polskiej literatury poprzez syna, który przetłumaczył cały dorobek dramatyczny Szekspira. Czy można wymyślić bardziej nieprawdopodobne zakończenie tej historii?

Czy istnieje jeszcze szansa na odnalezienie „Gwiaździstej eskadry"?

Kiedy zaczynałem pracę nad filmem, wydawało mi się, że będę szukał przede wszystkim zaginionej kopii. Z czasem zrozumiałem, że poszukuję czegoś większego: historii ludzi, którzy stworzyli ten film, pamięci o Eskadrze Kościuszkowskiej i odpowiedzi na pytanie: Dlaczego tak ważna produkcja zniknęła z naszej kultury? Śledztwo prowadziło mnie przez archiwa w Polsce, Stanach Zjednoczonych i Rosji. Wielokrotnie odkrywałem coś zupełnie innego, niż zamierzałem znaleźć.

Czy film jeszcze istnieje? Oczywiście, że wierzę, iż gdzieś przetrwał! Wystarczy przecież jedna zapomniana puszka z taśmą, błędnie opisane pudełko albo magazyn, do którego nikt od dziesięcioleci nie zaglądał, żeby cała historia otrzymała nowe zakończenie. W moim filmie pojawia się niezwykła deklaracja pracownicy jednego z zagranicznych archiwów, która wprost stwierdza, że „Gwiaździsta eskadra" znajduje się w jego zbiorach, by po chwili wycofać swoje słowa. Nie bez znaczenia wydaje się fakt, że chodzi o archiwum w Moskwie. Historia płata nam figla i zamiast poszukiwanego skarbu odnajdujemy inny, również zaginiony film. Na tym polega piękno takich wypraw: nigdy nie wiemy, co czeka za kolejnymi drzwiami archiwum. Dopóki istnieją miejsca, w których „Gwiaździsta eskadra" może się ukrywać, dopóty ta historia nie jest zakończona.

Podczas tych poszukiwań przekonałem się również, jak wiele wspólnej historii mamy do odkrycia. Możemy różnić się poglądami na współczesną politykę, ale nie powinniśmy pozwolić, żeby przesłaniały nam one nasze dziedzictwo. Chciałbym, żeby historia była nie tylko przedmiotem sporów, lecz także przestrzenią, w której odnajdujemy to, co nas łączy.

Od lat na ekranizację, ponoć polsko-amerykańską, oczekuje fabularna saga o Merianie Cooperze i jego druhach. Chciałbym ją obejrzeć, a pan?

Oczywiście, bardzo chętnie. Słyszałem również o kilku innych projektach opowiadających tę historię. Losy Coopera i amerykańskich lotników broniących polskiej wolności mają olbrzymi potencjał fabularny. Jest w nich wszystko, czego potrzebuje znakomity film: przygoda, wojna, miłość, przyjaźń, wielka polityka i dramatyczne wybory. To materiał na kino o międzynarodowej skali, mocno zakorzenione w polskiej historii. Jako dokumentalistę fascynuje mnie jednak przede wszystkim to, co w istocie się wydarzyło. Czasami rzeczywiste losy bohaterów są tak niezwykłe, że scenarzysta musiałby je nieco złagodzić, żeby widzowie uwierzyli.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Borowiec *– reżyser, scenarzysta i producent filmowy, a także adwokat. Twórca filmów „Nowa droga", „Fechmistrz z Wiednia", „Szklane negatywy" oraz najnowszego: „Tajemnica Gwiaździstej Eskadry". Jest wykładowcą PWSFTViT w Łodzi.*

eprasa.pl 8645d9a30d



Sylvester Stallone (tu Anthony Ippolito) zaryzykował wszystko i przezwyciężył wszelkie trudności, by napisać scenariusz filmu i zagrać w nim tytułową rolę

FOT. CLAIRE FOLGER

Mieć przyszłość



Piotr Gociek

„Rocky" to wielki film. Opowiadający o kulisach jego powstania „Jestem Rocky" to z kolei film po prostu dobry

Pamiętam plakaty: było ich mnóstwo, przed każdym kinem. Plakat filmu „Rocky II" był dziwny i nie rozpalał mojej wyobraźni. Dopiero później doceniłem projekt Edwarda Lutczyna: czterolistna koniczyna z bokserskich rękawic. Rozpaliły za to moją wyobraźnię czarno-białe fotosy wiszące w gablotach w niemal każdym foyer. Nic z tego. Miałem dopiero 11 lat, wyglądałem na mniej i nikt by mnie do kina nie wpuścił. W połowie lat 80. film „Rocky III" oglądałem na kasetach VHS i byłem mocno rozczarowany. Zbyt rozrywkowe wydawało mi się to wszystko, zbyt uproszczone, a ekranowe gościnne występy Hulka Hogana i Mr. T przenosiły całe doświadczenie w sferę surrealistycznego kabaretu.

Nie byłem zainteresowany. W efekcie oryginalny, pierwszy film „Rocky" obejrzałem dopiero jako widz dorosły, chyba kiedy ukazał się pierwszy box DVD. Opowiadam tę historię, by podkreślić, że w związku z tym mogę oceniać tę produkcję bez sentymentów, bez mgiełki nostalgii, bez tęsknoty za emocjami, które budzą w nas ulubione filmy czasów młodości. I oto ocena (sam swego czasu byłem nią zdumiony): „Rocky" to jest film wielki. Nie chodzi o wielkość, jaką rezerwujemy dla arcydzieł sztuki filmowej, lecz o ten rodzaj wielkości, jaki osiągają filmy dotykające w nas spraw bardzo zwykłych, a zarazem bardzo fundamentalnych. Tak, „Rocky" jest filmem wielkim.

NIEZNISZCZALNY STALLONE

Są i inne powody do powrotu na ulice Filadelfii i do bokserskich sal treningowych. Oto mija 50 lat od premiery filmu, który w USA wszedł na ekrany 21 listopada 1976 r. (w Polsce ponad dwa lata później). A jednocześnie do kin trafia fabuła opowiadająca o kulisach powstawania tej produkcji. Film „Jestem Rocky" („I Play Rocky") w reżyserii Petera Farrelly'ego (to ten zarówno od harcore'owych komedii, jak i oscarowego filmu „Green Book") jest opowieścią o młodości Sylvestra Stallone'a i o tym, jak do powstania słynnego filmu w ogóle doszło.

Sylvester Stallone. Oto nazwisko w tym wszystkim najważniejsze. W lipcu tego roku skończył 80 lat i wydaje się niezniszczalny. Nie znika z ekranu: gra w serialu „Król Tulsy". Pisze scenariusze. Pracuje nad miniserią, którą kręcić ma wraz z Quentinem Tarantino. Napisał autobiografię, której premiera miała miejsce półtora miesiąca temu (nosi tytuł „Steps: A Memoir"). No i oczywiście znów jest o nim głośno za sprawą „Jestem Rocky". Młodego Stallone'a zagrał Anthony Ippolito, który grał też… młodego Ala Pacino w serialu „The Offer" o kulisach kręcenia „Ojca chrzestnego".

ZARABIANIE NA NOSTALGII

Zauważmy tę ostatnią koincydencję, bo przypomina nam o ciekawym trendzie, który w ostatniej dekadzie zaznaczył się w Hollywood: to zarabianie na nostalgii za dawnymi przebojami poprzez opowiadanie o ich narodzinach i późniejszej popularności. W „The Offer" widzieliśmy jak Francis Ford Coppola i Mario Puzo biedzą się nad dziejami rodziny Corleone, w „Manku" ujrzeliśmy kulisy pisania scenariusza do „Obywatela Kane'a", „Nazywam się Dolemite" ukazywał kulisy kina blaxploitation itd. Nawet pierwsze wydanie satyrycznego programu telewizyjnego „Saturday Night Live" doczekało się pieczołowitego

eprasa.pl 8645d9a30d

odtworzenia w filmie zatytułowanym „Saturday Night". Moda ta ogarnia nie tylko filmowców oddających hołd dokonaniom starszych kolegów. Powstała też np. seria albumów komiksowych o tym, jak powstawały pierwsze filmy cyklu „Gwiezdne wojny" (opublikowane także w Polsce dzieło duetu Francuzów: Laurent Hopman i Renaud Roche).

Sylvester Stallone nie pierwszy raz doskonale wyczuwa oczekiwania publiczności – wszak kiedyś uniknął zaszufladkowania jako niepotrzebny nikomu emeryt, gdy wymyślił serię filmów „Niezniszczalni" („The Expendables"), która podtrzymywała legendę gwiazd kina akcji lat 80. i 90. metodą nie wprost – były to pastisze tego typu produkcji. Opowieść o filmie „Rocky" to jednak inny przypadek – tu faktycznie dotykamy spraw bardzo osobistych, często bolesnych, i chwil, kiedy przyszłość młodego aktora miała się rozstrzygnąć.

„ROCKY TO JA"

Kto oglądał dokumentalny film Netflixa „Sly", ten wie, o co chodzi. Stallone opowiadał tam swoją historię, wyciągał przed kamery stare maszynopisy i kasety audio z nagraniami, przyglądał się starym rodzinnym zdjęciom. Bardzo wiele znaleźć na ten temat można było także w bogatym zestawie dodatków do rocznicowej edycji „Rocky'ego" na Blu-ray. Stallone ma powód do tego, by mówić „Rocky to ja", bo tak właśnie było. Nie w tym sensie, że walczył o swą przyszłość na ringu, ale w tym, że był outsiderem, w którego nikt nie wierzył. I musiał sam rzucić wyzwanie całemu światu i sam się z wydobyć nizin. Były na początku chwile zapowiadające wielki sukces, jak choćby recenzje filmu „Książęta z Flatbush" (1974), po którym ten i ów krytyk obwołał go „nowym Marlonem Brando". Ale częściowo sparaliżowana twarz, włoskie pochodzenie, fizyczność, sprawiły, że jedyne, na co mógł liczyć, to type casting – zaszufladkowanie w rolach podobnych do tych, które grywał w pierwszych latach swej kariery. Chuligana, barwnego elementu drugiego planu, ochroniarza z półświatka (jak w „Żegnaj, laleczko").

Dla wielu aktorów taki werdykt producentów i szefów castingów jest wyrokiem. Oznacza albo koniec kariery, albo długie lata podrzędnych rólek w B-klasowych produkcjach telewizyjnych, czasem w jakimś niskobudżetowym filmie. Stallone miał jednak coś, czego nie mieli inni – nie tylko wielką wiarę w siebie i równie wielki upór. Miał także talent do wymyślania historii i pisania scenariuszy. Uczył się tego latami, wślizgiwał na lewo do kin, bo nie stać go było na bilety. Podpatrywał, notował, szkicował. Jak to jest skonstruowane, jak brzmi wiarygodny dialog, jakim bohaterom widzowie kibicują.



REŻ. PETER FARRELLY „JESTEM ROCKY" USA 2026

Gdy napisał scenariusz „Rocky'ego", niejeden producent ujrzał w tym świetny materiał na film, ale nikt nie widział w roli głównej samego Sylvestra Stallone'a. Oferowano mu duże pieniądze, byle tylko zgodził się na oddanie projektu w cudze ręce, by pozostał tylko scenarzystą. Nie zgodził się, a reszta jest już historią. Peter Farrelly, reżyser „Jestem Rocky", stawia tezę (wspierając się scenariuszem Petera Gamble'a), że właśnie ta autentyczność zdecydowała o sukcesie filmu; zarówno tytuł filmu, jak i linia narracyjna zacierają właściwie granice między fikcyjnym bokserem Rockym Balboa a samym Stallone'em. Jednak jest to tylko część prawdy.

PRAWDZIWA BAJKA

„Rocky" jest wielkim filmem, bo nie jest to ani typowy film sportowy, ani typowy film lat 70., kiedy to amerykańskie kino rozszczepiało się na dwa nurty – z jednej strony po „Szczękach" i „Gwiezdnych wojnach" nastała moda na eskapistyczne blockbustery, a z drugiej kino artystyczne ześlizgiwało się w gryzący realizm, zazwyczaj bardzo pesymistyczny. Po jednej stronie był Luke Skywalker, po drugiej „Serpico" Lumeta, filmy Johna Cassavetesa, „Mikey i Nicky" Elaine May czy „Ostatni seans filmowy" Bogdanovicha. I teraz zauważmy: gdy po raz pierwszy widzimy w filmie Rocky'ego, to właściwie mało sympatyczny żul, mięśniak do wynajęcia. Mógłby być jedną z drugoplanowych postaci „Nocnego kowboja" Johna Schlesingera, zapewne jakimś typem, który skopie na ulicach Nowego Jorku bohaterów granych przez Dustina Hoffmana czy Jona Voighta.



W rolę młodego Sylvestra Stallone'a wcielił się Anthony Ippolito. Obok AnnaSophia Robb jako jego pierwsza żona, Sasha Czack

FOT. CLAIRE FOLGER

Ale potem przychodzi przemiana. Przychodzi podróż ku odkryciu, że ten człowiek też ma jakąś wartość. Przychodzi wzruszający wątek miłosny: chłopak, którego wszyscy spisali na straty, spotyka dziewczynę, której nikt nie zauważa. Czy w jakiejkolwiek sytuacji może im się coś udać? Rocky Balboa w wersji napisanej przez Sylvestera Stallone'a mógłby na cztery lata przed granym przez De Niro bohaterem „Wściekłego byka" powtarzać: „Nie jestem zwierzęciem. Dlaczego traktują mnie jak zwierzę?".

„Rocky" to film, który mógł pozostać zapomnianym dziełkiem owego gryzącego amerykańskiego realizmu obyczajowego, jeszcze jednym świadectwem beznadziei, w jaką popadła Ameryka po traumie przegranej wojny w Wietnamie, kryzysie energetycznym i politycznym szoku Watergate. Stallone jako scenarzysta, jako opowiadacz historii, jako – nie waham się użyć tego słowa – bajkopisarz rozumiał jednak, że kino to także bajka. Że może być prawdziwe, pozostając bajką. I ten przełomowy w jego karierze film łączy owe dwa światy pękniętego amerykańskiego kina lat 70. Pokazuje niziny, ale zarazem nie tapla się w życiowych tragediach. Daje nadzieję. „Rocky" zaczyna się jak opowieść o człowieku bez przyszłości, a kończy jako historia bohatera, który posiada przyszłość, mimo że czasem przegrywa po drodze. Z tego punktu widzenia każdy chciałby być Rockym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kaprysy Łazarza



★★★★★★

REŻ. ŁUKASZ OSTALSKI
„ZNIECZULENIE”
POLSKA 2026

wyst. Leszek Lichota, Aleksandra Popławska, Mariusz Bonaszewski

Znany lekarz szuka na prowincji sposobu na nowe życie. Brzmi znajomo? Serial „Znieczulenie” zaczyna się jak współczesna parafraza „Znachora”, tyle że tym razem Leszek Lichota nie jest pozbawionym pamięci profesorem Wilczurem, lecz pozbawionym kariery w Warszawie doktorem Dawidem Łazarzem. Ośmioodcinkowa produkcja Netflixa szybko wykręciła w serwisie dużą oglądalność, co dziwić nie powinno, bo seriale medyczne to magnes na widzów. Tyle że tak naprawdę „Znieczulenie” serialem medycznym nie jest. Właściwie nie wiadomo, czym jest, bo scenariusz jest rozwichrzony. Najdziwniejsze jest zaś to, że mimo tego kłopotu rzecz wciąga i popycha do odpalania następnych odcinków.

Adriana Prodeus postawiła w PR2 tezę, że jest to w istocie serial katastroficzny – i ja się z tym zgadzam. Zaczyna się od podwójnej katastrofy: życiowej i kolejowej. Kolejowa wygląda jak małe post-apo na ekranie i jest najważniejszym elementem pierwszego odcinka. Życiowa – czyli los doktora Łazarza – jest ważniejsza. Jego wybory wywoływać będą spiętrzenie kolejnych katastrof. Tym razem bowiem to nie jest historia zagubionej duszy, która na prowincji, z dala od wyścigu szczurów, odnajduje spokój. To opowieść o człowieku dotkniętym pychą (i kilkoma innymi defektami), który skazi nowe środowisko, w którym się znalazł.

Jest w tym materiał na opowieść przejmującą, dostajemy jednak bardzo nierówną. Dużo jest dziur w scenariuszu (przykrywane są sensacyjnymi zwrotami akcji), postacie zwykle mocno jednowymiarowe. Niemniej doceniam, że troje scenarzystów szuka raczej inspiracji w okolicach „Informacji zwrotnej” (pamiętacie ten serial Netflixa z Arkadiuszem Jakubikiem?) niż w „Ostrym dyżurze”. Leszek Lichota jako Łazarz jest świetny, ostatni odcinek mocno zaskakujący, tempo niezłe. Cała reszta natomiast pozostaje niewyraźna, bo szkodzi tej historii fakt, że próbuje być naraz zbyt wieloma opowieściami – i thrillerem, i dramatem medycznym, i satyrą na prowincję, i melodramatem. Wiele spraw zostaje tu napoczętych, a potem porzuconych, by gnać dalej z kolejną wielką kulminacją. Dobrze, że choć historia doktora Łazarza znajduje właściwe zamknięcie. ©℗

GRA TYGODNIA: „BEZPIECZEŃSTWO W INTERNECIE”

To kolejna gra rodzinna mająca na celu edukację przez zabawę – tym razem naukę bezpiecznego korzystania z Internetu. Do dyspozycji mamy 52 karty ze 156 pytaniami oraz dwie karty pułapki. Dzieci rywalizują z rodzicami – inne pytania zadają dorośli, inne najmłodsi – sprawdzając, czy obie grupy znają zasady świadomego poruszania się w sieci. Uczą się m.in. rozpoznawać, które informacje są danymi osobowymi, czy poznana w cyfrowym świecie osoba jest tym, za kogo się podaje, a także dlaczego aktualizacje urządzeń są takie ważne. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** ***edukacyjna, rodzinna***
- ***Producent, dystrybutor:*** ***Kangur***

eprasa.pl 8645d9a30d

Nawrócenie seksisty

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. MASSIMILIANO BRUNO
„RAZEM CZY OSOBNO” („2 CUORI E 2 CAPANNE”)
WŁOCHY 2026

wyst. Claudia Pandolfi, Edoardo Leo, Giorgio Colangeli

Wojna płci w nowoczesnym entourage'u. Z góry wiadomo, kto wygra, choć ona jest prostą nauczycielką, a on dyrektorem szkoły. Alessandra, wierna matczynym naukom, że „rodzina zabija wolność”, z żadnym facetem nie wytrzymała nawet roku. Jak na feministkę przystało, uczęszcza na manify, tępi objawy patriarchatu oraz sympatyzuje z ludźmi kontestującymi zastany porządek prawny i społeczny: od jajogłowych do sąsiadów handlujących narkotykami. Valerio, wychowany w konserwatywnej rodzinie, stara się kierować zdrowym rozsądkiem. Sądzi, że szkoła ze swojej natury nie jest instytucją demokratyczną, a omawianie na lekcjach twórczości Dario Fo przynosi więcej szkody niż pożytku. Co łączy tę parę? Oczywiście włoski temperament.

Kino, nawet do szpiku kości rozrywkowe, bezwiednie oddaje ducha epoki. W wojnie płci przewagę od dawna mają kobiety. Mężczyźni znajdują się w permanentnej defensywie. Nasz dyrektor też szybko rezygnuje z oporu. Panie w typie Alessandry mówiąc o „związku partnerskim”, mają bowiem na myśli bezwarunkową kapitulację. W dzisiejszych czasach nie wystarczy, że Valerio jest porządnym facetem. Musi jeszcze przyjąć światopogląd ukochanej i pogodzić się z faktem, że będą mieszkać osobno (włoski tytuł filmu to trawestacja powiedzenia: „dwa serca, jedna chatka”).

Z postulatów lewicy scenarzyści pominęli tylko aborcję. Nieprzypadkowo, gdyż czynnikiem, który scementuje relację pary pedagogów, okaże się ciąża. W obliczu takiej zmiany przyszła matka pójdzie na drobne ustępstwa: proklamuje monogamię i zacznie dbać o porządek w swoim „kreatywnym” lokum. Nie będzie jednak ślubu ani chrztu, a dziecko wychowa w duchu ultraliberalnym.

Płacąc trybut aktualnej modzie, „Razem czy osobno” pozostaje komedią. Dość schematyczną i w końcówce przesłodzoną, lecz pozbawioną jadu i hipokryzji typowych dla produkcji znad Wisły. Kto miał pecha oglądać takie wykwity rodzimego poczucia humoru jak „Kryptonim Polska” czy „Idealny facet dla mojej dziewczyny”, ten zaniecha rzucania we Włochów kamieniem. Poza tym w świetle ostatnich wydarzeń postulat powrotu do szkół poradni psychologicznych wcale nie wydaje się głupi. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŚMIECH I KREW

Stara część Pragi zaprzedała się turystom i ekspatom. Z jednym wyjątkiem: do knajpy U Zlatého Tygra można się dostać tylko po znajomości. Wszystko przez Bohumila Hrabala, który pod pretekstem studiowania natury ludzkiej wyżłopał tam hektolitry piwa. Przez jakiś czas asystował mu początkujący reżyser Jiří Menzel. Wspólnymi siłami panowie przerobili na scenariusz filmowy opowiadanie, będące mikstem egzystencjalnego dramatu i rubasznej komedii. Mieli szczęście – sparaliżowana polityczną odwilżą cenzura przełknęła nawet scenę odbijania pieczątek na pośladkach telegrafistki. Problemy zaczęły się później, gdy „Pociągi pod specjalnym nadzorem” dostały Oscara. Od premiery arcydzieła czeskiej Nowej Fali minęło 60 lat, jednak sugestia, że patrioci, kolaboranci i Niemcy są do siebie trochę podobni, wciąż pachnie herezją. ©℗



cda.pl

★★★★★☆

REŻ. JIŘI MENZEL
„POCIĄGI POD SPECJALNYM NADZOREM”
CZECHOSŁOWACJA 1966

wyst. Václav Neckář, Jitka Scoffin, Vladimir Valenta



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Zwierzęta wszystkich światów

Wystawa organizowana przez Bibliotekę Narodową zaprasza do obejrzenia przedstawień stworzeń zarówno prawdziwych, jak i tych fantastycznych – z ksiąg, rycin oraz rzeźb. Ukazuje, jak przez wieki ludzie opisywali i wyobrażali sobie różne gatunki ze świata fauny.

Te ówcześnie nowe, niezbadane, rodzące wiele domysłów i budujące legendy uchodziły za morskie bestie, gady, dziwne owady, a nawet jednorożce. Ich wizerunki można podziwiać w udostępnionych dziełach Jana Jonstona, Ulissesa Aldrovandiego, Konrada Gesnera. Z kolei całkowicie realny, naukowy obraz przyrody wyłania się z prac Marii Sibylli Merian. Artystka, będąca także entomologiem, pozostawiła po sobie prace dokumentujące świat owadów w powiązaniu z roślinami. Scenografia, światło i odgłosy zwierząt dopełniają całości ekspozycji, którą można nazwać mozaiką rzeczywistości i wyobraźni. ©℗



FOT. PAWEŁ MORAWIEC/BIBLIOTEKA NARODOWA

GDZIE? ***Pałac Rzeczypospolitej, Warszawa***
KIEDY? ***do kwietnia 2027 r.***

eprasa.pl 8645d9a30d



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Godom ci, godom...

W swoim planie głównym akcja nowej powieści Szczepana Twardocha rozgrywa się w sierpniu 1920 r., a więc podczas drugiego powstania śląskiego. Autor jak ognia unika jednak tej nazwy, rozpisując się o działaniach zbrojnych Niemców i Polaków wyrywających sobie wzajemnie Górny Śląsk.



FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Wielka wojna skończyła się już wprawdzie przed dwoma laty, ale czy naprawdę? Breitenberg, właściciel agencji detektywistycznej zatrudniającej bohatera powieści, ekswachmistrza gliwickiej policji kryminalnej, Wilhelma Pisullę, wyjaśnia: „Wojna trwa. Mamy przeciwko sobie nie tylko polskich bojówkarzy, nie tylko komunistów, różnej maści liberałów, socjalistów, demokratów i innych zwyrodnialców, ale też Francuzów i Włochów, którzy chcą odebrać Rzeszy te prastare germańskie ziemie". Cóż z tego, że to brednie? Nie ma takiej bzdury, która by w śląskiej rzeczywistości ukazanej przez Twardocha nie stawała się prawdą.

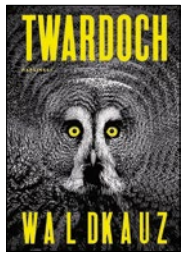
A dlaczego Wilhelm Pisulla porzucił pracę w policji? „Było to rok wcześniej, w drugiej połowie sierpnia 1919. Świat wrzał, Grenzschutz trzy dni wcześniej zmasakrował hajerów, baby i dzieci na placu Myslowitzgrube, było mnóstwo trupów, co się nie spodobało nikomu, kto miał łeb na karku i serce w piersi, i dlatego spodobało się wielu śląskiem drobnomieszczanom o słowiańskich nazwiskach, na każdem kroku niepewnem swojej świeżej dość niemieckości, drżącem, że przyjdzie rewolucja i Polacy, Piłsudski, Lenin albo inny Béla Kun czy Karl Radek odbiorą im możliwość drobnomieszczańskiej egzystencji, a co gorsza, przypomną im może, że są ludźmi tego samego plemienia i języka, co ci zastrzeleni przy kopalnianej bramie.

Ja sam, wachmistrz kryminalny Wilhelm Pisulla, po tej właśnie masakrze uznałem, że nie chcę dłużej w policji służyć, chociaż tam przecież Grenzschutz O.S. strzelał, nie policja". A po rzezi dokonanej na Polakach w Mysłowicach powstańcy Korfantego zemścili się na niemieckich bojówkarzach. Krwawo. Ekswachmistrz zapewnia wprawdzie: „Nie jestem żadnem korfanciorzem, nic mnie Polska nie obchodzi, chociaż Hakaty i prusactwa nienawidzę", ale prowadzi też takie rozważania o ludziach winnych zbrodni: „Robert i Florian Miodek żyją, ich głowy nie spadły pod katowskim toporem, ktoś ich z tego więzienia wyciągnął, ale kto, czyżby to sprawa jakiejś umowy, wymiany, Robert trafia potem za rozbój do polskiego więzienia, widać polubił się z tem życiem, które dlań zaczęło się od płatnej z Lomnitz bojówki, rodzi mu się córka, a potem dostaje Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, i Florek Miodek też dostaje, obydwu braciom krzyże do wyświechtanych marynarek przypina człowiek, o którem w sierpniu 1920 roku jeszcze nie słyszałem, ale którego nazwisko potem poznam, i jest to niejaki Grażyński, łajdak nagradza zbrodniarzy, i potem wszystko przysłaniają ciemności, kolejne czerwone korale na szyi rozbarskiej dziouchy, królowej czasu, i już rozumiem".

My też rozumiemy, zwłaszcza subtelne określenie wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego mianem łajdaka.

„Waldkauz" nie jest jednak – rzec można, na szczęście – powieścią historyczną. Jej bohater, gustujący w mleku, koniaku i kokainie, ma dwie dusze, co przysparza mu kłopotów, bo nieustannie walczyć musi sam ze sobą, ale i pozwala np. rozmawiać z utopcami i rozumieć mowę ptaków. Wojna zabrała mu starszego syna i rozbiła rodzinę. Ma jedynie jednego przyjaciela, pisarza i żołnierza, będącego w gruncie rzeczy kolejnym jego wcieleniem. Śląska wojna domowa, bo tak ją chyba wypada nazwać, wplątuje ich w niesłychane zupełnie perypetie; z niezliczonych niebezpieczeństw i opresji wychodzą jednak cało, choć poranieni na ciele i duszy. Całość opowiadanej historii wystylizowana jest na śląską gawędę, a ogromne fragmenty „Waldkauza", by je w ogóle zrozumieć, odczytywać trzeba z przypisów. No chyba, że biegle posługujemy się językiem wasserpolskim w mowie i piśmie, co jednak mimo wysiłków śląskich autonomistów nie jest jeszcze powszechne.

A co czeka dalej czytelników „Waldkauza"? Oczywiście nasz ulubiony ciąg dalszy. Znów Pisulla będzie strzelał, znowu gdzieś się wybierze, podążając po śladach swoich synów i chcąc skleić to, czego skleić się nie da: „Jedź, Pisulla, deputło, godom ci. Bydź chop, a niy tako charynza. Albo sie powadzymy blank". No nie, na amen nie pokłócimy się na pewno, chociaż czy czegokolwiek w świecie Twardocha możemy być pewni? ©℗



★★★★★★

SZCZEPAN TWARDOCH „WALDKAUZ" MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 8645d9a30d



POCZYTANKI

Po prawdzie

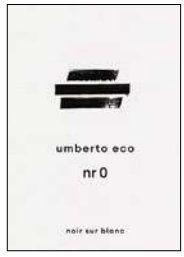
PIOTR GOCIEK

Z trzech elementów składa się ostatnia powieść Umberta Eco opublikowana za jego życia (był rok 2015). Dwa są ważne i niepokojące, jeden niespecjalnie oryginalny, choć niby najbardziej sensacyjny. Zacznę od niego. Ot, obowiązkowy element lewicowych obsesji: za wszystko, co złe, odpowiadają CIA, Kościół i faszyści, pojedynczo lub w dowolnej kombinacji. Pamiętam, jak kiedyś zadzwonił do radia gość i opowiadał, że Hitler żyje i jest rolnikiem pod Szczecinem. U Eco nie Hitler, ale Mussolini, nie pod Szczecinem, lecz dużo dalej, a reszta już nieistotna.

Natomiast dwa pozostałe elementy są godne uwagi i przez włoskiego pisarza nakreślone świetnie. „Nr 0" (w oryginale „Numero Zero") to nie tylko tytuł książki, lecz także określenie na numer próbny gazety, w której prace rozpoczyna pan Colonna, życiowy przegryw i z zawodu dziennikarz (jakże często te dwie rzeczy łączą się ze sobą). Plany są wielkie, pieniądze też, bo gazeta ma bogatego właściciela. Świat tabloidowego dziennikarstwa sam w sobie jest wdzięcznym obiektem satyry, więc Eco ma pole do popisu, z czego często i złośliwie korzysta. Nie chodzi jednak tylko o sensacyjność i krzykliwość, nowy tabloid ma na serio prowadzić robotę śledczą, na serio szukać grubych skandali, naprawdę być cierniem w oku możnych i wpływowych.

Sprawy przyjmują nieoczekiwany obrót, gdy – po pierwsze – okazuje się, że gazeta ma się nigdy nie ukazać, a zgromadzone kompromaty stanowić mają jedynie przepustkę do miejsca wśród elity (zdobytego szantażem – jak mnie nie dopuścicie, to wszystko ujawnię!). A po drugie – jedno z dochodzeń zacznie przynosić rezultaty tak sensacyjne, że może wysadzić wszystko: redakcję, plany właściciela, nie mówiąc już o całej włoskiej scenie politycznej.

Eco, który pamiętany jest jako autor bestsellerów (m.in. „Imię róży"), a ciekawszy jest jako eseista, nie krył swej niechęci do mediów społecznościowych i ery nowego ogłupienia. Trzecim elementem, najważniejszym w „Nr 0", uczynił pytanie o prawdę. Odpowiedź jest miażdżąca i głęboko niepokojąca. Żyjemy w świecie tak przeładowanym informacjami, a zarazem nieistotnością, że prawda, nawet odziana w sensacyjne opakowanie, nigdy nie zostanie rozpoznana. Nikt jej nawet nie zauważy. ©℗

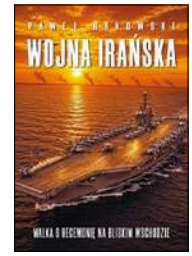


★★★★★★

UMBERTO ECO „NR 0" NOIR SUR BLANC 2026

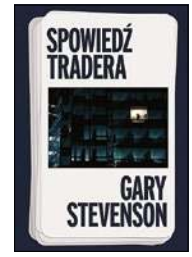
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wojna z Iranem i rosnące ceny paliw pogrążyły republikanów w ostatnich wyborach. Czy Trump zdecydował o niej w dobrym momencie? Jaki ma skutek i jak zmieni świat? Odpowiada autor znany z „Wielkiej wojny Izraela".



PAWEŁ RAKOWSKI „WOJNA IRAŃSKA" ZONA ZERO

Do wskazywanych przez Bismarcka kiełbasy i polityki (że nie powinniśmy wiedzieć, jak się je robi) Stevenson dokłada wielkie pieniądze. Szokujące kulisy cynizmu świata wielkich finansów. Dopełnienie „Big Shorta" Lewisa.



GARY STEVENSON „SPOWIEDŹ TRADERA" ZYSK I S-KA

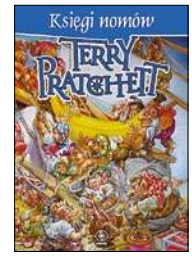
„Życie na krawędzi katastrofy". Dobry podtytuł, żywot Republiki Weimarskiej był dramatyczny. Ćwiczenie z mikrohistorii: dzieje upadku republiki i wzrostu nazizmu w III Rzeszy widzimy poprzez dzieje 35-tysięcznego miasteczka.



KATJA HOYER „WEIMAR" PORT

Nie tylko Świat Dysku. Zbiorcza edycja trylogii o istotkach żyjących pod podłogą Sklepu. Dla miłośników Pożyczalskich, Tapatików, no i oczywiście wszystkich, którzy cenią sobie unikatowe poczucie humoru autora.

recenzuje Piotr Gociek



TERRY PRATCHETT „KSIĘGI NOMÓW" REBIS

KOMIKS TYGODNIA:
MINIATURY MISTRZA

Nie tylko „Kajko i Kokosz", nie tylko serie „Kajtek i Koko w kosmosie" czy „Gucek i Roch". Oto zbiór krótkich form mistrza polskiego komiksu. Są tu i drobiazgi znane z magazynu „Relax" (m.in. „Bajki dla dorosłych"), są pierwsze komiksowe próby Christy z pism „Jazz" i „Przygoda". Jest wreszcie ostatnie, nieukończone dzieło, czyli „Polbida".

Piotr Gociek



JANUSZ CHRISTA „PAN PAPARURA I PIES AJ" EGMONT 2026

eprasa.pl 8645d9a30d



Rafał A. Ziemkiewicz

Atak na Trybunał Konstytucyjny może być dla Tuska tym samym, czym dla jego amerykańskiego imiennika atak na Iran. Mówiąc wprost: początkiem końca



Trybunał Policyjny – pyrrusowe zwycięstwo Tuska

Rządowi udało się wprawdzie zająć budynek Trybunału Konstytucyjnego, wprowadzić tam ósemkę swoich nominatów i ogłosić, że to oni są teraz sądem konstytucyjnym – ale wydaje się to pyrrusowym zwycięstwem. Za jednym zamachem udało się Tuskowi uruchomić kilka procesów, które są dla niego skrajnie niekorzystne, a które jeszcze tydzień wcześniej wydawały się niemożliwe.

ZJEDNOCZENIE OPOZYCJI?

Z jednej strony – dostarczył narracji pozwalającej, po wszystkich zaszłościach między nimi, zjednoczyć się wszystkim partiom opozycyjnym. W obliczu zamachu stanu i konieczności obalenia jego sprawcy tracą znaczenie dawne złośliwości, wymieniane między Mentzenem a Kaczyńskim, wątpliwości co do powiązań Grzegorza Brauna, blaknie nawet fundamentalna rozbieżność ideowa między PiS i Konfederacjami a partią Razem. Morawiecki ze swą grupą może teraz z twarzą znaleźć się na jednej liście z PiS, w ramach jakiejś „znowu zjednoczonej prawicy", nawet jeśli nie odniesie większego sukcesu niż swego czasu Solidarna Polska Ziobry. A po tym, jak Jarosław Kaczyński publicznie wskazał jako przywódcę prawicy Karola Nawrockiego i wystąpił na sławnym zdjęciu, intensywnie upowszechnianym przez rządową propagandę, wspólnie z Grzegorzem Braunem, wyobrażalny staje się nie tylko „pakt senacki", lecz także jedna, „niepodległościowa" lista do Sejmu, pod patronatem prezydenta, z wyznaczonym celem osiągnięcia większości konstytucyjnej i dokonania „resetu państwa". Czy na takiej liście znalazłoby się miejsce dla wspomnianej już partii Razem albo nawet jakichś mniej skompromitowanych uciekinierów z obozu Tuska, na ten moment nie można powiedzieć. Ale policyjne kaski i pały w budynku TK na pewno uśmierciły żywione jeszcze niedawno nadzieje na wciągnięcie Razem do Lewicy Czarzastego czy nakłonienia do współpracy z KO mentzenowskiej części Konfederacji.

Wszyscy politolodzy zgodni byli, że jedyna nadzieja Tuska na utrzymanie władzy – przy założeniu, że zadecydują o tym uczciwie liczone, wolne wybory – to z jednej strony wspólna lista wszystkich ugrupowań odpowiadających za obecny rząd, a z drugiej cztery osobne listy skłóconej wewnętrznie opozycji. On sam najwyraźniej jednak miał w tej kwestii odmienne zdanie.

Z drugiej strony, we własnych zwolennikach zasiał Tusk niepewność, wątpliwości i niepokój o przyszłość. Odwrócenie się od Tuska establishmentu prawniczego wydawało się równie nieprawdopodobne, jak zgoda PiS z obydwoma konfederacjami i Rozwojem Plus. A jednak i to udało mu się osiągnąć. Poza kilkoma aktywistami Iustitii i czwórką emerytowanych prezesów TK (którzy w uznaniu fikcji Trybunału Korwin-Piotrowskiej mają osobisty interes: bez niej wstrzymane będą w przyszłym roku wypłaty ich uposażeń) prawnicy generalnie nie dali się przeko-

eprasa.pl 8645d9a30d



Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, 3 listopada FOT. GRZEGORZ KRZYZEWSKI/FOTONEWS/FORUM

nać, że 8 to dwie trzecie z 15, że osobie wybranej wprawdzie do Trybunału, ale nie zaprzysiężonej wolno pod osłoną policji wybrać siebie samą na jego nową przewodniczącą, zawiesić samowolnie trzech sędziów, a następnie z dwoma trzecimi pozostałych, w większości takich samych jak ona „sędziów elektów", jak zdefiniował to prof. Ryszard Piotrowski, przejąć funkcję organu konstytucyjnego i zdejmować immunitety oraz ferować wyroki. Zresztą wspomniana czwórka, nawet wsławieni wcześniejszymi prawniczymi „kalizmami" Marek Safjan i Andrzej Zoll, też nie próbowała już się upierać, że Trybunał przejęto zgodne z prawem, a jedynie usprawiedliwia bezprawie „koniecznością".

Przeciwko przejęciu TK w mniej lub bardziej stanowczych słowach zaprotestowali nie tylko pierwszy prezes Sądu Najwyższego i zdecydowana większość jego sędziów, biorących udział w walnym zgromadzeniu SN, lecz także uważany za apolitycznego prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego i wręcz sprzyjający władzy prezes Naczelnej Rady Adwokackiej. Jednym głosem przemówili (bądź zniknęli z mediów) konstytucjonaliści oraz prawnicze fundacje, na czele z Helsińską Fundacją Praw Człowieka, a demonstracyjne odejście z niej Wojciecha Sadurskiego z grupą podobnych mu zagorzałych stronników Tuska osłabiła wymowę tego faktu raczej w nieznacznym stopniu.

POPARCIE TUSKA NIE DO ODBUDOWANIA

Dwa czynniki sprawiają, że dawnego poparcia w tych środowiskach, których rokosz swego czasu odegrał tak ważką rolę w sparaliżowaniu, a potem obaleniu rządu Zjednoczonej Prawicy (nazywałem je wtedy „prawniczym Ługańskiem", wskazując, że podobnie jak prorosyjscy separatyści wypowiedzieli posłuszeństwo własnemu państwu i wezwali na pomoc obce mocarstwo, w ich wypadku Unię Europejską), już nie zdoła Tusk odbudować.

Pierwszym jest uderzenie w ich żywotne interesy. W państwie, w którym premier może wyznaczyć dowolnego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, a jego minister – sędziego do danej sprawy, w którym wyroki i wykładnie ustalane są ręcznie przez rządzących polityków, prawnicy zostają sprowadzeni do roli lokajów, i to marnie płatnych w porównaniu z ich dzisiejszymi zarobkami. Kto zatrudni – pars pro toto – za ciężkie pieniądze kancelarię prof. Matczaka, jeśli uzyskanie korzystnego dla jego firmy biegu spraw będzie zależało wyłącznie od decyzji politycznej? Jeśli Tuskowi się uda, to miliony płacone dziś prawnikom rozsądek będzie nakazywał przeznaczyć na łapówki dla tych, którzy im rozkazują, a zdobywana latami pozycja w prawniczym światku okaże się mniej warta niż układy polityczne. Dziesięć lat temu prawnicy, którzy przy Okrągłym Stole uzyskali byli przywileje, jakich nie mają w żadnym cywilizowanym państwie, wszczęli wspomniany rokosz w obronie swej całkowitej bezkarności i niezależności od kogokolwiek poza własną korporacyjna sitwą. Teraz zaczęli rozumieć – może nie prof. Sadurski i jego grupa, ale większość już tak – że z deszczu uciekli pod rynnę.

Drugi czynnik to bezceremonialność, z jaką Tusk odarł ich działania z jakichkolwiek pozorów legitymizacji. Ostatnim krzykiem rozpaczy był tu apel dziewięciu prawniczych fundacji i think tanków, by premier wycofał kandydaturę Macieja Berka. Nawet nie chodziło w tym apelu o fakt, że Berek nie spełnia ustawowego wymogu zaliczonych 10 lat pracy w którymś z wymienionych zawodów prawniczych, ale o skompromitowanie tą nominacją całej ideologicznej „podkładki" antypisowskiego rokoszu. Po 10 latach udawania, jakoby chodziło o „odpolitycznienie" Trybunału, kazał Tusk rokoszanom świecić oczami za powierzenie go człowiekowi, którego otwarcie nazywał „swoją prawą ręką" i który nigdy nie był sędzią, a do Trybunału przestawił go Tusk wprost z ministrowania w jego rządzie.

Utytułowani prawnicy nie chcieli buntować się przeciwko Tuskowi, prosili tylko, by zachował pozory i pozwolił im nadal udawać, choćby już tylko przed samymi sobą, że służą jakimś szczytnym ideałom, a nie zwykłej politycznej gangsterce. A Tusk właśnie celowo ich tego pozbawił, w myśl od dawna wyznawanej zasady, rodem z grup mafijnych, że nikt w gangu nie może pozostać „nieumoczony", bo to potencjalny zdrajca. Już zaledwie 100 dni po objęciu urzędu mówił przecież do swych żołnierzy na zamkniętym zebraniu w Jachrance (zamkniętym, ale nie dla Onetu, który opublikował ten „przeciek"): jeśli nawalicie, nie będziecie mi posłuszni, to wszyscy na tej sali pójdziecie siedzieć. „Pójdziecie" – nie

eprasa.pl 8645d9a30d

„pójdziemy". Inna sprawa, że oprócz pragmatyki przyjęcie tego stylu przywództwa „albo my ich, albo oni was" wydaje się też mocno zakorzenione w charakterze Tuska.

WALKA NA NARRACJE

Załamywanie się poparcia w prawniczym establishmencie przełożyło się też na coraz liczniejsze dysonanse w zgodnie dotąd grającej dla Tuska orkiestrze medialnej. Komentatorzy przecierali ze zdumieniem oczy, widząc na pierwszej stronie Onetu artykuł cytujący wyłącznie opinie ekspertów jednoznacznie i w mocnych słowach uznających działania rządu za nielegalne. Nawet w TVN24 dał się wyczuć brak zapału w kolportowaniu oficjalnej wersji o „przywróceniu praworządności". Może dlatego, że kierownicy rządowej propagandy okazali się do walki na narracje całkowicie nieprzygotowani (co zrozumiałe, jeśli prawdą jest, że – jak pisały media – o przygotowywanym zamachu wiedziało do ostatniej chwili zaledwie kilka osób). Wszystko, co zdołali zrobić, to wysłać do mediów swoich polityków, żeby gołosłownie powtarzali jak papugi kłamstwa o „legalnie wybranych sędziach", „stanie wyższej konstytucyjnej konieczności" czy „naruszeniu nietykalności budynku", wmawiali w żywe oczy, że „policja broni Trybunału przed próbami wywierania na niego wpływu przez polityków", i labidzili nad „brutalnym szarpaniem przez prezydenta filigranowej kobiety". I to bez cienia tego szelmowskiego wdzięku, z jakim swego czasu potrafił podobnie łgać w żywe oczy i odwracać kota ogonem Jerzy Urban.

Bardziej może jeszcze niż „zdrada" wśród prawników i mediów podkopuje pozycję Tuska narastająca na jego zapleczu świadomość, że to właśnie on wszystko zmarnował, bo – ujmijmy to tak – bezsensownie „przekozakował". Nietrudno sobie wyobrazić, co byłoby, gdyby Tusk nie starał się na każdym kroku wymachiwać pięścią i dociskać do ściany, gdy wykazał się większym sprytem i cierpliwością. Zamiast ogłaszać totalną wojnę z Trybunałem – zresztą za radą Macieja Berka właśnie – i twierdzić, że TK „nie istnieje", twardo odmawiając przez dwa lata publikowania orzeczeń i przede wszystkim powoływania nowych sędziów na miejsce kończących kadencję, mógł przecież po prostu kazać ich wybierać w konstytucyjnych terminach spośród „bezstronnych" profesorów, których mu nie brakowało. Prezydent Duda musiałby wtedy przyjmować od nich ślubowania, tak jak musiał je przyjąć prezydent Nawrocki od wybranych lege artis Sławomira Patyry czy Magdaleny Bentkowskiej. Trybunał byłby dziś zarazem protuskowy oraz niekwestionowany i zapewne kierowałbym nim ktoś z prawniczym autorytetem, a nie przewodnicząca prowincjonalnego sądu, która i tam zresztą została narzucona decyzją ministra Bodnara, wbrew wyborowi dokonanemu przez kolegium miejscowych sędziów. Nawet pomimo przegranej w wyborach prezydenckich i spodziewanej utraty większości parlamentarnej obóz lewicowo-liberalny miałby w takiej sytuacji poczucie bezpieczeństwa i jakąś gwarancje bezkarności.

Donald Tusk, idąc pod dyktando fanatyków, postawił swoich zwolenników w sytuacji beznadziejnej

„DONALD MA GDZIE UCIEC"

Tymczasem Tusk, próbując iść „na rympał" pod dyktando garstki sfanatyzowanych oszołomów, postawił swoich zwolenników w sytuacji, delikatnie mówiąc, beznadziejnej. Nawet nie chodzi już o to, że odebrał im ostatnie pozory legitymizacji moralnej – wstyd dawno już u nas umarł, a może nigdy po czasach PRL nie zmartwychwstał, i z opinią sprzedajnej świni da się żyć i odnosić sukcesy w życiu publicznym i zawodowym. Chodzi o to, że wciągnął ich we współodpowiedzialność za decyzje, które podjął sam, całkowicie lekceważąc ich skutki dla swego zaplecza, i za które sam odpowiedzialności nie poniesie – bo wszyscy pamiętają jego ucieczkę do Brukseli w roku 2014 i to, jak zapewniał wtedy do ostatniej chwili, że o żadnym wyjeździe mowy nie ma. „Donald ma gdzie uciec, my nie" – miało się powtarzać w wypowiedziach anonimowych informatorów z kręgów koalicji, na których powołała się Joanna Miziołek. A po wielu latach ujawniania „niedyskrecji parlamentarnych" (ostatnio w formie podcastu „Niedyskretnie o politykach") wypracowała ona sobie grono wiarygodnych informatorów, więc w doniesienia o panującej na zapleczu premiera panice i strachu przed Nawrockim można wierzyć. Zwłaszcza że panikę tę pośrednio potwierdzili atakujący ją bardzo histerycznie za te słowa politycy związani z Tuskiem – Hanna Gronkiewicz-Waltz spróbowała nawet zdezawuować ustalenia dziennikarki, nazywając ją „lalunią".

Przywykliśmy już do informacji, że „Donald się wściekł" na swoich podwładnych – ale tym razem wydaje się być odwrotnie, to jego wierne dotąd i spojone licznymi interesami zaplecze zaczyna być wściekłe na herszta, który ewidentnie przedłożył dogodzenie swojemu zawistnemu ego ponad obiecane niepisaną doktryną Naumanna „bronienie naszych jak niepodległości". Przykład mediów państwowych, które przejął Tusk tak, że je po prostu zniszczył, niczego go nie nauczył. Ośmioro mało komu znanych prawników pod wodzą, teoretycznie, pozbawionej jakiejkolwiek charyzmy figurantki, a w istocie kręcącego nią partyjnego stupajki, może teraz orzec, co tylko Tusk zechce, nie tylko, że polska konstytucja stoi niżej od zarządzeń Komisji Europejskiej i TSUE albo że euro można wprowadzić rozporządzeniem ministra finansów – nawet że dwa plus dwa równa się siedem. Pytanie, kto tych orzeczeń posłucha. Zwłaszcza, jeśli w ostatniej chwili, w obliczu osobistej odpowiedzialności, Tusk stchórzy i „przestanie rumakować" – jak właśnie zrobił to, już drugi raz, w kwestii Narodowego Banku Polskiego, podpisując pod osłoną awantury o TK nominacje do zarządu, których podpisania długo i buńczucznie odmawiał.

Aż prosi się po tym sukcesie premiera o zadedykowanie mu parafrazy starej politycznej mądrości, w oryginale mówiącej o bagnecie. Pałka policyjna ma bowiem tę samą co bagnet właściwość: można się nią czasem podeprzeć, ale siedzieć na niej nie sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Będą chcieli zdelegalizować partię Brauna?



Mikołaj Drozdowicz

Po bezprawnym przejęciu budynku Trybunału Konstytucyjnego przez grupę uzurpatorów jedno można stwierdzić z całą pewnością. Rzeczpospolita ostatecznie przestała być państwem prawa

Dla każdego przyzwoitego prawnika jest to wydarzenie tragiczne, gdyż w zasadzie podważa sens jakiejkolwiek aktywności zawodowej. Wszystko, czego człowiek uczył się na studiach i latami praktykował w poczuciu przynależności do cywilizowanego świata, legło w gruzach. Od 30 października 2026 r. prawo stało się w Polsce jedynie fasadą dla stosowania siły, która sprowadza się do zabawy językowej uzasadniającej łamanie wszelkich obiektywnych zasad i osiąganie dowolnych celów. To trochę tak, jakby od tej pory szachista mógł w każdej chwili zamienić dowolną figurę na hetmana, ba, na kilka hetmanów, a przeciwnik, nawet gdyby chciał zniesmaczony wstać od stołu, nie może tego uczynić, bo rywal ustawił przy szachownicy bandytów z kijami bejsbolowymi, którzy niepokornego gracza zdzielą przez łeb.

PROFESOR PRAWA I POLICYJNA PAŁKA

Z grubsza do tego sprowadza się ukute przez profesurę prawniczą określenie „stanu wyższej konieczności konstytucyjnej" i wszystkie inne zaklęcia używane dla obudowania polityczno-policyjnej przemocy i jawnego bezprawia. Profesor prawa i policyjna pałka stanowią od tej pory nieodłączny tandem i mechanizm sprawowania władzy. Dlatego nie ma większego sensu tłumaczenie, co stanowi prawo, ponieważ ono i tak stanowi wyłącznie to, co można zrobić, stosując brutalną siłę.

Różnica między prawem i polityką polega na tym, że prawo dopuszcza stosowanie przemocy według ściśle określonych zasad. Natomiast polityka jest zdolna posługiwać się siłą bez ograniczeń, co wielokrotnie w dziejach miało miejsce w reżimach totalitarnych. Dlatego warto się zastanowić, jakie mogą być czysto polityczne konsekwencje zajść w budynku przy Alei Szucha w Warszawie, przyjmując jedynie fasadowe posługiwanie się Konstytucją RP i ustawami przez ludzi sprawujących obecnie władzę

Przede wszystkim należy zauważyć, że siłowe przejęcie sądu konstytucyjnego tworzy swoisty precedens. Nie jest to bynajmniej precedens w znaczeniu prawnym, a jedynie politycznym, którego sens sprowadza się właśnie do możliwości niestosowania prawa przez polityków. Stąd prosty wniosek, że raz zdobytej w ten sposób władzy oddać nie można, gdyż ci, którzy ją przejmą, posłużą się dokładnie tą samą metodą. Skoro można przemocą usunąć legalnego prezesa sądu konstytucyjnego, to można równie dobrze zawiesić domniemanie niewinności czy zasadę nulla poena sine lege w imię „narodowej obrony koniecznej". Profesora Zolla można pozbawić emerytury, posługując się klauzulą rebus sic stantibus, rozumianą tak, jak my ją rozumiemy. Dlatego ci, którzy stworzyli ten polityczny precedens, cofnąć się nie mogą. Słusznie zauważył Krzysztof Stanowski, że od tej pory walka o władzę w Polsce to dosłownie walka o życie, o przetrwanie. Stawka wzrasta nieprawdopodobnie. Zakładając jakąś racjonalność Donalda Tuska czy choćby minimum instynktu samozachowawczego, przejęcie Trybunału Konstytucyjnego i uczynienie z niego organu fasadowego musi służyć temu, aby utrzymać się przy władzy za wszelką cenę. Wariantów jest kilka.

ŚWIĘTY GRAAL DLA TUSKA

Zacznijmy od prezydenta. Artykuł 131 Konstytucji RP przewiduje możliwość powierzenia marszałkowi Sejmu tymczasowego wykonywania obowiązków prezydenta Rzeczypospolitej, gdy prezydent nie może przejściowo sprawować urzędu. Wniosek do Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie może złożyć marszałek Sejmu. W razie uznania przejściowej niemożności sprawowania urzędu przez prezydenta Rzeczypospolitej Trybunał Konstytucyjny powierza marszałkowi Sejmu tymczasowe wykonywanie obowiązków prezydenta Rzeczypospolitej. To nie wydaje się obecnie zupełną abstrakcją i jest dosyć oczywiste, że ten wariant jest rozważany w obozie Tuska, o czym zdaje się wspominał Ryszard Kalisz, nomen omen członek Państwowej Komisji Wyborczej. Pojawia się zatem pytanie o skuteczność tego rozwiązania. Karol Nawrocki jest, delikatnie mówiąc, solą w oku reżimu, nie tylko dlatego, że stanowi całkowicie autonomiczny i niezależny ośrodek władzy. Przede wszystkim prezydent dysponuje niespotykaną w polskiej polityce charyzmą, połączeniem intelektu i witalności, która na tle ogólnej miernoty polityków czyni z niego gracza wagi superciężkiej. Wyeliminowanie z gry Karola Nawrockiego to byłby Święty Graal dla Tuska, człowieka jak wiadomo mściwego i małostkowego.

eprasa.pl 8645d9a30d



Jednak to właśnie charyzma prezydenta wydaje się go chronić w największym stopniu. Nie wiadomo zresztą, jak ten scenariusz mógłby przyczynić się do utrzymania władzy przez reżim, gdyż jest niemal pewne, że uderzenie w popularnego Karola Nawrockiego raczej zmobilizowałoby masy do zdecydowanego sprzeciwu wobec obozu rządowego, więc ten wariant raczej należy wykluczyć.

WSPÓŁCZESNA TARGOWICA

Potężnym narzędziem może wydawać się złożenie rządowego zapotrzebowania na wydanie wielu orzeczeń „trybunalskich" w sprawach zgodności ustaw z naszą konstytucją i umowami międzynarodowymi. Mowa tu o wyrokach przewidzianych w art. 188 pkt 1–3 Konstytucji RP. Zgodnie z tymi przepisami Trybunał Konstytucyjny orzeka w sprawach zgodności ustaw i umów międzynarodowych z konstytucją, zgodności ustaw z ratyfikowanymi umowami międzynarodowymi, których ratyfikacja wymagała uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie, zgodności przepisów prawa, wydawanych przez centralne organy państwowe, z konstytucją, ratyfikowanymi umowami międzynarodowymi i ustawami.

Ponieważ z wnioskami w tych sprawach mogą do Trybunału występować m.in. marszałek Sejmu, marszałek Senatu, prezes Rady Ministrów, 50 posłów, 30 senatorów, prokurator generalny, rzecznik praw obywatelskich, złożenie zamówienia na wyrok jest banalnie proste. Jest więc bardzo prawdopodobne, że będziemy świadkami masowo produkowanych „orzeczeń", które będą podstawą faktycznego wyeliminowania z systemu prawnego norm niewygodnych dla obozu władzy. Przy okazji załatwi się sprawę pełnego podporządkowania Polski Unii Europejskiej. Od dawna twierdzę, że w XXI w. Polska może utracić niepodległość nie w wyniku działań zbrojnych, zaborów czy wojskowej okupacji, lecz na sali sądowej, a współczesną Targowicą okażą się środowiska prawnicze.

TRUDNOŚCI PRAKTYCZNE

Osobnym wariantem tego scenariusza może być rozprawa z sędziami powołanymi po 2018 r., co przełamało monopol kasty i doprowadziło do najpoważniejszego osłabienia zaszytego w ustroju państwa mechanizmu antydemokratycznej kontroli elit nad społeczeństwem. Jednak to rozwiązanie napotyka poważne trudności praktyczne. Trybunał Konstytucyjny może co prawda stwierdzać niekonstytucyjność prawa, jednakże sprowadza się to do usunięcia norm z systemu, bez możliwości tworzenia nowych przepisów, a tym bardziej powoływania sędziów, która to kompetencja należy do prezydenta. Marzeniem obozu Tuska i zblatowanego z nim towarzystwa spod znaku Iustitii jest oczywiście usunięcie wszystkich sędziów powołanych po zmianach ustawy o KRS w czasach rządów PiS, a przynajmniej rozprawienie się z Sądem Najwyższym, gdzie nowi sędziowie stanowią już zdecydowaną większość. Jednak operacja ta grozi nie tylko potężnym chaosem w i tak już niewydolnym wymiarze sprawiedliwości, lecz także rozbiciem coraz bardziej kruchej jedności środowiska sędziowskiego. Poza tym mimo wszystko trudno sobie wyobrazić operację usuwania siłą choćby kilkudziesięciu sędziów Sądu Najwyższego, gdyż jest dosyć prawdopodobne, że nie udałoby się znaleźć do jej przeprowadzania odpowiedniej liczby funkcjonariuszy reżimu, gotowych podjąć tak wielkie osobiste ryzyko. Niezależnie od tego także ten scenariusz nie przybliża Tuska do utrzymania władzy, a wręcz grozi jej osłabieniem.

Pozostaje ostatnia możliwość, czyli skręcenie wyborów. Tu pojawia się problem, gdyż ten proceder wymaga jednak pewnej subtelności. Wybory trzeba skręcić tak, aby ludzie się nie zorientowali lub przynajmniej nie uznali tego, choć to może wydawać się absurdalne, za naruszenie reguł demokracji. A najlepiej skręcić wybory tak, aby większość uznała, że w ten sposób demokrację się ratuje! Przydatna może więc okazać się możliwość delegalizacji partii politycznych. Zgodnie z art. 188 pkt 4 Konstytucji RP to Trybunał Konstytucyjny orzeka o zgodności z konstytucją celów lub działalności partii politycznych. Wniosek w tej sprawie może złożyć choćby prokurator generalny.

PRZEWAGA NA 51 PROC.

Precedens użycia sądu konstytucyjnego do wpływania na wynik wyborów istnieje. 6 grudnia 2024 r. rumuński Sąd Konstytucyjny podjął decyzję o nieuznaniu I tury wyborów prezydenckich z 24 li-

eprasa.pl 8645d9a30d



Obóz Donalda Tuska liczy na neutralizację Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna

FOT. TOMASZ BARAŃSKI/REPORTER

stopada 2024 r. oraz nakazał powtórzenie całego procesu wyborczego. Z wyścigu wyborczego wykluczono następnie zwycięzcę pierwszej tury Călina Georgescu, pod rzekomym pretekstem ingerencji rosyjskiej. I zadbano o to, aby cała sprawa przeszła bez większego echa.

Do tej pory w historii III RP zdelegalizowano tylko jedną partię – Komunistyczną Partię Polski w grudniu 2025 r. Wówczas legalny jeszcze Trybunał Konstytucyjny na wniosek prezydenta Karola Nawrockiego uznał, że partia ta odwołuje się do totalitarnych metod i praktyk działania komunizmu oraz zakłada stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy i wpływu na politykę państwa, co jest niezgodne z art. 13 Konstytucji RP.

Natomiast umorzeniem zakończyło się w 2010 r. postępowanie przed Trybunałem w sprawie Samoobrony, której zarzucano m.in., że narusza zasadę dobrowolności zrzeszania w partiach politycznych (chodziło o weksle). Ostatecznie Trybunał stwierdził, iż wnioskujący o wydanie orzeczenia marszałek Sejmu nie przedstawił zarzutów ani nie zgłosił dowodów, że partia Samoobrona RP swoją działalnością naruszyła art. 13 konstytucji.

Od delegalizacji partii przez Trybunał Konstytucyjny należy odróżnić wykreślenie z rejestru partii politycznych, o czym orzeka Sąd Okręgowy w Warszawie. W tym przypadku przyczyną najczęściej jest niezłożenie przez partię sprawozdania finansowego w terminie. Tyle tylko, że nigdy do tej pory nie wykorzystano tego narzędzia do bezpośredniego wpływania na wynik wyborów poprzez wykreślenie z rejestru partii mającej szanse na zdobycie mandatów w toku kampanii wyborczej.

Cele operacji reżimu muszą być więc dobrane tak, aby wpisywały się w obowiązujące już emocje i stereotypy, a także umożliwiały fasadowe wykorzystanie narzędzi przewidzianych przez prawo: stąd „faszyzm" i „rosyjskie zagrożenie". Najlepiej razem w połączeniu z osobistą odpowiedzialnością lidera partii za radykalne metody jej działania. W ten sposób nie da się wykluczyć z gry PiS czy Konfederacji, lecz partię Grzegorza Brauna jak najbardziej. Grunt jest wszak dobrze przygotowany także przez liczne procesy karne, które są przeciwko Braunowi uruchamiane w najróżniejszych absurdalnych sprawach.

Stawiam więc tezę, że pod osłoną rozmaitych awantur szykowana jest akcja polegająca na tym, że w 2027 r. w ostatniej chwili przed wyborami pseudo-Trybunał zdelegalizuje Konfederację Korony Polskiej, a Państwowa Komisja Wyborcza to uzna i nie zarejestruje lub wręcz usunie listę wyborczą tej partii. Na reakcję nie będzie czasu. Dziś jest jasne, że bez Brauna odsunąć Tuska od władzy się nie da. A Braun, co by o tym mówić, w sprawach zasadniczych zachowywał się zawsze jak trzeba. To dzięki jego poparciu prezydentem jest dziś Karol Nawrocki. W kampanii prezydenckiej skutecznie zneutralizował temat aborcji, wybijając go z agendy Rafała Trzaskowskiego, który po skandalu w Oleśnicy wolał nie być kojarzony z morderstwem dziewięciomiesięcznego dziecka. Braun i jego ludzie byli pod Trybunałem podobnie jak cała prawica. Ludzie Brauna może i robią czasem rzeczy dziwne, ale jest jasne, że jeżeli tylko będzie trzeba, to zagłosują przeciw Tuskowi, ba, będą najbardziej radykalni w żądaniach wyciągnięcia najsurowszych konsekwencji wobec upadłego reżimu.

Wydaje się, że obóz Donalda Tuska przez pewien czas pokładał nadzieję w secesji Mateusza Morawieckiego, ale Rozwój Plus jest formacją w fazie schyłkowej. Jest dosyć prawdopodobne, że dawny obóz Zjednoczonej Prawicy taktycznie się porozumie i tym samym głosy nie zostaną zmarnowane. Jedyna więc nadzieja w neutralizacji partii Brauna. Bo czy naprawdę większość ludzi w Polsce oburzy się, gdy uzurpatorzy z Alei Szucha zdelegalizują przed wyborami ugrupowanie „faszystów, ruskich onuc i antysemitów"?

Oczywiście niektórzy wyborcy Brauna zagłosują w takim wypadku na Konfederację Mentzena i Bosaka. Na PiS raczej nie. Ale tego rodzaju manewr nie ocali wszystkich potencjalnych głosów, które mogą zostać oddane na prawicę, gdyż część elektoratu pozostanie zdezorientowana czy zniechęcona w domach. I to wystarczy. Jak mówił Wielki Szu, przy dłuższej grze wystarczy przewaga na 51 proc. A w przyszłorocznych wyborach decydować będzie niewiele. Narzędzia są gotowe, a obóz PiS dał podstawy sądzić, że może mu to być na rękę. Bo przecież prezes Kaczyński wyraźnie powiedział, że z Braunem żadnych porozumień nie będzie. To mu Tusk pomoże i zdejmie problem z głowy. Chcąc nie chcąc, każdy polski patriota, który nie chce upadku Polski pod rządami Tuska, musi z troską przyglądać się losom Konfederacji Korony Polskiej. Niech nikt z jej konkurencji politycznej nawet nie pomyśli, że ten scenariusz może mu się opłacać.

A politykom Korony sugeruję szykować alternatywne i bezpieczne scenariusze, żeby w razie czego nie dać się wykolegować z wyborów.

Do tej pory w historii III RP zdelegalizowano tylko jedną partię: Komunistyczną Partię Polski w grudniu 2025 r.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Karać? Zapomnieć?

Co zrobić z policjantami spod Trybunału?



FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI/PAP



Michał Adam Szymański

Wydarzenia przy warszawskiej Alei Szucha przypomniały o jednym z najciekawszych problemów filozofii prawa – czy powinniśmy karać funkcjonariuszy za wykonywanie kontrowersyjnych rozkazów

30 października 2026 r. miały miejsce zdarzenia niemające precedensu w Europie – siłowe przejęcie Trybunału Konstytucyjnego przez „sędziów Donalda Tuska" (sam premier bezceremonialnie określił bowiem powoływanych ostatnimi czasy sędziów Trybunału mianem „naszych sędziów") odbyło się nie tylko w sposób kontrowersyjny z prawnego punktu widzenia (liczne autorytety prawnicze, zazwyczaj dalekie od popierania partii prawicowych, wyraziły swoje oburzenie „kreatywnymi" metodami stosowania prawa), lecz także przy masowym udziale funkcjonariuszy oddziałów prewencji policji (tzw. białych kasków).

Ich obecność wywołała skrajne emocje – nie ma co ukrywać, że obecności policjantów z tarczami i miotaczami gazu w siedzibie sądu konstytucyjnego nie widziano nawet w państwach Trzeciego Świata. Z racji tego, że duża część opinii publicznej traktuje zachowanie rządzących w kategorii zamachu stanu, to i policjantów uznano za – dobrowolnych bądź nie – uczestników puczu.

Gdy jednak opadły pierwsze emocje, okazało się, że istnieje spór co do tego, jak ocenić policjantów biorących udział w czynnościach pod Trybunałem. Część osób domaga się surowego rozliczenia policjantów za obecność przy Alei Szucha, inni podkreślają, że z policyjnych przecieków wynika, iż funkcjonariusze nie wiedzieli, że zostaną skierowani do służby przed TK. Policyjna Solidarność w piśmie skierowanym do Komendanta Głównego Policji wskazała, że wielu funkcjonariuszy wręcz obawia się, iż biorą udział w działaniach, które mogą być nielegalne.

Co więcej, kilka dni później, w Krakowie, obserwowaliśmy zresztą zupełnie inne wydarzenia – bestialski mord dokonywany na przypadkowych przechodniach przez zamachowca Michała Oksińskiego, obezwładnionego przez dwóch heroicznych policjantów, którzy narażając własne życie, powstrzymali mordercę przed kontynuacją rzezi. To z kolei przypomniało nam o tym, jak ważną rolę odgrywa ta formacja i jak niebezpieczną służbę pełnią mundurowi.

Jednak przy okazji najnowszej odsłony wojny o Trybunał Konstytucyjny odżyły nie tylko spory ustrojowe, lecz także znany filozofom prawa kłopot z tym, jak ocenić postawę ludzi wrzuconych, czasem wbrew ich woli, w samo centrum historii. Choć, o czym zaraz się przekonamy, prawnicze rozważania często dotyczą sytuacji nieporównywalnie bardziej skrajnych, takich jak realia wojenne czy praktyki reżimów totalitarnych, to dzięki nim możemy spróbować lepiej zrozumieć to, co wydarzyło się przy Alei Szucha, oraz ocenić postawę mundurowych.

TRUDNY LOS FUNKCJONARIUSZA

Na pierwszy rzut oka sprawa jest prosta – po drugiej wojnie światowej, kiedy to Niemcy tłumaczyli się, że „oni tylko wykonywali rozkazy", w prawie karnym zrezygnowano z idei „ślepych bagnetów", przewidującej, iż funkcjonariusze nie podlegają karze za to, że wykonywali polecenia przełożonych. Przyjęto zasadę „myślących bagnetów", która zakłada, że „wykonywanie rozkazów" nie zwalnia z odpowiedzialności karnej. Jednocześnie przepisy przewidują, że funkcjonariusz podejrzewający, iż jego działania

eprasa.pl 8645d9a30d

mogą być sprzeczne z prawem, powinien mieć możliwość zażądania wydania mu polecenia na piśmie, a nawet odmówienia wykonania, potencjalnie sprzecznego z prawem, rozkazu.

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana – Jerzy Zajadło w swej słynnej książce „Po co prawnikom filozofia prawa?" zauważa, że trudno „o przykład bardziej spektakularnego dylematu moralno-prawnego niż rozterki żołnierza rozdartego dwoma prawnymi imperatywami – z jednej strony obowiązkiem posłuszeństwa rozkazowi (jako zasadą), z drugiej strony obowiązkiem odmowy wykonania rozkazu o określonej treści i w określonych okolicznościach (jako wyjątkiem). Rzeczywiście, przypomina to przysłowiową sytuację jednostki znajdującej się pomiędzy mitycznymi Scyllą i Charybdą, ponieważ od prostego żołnierza, często działającego w dramatycznych warunkach bojowych, prawo oczekuje wykonania dosyć skomplikowanej operacji myślowej: czy popełniam przestępstwo wówczas, gdy rozkaz wykonam, czy też może wręcz przeciwnie – wówczas gdy odmówię jego wykonania?". Cytuje on brytyjskiego prawnika Alberta V. Diceya, że w realiach wojennych taki żołnierz (czy też funkcjonariusz) staje przed beznadziejnym wyborem: „rozstrzelania na podstawie wyroku sądu wojskowego za odmowę wykonania rozkazu albo powieszenia na podstawie wyroku sądu powszechnego za wykonanie rozkazu".

W innym miejscu Zajadło, opisując proces strzelców z muru berlińskiego, w celu ukazania tragizmu sytuacji, która spotykała mieszkańców Berlina, opisuje fotografie dokumentujące głośną śmierć Petera Fechtera. Postrzelony 17 sierpnia 1962 r. przez NRD-owskich funkcjonariuszy Niemiec umierał na oczach setek osób po tym, jak przedostał się przez pierwszą linię zasieków, ale nie zdążył sforsować drugiej, gdyż wcześniej został śmiertelnie zraniony przez jednego ze strzelców. Agonię udało się doskonale udokumentować, podobnie jak pograniczników, których zmuszono do przeniesienia zwłok. Jak wskazuje Zajadło, opisując zdjęcie dokumentujące tamtą scenę, na pierwszym planie znajduje się „enerdowski szeregowiec w charakterystycznym hełmie – w jego oczach utkwionych w niewidocznym przeciwniku maluje się niesamowite przerażenie", a fotografia ta ukazuje „okrucieństwo reżimu, tragedię śmierci niewinnego człowieka i dramat młodego żołnierza, który wciągnięty w tryby systemu stał się zarazem oprawcą i ofiarą".

Policjant w czasach pokoju nie staje przed aż tak dramatycznym wyborem, jednak nie sposób nie zauważyć, że podlega on presji ze strony przełożonych oraz kolegów, a także obawom o to, iż jego zachowanie poskutkuje negatywnymi konsekwencjami na stopie zawodowej. Zdecydowana większość funkcjonariuszy wstępuje do policji nie po to, by pałką bronić interesów polityków, ale po to, by chronić obywateli przed przestępcami. Można rzec – oni również często stają się ofiarami polityki.

ŁAGODNE WYROKI – SPRAWIEDLIWE?

Przedstawiona wyżej argumentacja ma oddźwięk w orzecznictwie – przykładowo w trakcie przywołanych już procesów strzelców z muru berlińskiego zapadały nadzwyczaj łagodne wyroki, gdyż na 80 skazanych aż 77 usłyszało wyroki w zawieszeniu.

Rodzi to wiele pytań. Po pierwsze: Czy nie dochodzi do swoistej fikcji doktryny „myślących bagnetów", skoro, finalnie, wyroki, które zapadają, są często nieproporcjonalnie niskie. Po drugie: Czy wymiar sprawiedliwości faktycznie wymierza odpowiedzialnym za takie czyny sprawiedliwą karę? Większość społeczeństwa, śledząc procesy służące chociażby rozliczeniu systemów totalitarnych (najlepszym przykładem są nadzwyczaj łagodne wyroki zapadające w sprawach dotyczących zbrodni komunistycznych), nie odczuwa satysfakcji z wymierzanych sprawcom kar.

Warto pamiętać, że często owi funkcjonariusze dokonują nieproporcjonalnie szkodliwych i godnych potępiania czynów w stosunku do tego, jakie grożą im konsekwencje – obserwacja przywoływanego już Brytyjczyka nie zawsze jest w pełni prawdziwa. W trakcie procesów strzelców z muru berlińskiego okazało się, że „karą" za odmowę strzelania do uciekinierów było… niekierowanie takich pograniczników do służby na tym odcinku.

Surowe wyroki znacznie częściej, choć też nie zawsze, zapadają w przypadku polityków odpowiedzialnych za nielegalne działania oraz dowódców, a znacznie rzadziej wobec żołnierzy i funkcjonariuszy – jest to logiczne, gdyż to właśnie osoby decyzyjne są głównymi architektami czynionego zła oraz jego głównymi beneficjentami.

SZANSA DLA OPOZYCJI?

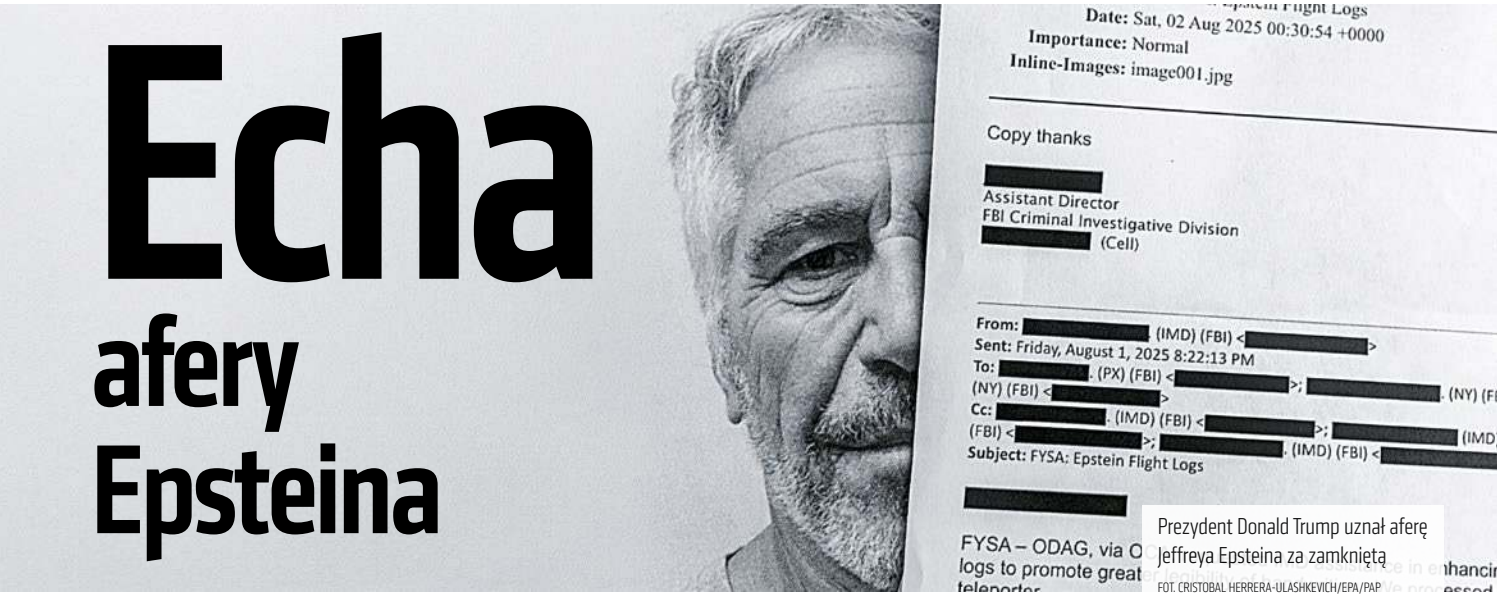
Sytuacja wokół TK powinna stać się przedmiotem wyjaśnień przez sejmową komisję śledczą oraz przedmiotem postępowań prokuratorskich. Żyjemy jednak dziś w czasach, w których żołnierze i funkcjonariusze powinni czuć sympatię obywateli – zwłaszcza jeśli chcemy zbudować państwo zdolne do obrony przed wieloma pojawiającymi się dziś zagrożeniami. Mowa tu zresztą nie tylko o zagrożeniach zewnętrznych – tragedia w Krakowie przypomniała nam o tym, że zagrożenie może mieć także charakter wewnętrzny, a także o tym, iż wielu policjantów to pasjonaci, którzy z narażeniem życia starają się chronić obywateli przed złem. Masowe karanie policjantów raczej pomogłoby osiągnąć odwrotny efekt, tj. wywołanie przekonania o tym, że służba państwu, kolokwialnie mówiąc, się „nie opłaca".

Patrząc na ostatnie wydarzenia z perspektywy politycznej, wskazać należy, że dla formacji opozycyjnych wobec rządzącej koalicji pojawiła się ogromna szansa, jaką mogłoby stać się przygotowanie ustawy amnestyjnej, która objęłaby funkcjonariuszy policji, którzy w trakcie pełnienia służby przy Alei Szucha w ostatnich dniach nie stosowali przemocy wobec demonstrantów, a którzy mogą obawiać się, iż w przyszłości stawiane będą im zarzuty za udział w zamachu na konstytucyjny organ, którym jest Trybunał. Byłby to symbol zrozumienia, że to Donald Tusk i jego ministrowie, wbrew woli funkcjonariuszy, cynicznie wykorzystują tę formację do swoich celów politycznych, natomiast opozycja, nie tylko w warstwie narracyjnej, staje „murem za polskim mundurem", a także podejmuje faktyczne działania w tym duchu, nawet rezygnując z rozliczeń za to, iż stojące kordony miały swym groźnym wyglądem wywoływać strach wśród protestujących sympatyzujących z prawicą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Echa afery Epsteina



Prezydent Donald Trump uznał aferę Jeffreya Epsteina za zamkniętą
FOT. CRISTOBAL HERRERA-ULASHKEVICH/EPA/PAP



Wojciech Golonka

Sprawa Epsteina z pewnością nie była decydującym powodem spektakularnej klęski republikanów w listopadowych wyborach połówkowych, lecz może okazać się brzemienna w skutkach dla relacji amerykańsko-izraelskich

Tę druzgocącą porażkę wyborczą skomentowali bez ogródek prezydent Donald Trump i wiceprezydent J.D. Vance, wskazując, że jej główną, oczywistą przyczyną było pójście Ameryki na wojnę z Iranem oraz jej zbyt bliskie stosunki z Izraelem, zasadniczo orientujące politykę zagraniczną Waszyngtonu na Tel Awiw. Jak powszechnie wiadomo, na skutek wojny ceny paliwa, w szczególności diesla, wystrzeliły w górę, stąd też wybory w połowie kadencji prezydenckiej de facto stanowiły referendum wobec bieżącej polityki Białego Domu. Amerykanie ewidentnie głosowali pod wpływem swej codziennej sytuacji ekonomicznej. Niemniej kwestia akt Epsteina pozostała dla tych wyborów pewnym tłem, ochoczo zresztą podkreślanym przez jądro republikańskiej opozycji wobec Trumpa w osobie kończącego swój urząd kongresmena Thomasa Massiego czy byłej już kongresmenki Marjorie Taylor Greene. Nie ma też wątpliwości, że pierwsze tąpnięcia poparcia wewnątrz ideowego elektoratu Trumpa wiążą się właśnie z tą sprawą, a smród tej nierozliczonej międzynarodowej siatki pedofilskiej, jednoczącej globalne elity w mrocznych powiązaniach i kompromatach służb wszelakich, wciąż ciągnie się za administracją Trumpa, przynajmniej ze strony co bardziej ideowych wyborców.

EPICENTRUM NIEZGODY

Przypomnijmy, że to właśnie obóz Trumpa – choć niekoniecznie on sam – grzał medialnie temat rozliczenia afery Epsteina w wyborach prezydenckich w 2024 r. W tym impecie, już miesiąc po przejęciu władzy, nowa administracja zorganizowała w Białym Domu spotkanie z kilkunastoma influencerami z ruchu MAGA, którzy zostali sfotografowani w aurze triumfu, trzymając w rękach przekazane im skoroszyty z logo Departamentu Sprawiedliwości z tytułem: „Akta Epsteina: Faza 1". W rzeczywistości był to początek kakofonii, która do czasu rozpoczęcia wojny z Iranem stanowiła epicentrum powiększającej się niezgody między prezydentem a jego najwierniejszym elektoratem spod znaku MAGA. Ówczesna prokurator generalna, Pam Bondi, przekazała bowiem tym popularnym w USA prawicowym publicystom materiały już częściowo znane, stąd pierwsze poczucie triumfu „w sprawie" bardzo szybko ustąpiło miejsca zdziwieniu, które stopniowo u wielu przerodziło się w rozgoryczenie wobec postawy prezydenckiego obozu, sprawiającej chwilami wręcz wrażenie matactwa.

Jak wiadomo, w sprawie Jeffreya Epsteina, który w 2019 r. odebrał sobie życie w więzieniu, oczekując na proces (przy czym wokół jego samobójstwa krążą bujne spekulacje, podważające nawet sam fakt jego śmierci), skazano jedynie – na 20 lat pozbawienia wolności – jego wspólniczkę i byłą życiową partnerkę, Ghislaine Maxwell. Na presję wokół akt Epsteina składało się zatem kilka wątków: po pierwsze, domagano się totalnej transparentności, podczas gdy zasadnicza część akt zebranych w rękach wymiaru sprawiedliwości pozostawała niejawna. W szczególności żądano ustalenia, kto był beneficjentem jego niecnego procederu handlowania ludźmi, w tym nieletnimi dziewczynami, na tle seksualnym. Z tym punktem łączy się drugi – kwestia rozliczeń, których oczekiwano zwłaszcza wobec śmietanki tego świata, gremialnie i z różnych zakątków globu pielgrzymującej na wyspę uciech Epsteina. Ta niczym dotychczas niepokojona przez wymiar sprawiedliwości elita bardzo łatwo i po części zasadnie stawała się w wyobraźni nietykalną bandą zwyrodnialców po cichu sterujących światem. Po trzecie, w końcu, a co w pewnym sensie jest najważniejsze: domagano się ustalenia, dla kogo, czyli dla których agencji wywiadu Epstein zbierał materiały kompromitujące swych klientów. Trudno bowiem

eprasa.pl 8645d9a30d

sądzić, że ten raczej prymitywny cwaniaczek z Wall Street, rejestrujący kamerami lubieżne spełnienia swych przyjaciół, których zachcianki sam wzbudzał i spełniał, działał z pobudek czysto hobbystycznie lub jedynie na własny rachunek. Ma się rozumieć, spełnienie tych złożonych roszczeń opinii publicznej, o ofiarach nie wspominając, oznaczałoby polityczną burzę atomową o zasięgu globalnym. Co oznacza, że administracja Trumpa wpakowała się w istną stajnię Augiasza, niezdolna, by ją oczyścić ani uciec od jej smrodu.

W tym kontekście łatwo zrozumieć przerzucanie się odpowiedzialnością wizerunkową za to między Departamentem Sprawiedliwości a Kongresem, który sam stał się placem boju w tym zakresie. A wszystko to przy narastającej frustracji opinii publicznej, stopniowo nabierającej przekonania, że skoro – wbrew obietnicom wyborczym – afera Epsteina jest wręcz „zamknięta", jak określił to sam Trump, to on sam musi być w nią zamieszany. Wspomnijmy tu chwilowy wybuch złości Elona Muska niedługo po opuszczeniu przez niego administracji prezydenckiej. Zaatakował Trumpa w głośnym wpisie na portalu X, sugerując, że nic w waszyngtońskim bagnie się nie zmieni, bo obecny prezydent USA był w sprawę Epsteina umoczony. Najbogatszy człowiek świata zapomniał przy tym dodać, że on sam w przeszłości korespondował z gospodarzem karaibskiej wyspy Little Saint James, pytając, kiedy odbywają się u niego „najgorętsze" imprezy, w których warto by uczestniczyć. (Zauważmy, że takie pytanie nie przesądza nawet o intencji dokonania przestępstwa – po prostu już na samej płaszczyźnie swych bardzo licznych kontaktów Epstein umoczył praktycznie wszystkich).

O ile wiadomo, Departament Sprawiedliwości nigdy nie zabezpieczył samej „listy Epsteina", zawierającej wykaz osób, którym żydowski miliarder zapewniał nielegalnie uciechy. Taką należałoby dopiero sporządzić, wszczynając dochodzenie na podstawie mniej lub bardziej wiarygodnych poszlak, burząc i tak już zmącony spokój możnych tego świata – bo przecież każdy z nich, jak dziś twierdzą, łaknął towarzystwa Epsteina z zupełnie innych niż przestępczych powodów, do końca nieświadomy jego obrzydłej działalności. Ma się rozumieć, do zestawienia takiego spisu Pam Bondi się nie kwapiła. Co więcej, czyż przed upublicznieniem obfitych akt sprawy Epsteina nie należało wcześniej ocenzurować wszystkich elementów mających związek z przeróżnymi amerykańskimi agencjami wywiadu, z ich modus operandi czy danymi agentów? Realizując ustawę Kongresu o transparentności tych akt, podpisaną pod koniec listopada 2025 r. przez prezydenta, Departament Sprawiedliwości miał w każdym razie argumenty, by z powodu „bezpieczeństwa narodowego" czy powodów pokrewnych nie zapewnić ich pełnej transparentności. Jak wskazywano na przykładzie różnych opublikowanych w ten sposób zredagowanych dokumentów, taka polityka w praktyce nie tyle chroniła ofiary czy bezpieczeństwo narodowe, ile zanonimizowała sprawców.

MIAŻDŻĄCA RETORYKA

W tych okolicznościach nietrudno było co bardziej zagorzałym zwolennikom pójścia na wojnę z establishmentem Epsteina uznać amerykańsko-izraelską wojnę z Iranem za próbę odwrócenia uwagi od katastrofy, którą dla administracji Trumpa miała oznaczać sprawa Epsteina. Przy czym już sama narcystyczna osobowość Trumpa, skłonnego bardziej słuchać buńczucznych obietnic Mosadu niż przestróg rodzimego wywiadu, wystarcza, by wytłumaczyć jego wciągnięcie w wojnę, niemniej Irańczycy doskonale wykorzystali ten wizerunkowy kryzys, dosadnie zmieniając nazwę amerykańskiej operacji z „Epickiej furii" na „Furię Epsteina", a koalicję wokół USA mianowali po prostu „koalicją Epsteina". Była to retoryka o tyle miażdżąca, że jeśli Epstein pracował dla służb pokroju Mosadu i CIA (co wydaje się najbardziej logicznym wytłumaczeniem całej jego historii, wieloletniej bezkarności czy postawy Departamentu Sprawiedliwości), to wpływ tychże służb na wszelaki establishment polityczno-medialny umoczony przez Epsteina musiałby, siłą rzeczy, być kolosalny.

Jest rzeczą bezsprzeczną, że ta sfera łatwych, a czasami zbyt łatwych domniemywań wytworzyła specyficzną atmosferę, która, jeśli nie wpłynęła bezpośrednio na wynik wyborów, to jednak go pośrednio warunkowała. Choćby poprzez stałe i w sumie nieodwołalne obciążenie wizerunkowe, które wygenerowała (sama Bondi została zresztą wymieniona w kwietniu na nowego prokuratora generalnego). Paradoksalnie jednak to, co dotychczas było dla demokratów pożądanym tlenem – tąpnięcia wewnątrz elektoratu MAGA wokół Epsteina – może stać się teraz dla nich zagrożeniem wraz z przejęciem odpowiedzialności za Kongres. Czy w ich interesie rzeczywiście leży drążenie sprawy Epsteina… który nienawidził Trumpa? W końcu – w przeciwieństwie do administracji Joe Bidena – obecny rząd USA i tak wykazał się pewną otwartością w upublicznianiu tych akt!

10 listopada republikańska większość Komisji Nadzoru Izby Reprezentantów opublikowała raport dokumentujący wieloletnie zaniedbania wymiaru sprawiedliwości i banków w sprawie Epsteina, wskazując na świadome ignorowanie sygnałów przez część jego otoczenia (w tym ze strony Billa Clintona), ale nie znajdując dowodów na udział Trumpa w jego przestępstwach.

Thomas Massie chciałby poddać pod głosowanie, jeszcze przed zakończeniem obecnej kadencji Kongresu, projekt drugiej ustawy o transparentności akt Epsteina, który wprowadził w lipcu we współpracy z demokratycznym kongresmenem Ro Khanną (obronił swój mandat). Projekt ten przewiduje możliwości pozywania prokuratora generalnego za opóźnienia lub niepełną realizację ustawy o transparentności oraz ma zapewnić ofiarom, prokuratorom stanowym i kongresmenom pełny dostęp do niezredagowanych akt Epsteina, wprowadzając też odpowiedzialność karną urzędników za próby mataczenia w tej kwestii. Prezydent oczywiście mógłby taką ustawę zawetować, ale trudno obecnie rozstrzygnąć, czy taka ustawa ma w ogóle szanse przejść przez obie Izby Reprezentantów zarówno w obecnej, jak i w nadchodzącej konfiguracji. Tym bardziej że większość w Kongresie utrzymuje cały czas blok polityków finansowanych przez AIPAC (Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych) – a przecież sprawa Epsteina może okazać się brzemienna w skutkach dla relacji amerykańsko-izraelskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d

Maryja Współodkupicielka? Głos kardynałów



FOT. ADOBE STOCK

Paweł Chmielewski

Czy Matka Boża jest Współodkupicielką? Nie – ogłosił Watykan ustami kard. Fernándeza. Tak – powiedzieli z kolei w Rzymie dwaj wybitni kardynałowie. Jak się w tym odnaleźć?

Mija rok od publikacji najbardziej wątpliwego dokumentu pontyfikatu Leona XIV. Nota „Mater Populi fidelis" to obszerny dokument Dykasterii Nauki Wiary z listopada 2025 r. Sygnował go kard. Victor Manuel Fernández, ale w tym wypadku zła sława tego purpurata i tak musiała ustąpić problemom, które przyniósł sam tekst. Fernández postawił sobie za cel wyjaśnienie wątpliwości, które funkcjonowały w maryjnej debacie teologicznej wokół dwóch tytułów maryjnych: „Współodkupicielka" oraz „Pośredniczka wszystkich łask". Ostrze swojej krytyki kardynał skierował głównie przeciwko pierwszemu z nich, zarzucając mu poważną nieadekwatność. W konkluzji ogłosił, że użycie tego tytułu jest „zawsze niewłaściwe".

GŁOSY OBURZENIA

Ta decyzja wywołała bardzo dużą krytykę. I chociaż rzadko się zdarza, żeby dokumenty watykańskie były negatywnie oceniane przez biskupów w Polsce, to tym razem zareagował abp Wacław Depo. Przy okazji jednego z wystąpień na Jasnej Górze wytknął Fernándezowi niezrozumienie pobożności maryjnej oraz nieznajomość nauczania Jana Pawła II. Głos arcybiskupa Częstochowy był na świecie tylko jednym z wielu głosów oburzenia na postępowanie argentyńskiego kardynała.

Nikt nie wie, jakie były tak właściwie cele, które kierowały Watykanem przy ogłaszaniu tej noty. Niektórzy wskazywali na szczerą chęć ukrócenia „nadmiernej" pobożności maryjnej. Ja sądzę, że chodziło raczej o ekumenizm. Na wstępie dokumentu Fernández wprost odwoływał się do wrażliwości protestantów, którzy, rzecz prosta, bardzo negatywnie przyjmują kult Matki Bożej jako Współodkupicielki albo Pośredniczki wszystkich łask. Tak czy inaczej, jeżeli Stolica Apostolska rzeczywiście chciała wykorzenić wspomniane tytuły z kościelnego użytku, to można mówić o swoistej klęsce. Nawet jeżeli w bardzo oficjalnym ususie nikt nie poważy się dziś na ich przywołanie, to po listopadzie 2025 r. określanie Maryi w sposób „zakazany" przez Fernándeza stało się nagle niezwykle popularne w środowiskach konserwatywnych. Co więcej, dokładnie na przekór Watykanowi autentycznie pogłębiono teologiczne rozumienie tych tytułów.

O MARYI NIGDY DOSYĆ

W ciągu ostatniego roku brałem udział w wielu katolickich wydarzeniach o profilu konserwatywnym albo tradycjonalistycznym. Nie zliczę, ile razy ich organizatorzy czy prelegenci zaczynali albo kończyli wystąpienia modlitwą do Maryi Współodkupicielki i Pośredniczki wszystkich łask. Przed dokumentem Fernándeza coś takiego w ogóle się nie zdarzało. Mówiąc szczerze, żaden z tych tytułów nie był w Polsce szczególnie popularny. Nawet jeżeli ktoś go używał, to należało to raczej do prywatnej pobożności – nie zwracało się na to uwagi. Od pu-

eprasa.pl 8645d9a30d

blikacji „Mater Populi fidelis" wezwanie Matki Bożej właśnie tymi tytułami jest traktowane jako akt słusznej opozycji wobec decyzji Watykanu, a ponadto – jako akt obrony czci Matki Bożej. Można śmiało powiedzieć, że przynajmniej w środowiskach konserwatywnych oba tytuły zostały szeroko rozpowszechnione właśnie przez Fernándeza. Środowiska liberalne to oczywiście zupełnie inna historia; tam „Współodkupicielka" wstępu nie ma, a decyzję Dykasterii Nauki Wiary przyjęto z wdzięcznością – nie dlatego, by istniał jakikolwiek palący problem teologiczny; może bardziej dlatego, że rozwścieczyła konserwatystów.

Na tym jednak nie koniec. Po ogłoszeniu „Mater Populi fidelis" w sieci zaroiło się od sążnistych tekstów teologicznych, które wykazywały pełną ortodoksję tych tytułów. Chciałbym tutaj zwrócić uwagę na dwa świeże przykłady. W obronie tytułu „Współodkupicielka" stanęli w ostatnich tygodniach kardynałowie Raymond Leo Burke oraz Gerhard Müller, przytaczając wiele poważnych argumentów teologicznych, które w ich przekonaniu zadają kłam tezom Fernándeza, a którym moim zdaniem rzeczywiście nie można odmówić siły przekonywania.

W dniach 7–8 października odbyła się w Rzymie międzynarodowa konferencja maryjna „De Maria numquam satis", czyli „O Maryi nigdy dosyć". To maksyma, którą przyjmowało wielu wielkich katolików o szczególnym nabożeństwie dla Matki Bożej, np. św. Ludwik Maria Grignion de Montfort, autor słynnego „Traktatu o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny".

Zwróćmy uwagę na powagę sytuacji: konferencja odbyła się w Rzymie i wzięli w niej udział kardynałowie Kościoła katolickiego; nie są to pierwsi lepsi kardynałowie – Burke był w przeszłości prefektem Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, czyli głównego sądu Stolicy Apostolskiej. Müller pełnił z kolei urząd prefekta Kongregacji Nauki Wiary – jest zatem poprzednikiem Fernándeza. Podczas gdy w 2025 r. Watykan ogłosił, że wspomniane tytuły są zawsze nieprawdziwe, dwaj prominentni kardynałowie ogłaszają rok później, nieopodal Watykanu, że stwierdzenie Watykanu jest całkowicie nieprawdziwe, a tytuły są dobre. Co więcej, dokładnie 7 października z inicjatywy Watykanu ruszyło też globalne spotkanie synodalne o dokumencie Franciszka z 2016 r., na które jednak Burke'a czy Müllera nie zaproszono – choć obaj zajmowali się tamtym dokumentem. Kościelny paralelizm światów w pigułce.

Co mówili prelegenci? Kardynał Burke podkreślił, że Matka Boża jest idealnym modelem współpracy człowieka z Bożym dziełem Odkupienia. Jak podkreślał, Maryja wzięła udział w tajemnicy Wcielenia Jezusa w sposób nieporównywalny z żadnym innym człowiekiem. Właśnie ze względu na swoją niepowtarzalną rolę jest słusznie nazywana Współodkupicielką. Chociaż tylko Chrystus jest Odkupicielem sensu stricto – mówił kardynał – to można mówić o odkupicielstwie w szerszym sensie. Burke zwrócił uwagę, że także my, zwykli wierni Kościoła, możemy być nazywani współodkupicielami – nie dosłownie, ale metaforycznie. Wszystko zależy od tego, jak bardzo jednoczymy się w życiu z Niepokalanym Sercem Maryi oraz Najświętszym Sercem Jezusa. Podkreślił, że w Ewangelii sam Jezus wzywa uczniów do naśladownictwa i niesienia razem z Nim krzyża.

Ta wspólnota życia z Jezusem pozwala nam nazywać się współpracownikami odkupienia, czyli współodkupicielami. Jeżeli dotyczy to każdego z wiernych, to tym bardziej można odnosić to określenie do Maryi ze względu na Jej macierzyńskie zjednoczenie ze Zbawicielem. Kardynał podkreślił też, że teologia współodkupicielstwa nie była obca Soborowi Watykańskiemu II. Chociaż zgromadzeni tam ojcowie nie sformułowali definicji dogmatycznej o współodkupicielstwie Maryi, to w istocie nauczali dokładnie tej prawdy.

Kardynał Müller z kolei rozpoczął przemówienie od zdefiniowania głęboko odmiennego rozumienia tego, czym są ludzka natura oraz łaska Boża u katolików i protestantów. Podkreślając tę odmienność, wskazywał na w istocie protestancką genezę odrzucenia tytułu Współodkupicielki, sugerując, że katolik myślący w poprawny teologicznie sposób powinien ten tytuł jak najbardziej zaakceptować. „Bóg nie wyklucza nas z dzieła odkupienia, ale nas w nie włącza, pozwalając, byśmy w tym dziele uczestniczyli i współpracowali" – powiedział. „To właśnie ta ludzka współpraca z Bogiem jest źródłem najwyższej godności, której Bóg może udzielić człowiekowi" – kontynuował. Następnie kardynał mówił o wyjątkowej decyzji Maryi. Matka Boża świadomie zgodziła się na to, by być posłuszną Bogu i przyjąć Chrystusa. Bóg nie zmusił Maryi do tej zgody, ale pozwolił, by zdecydowała o tym w ludzkiej wolności. „Bóg uczynił wypełnienie swojej zbawczej woli we Wcieleniu, Krzyżu i Zmartwychwstaniu swego Syna warunkiem dobrowolnej zgody jednej kobiety, powierzając jej dziewiczemu i macierzyńskiemu sercu zbawienie całej ludzkości" – stwierdził. Na koniec powiedział, że w tytule Współodkupicielki jest zawarta prawda objawiona przez Boga. Kościół nie używał tego tytułu przez długie wieki nie dlatego, by był nieprawdziwy, ale dlatego, że zawartość dogmatu mariologicznego jest niejako stopniowo odkrywana – wyjaśniał kardynał.

WYJĄTKOWA ROLA W DZIELE ODKUPIENIA CZŁOWIEKA

Przemówienia obu hierarchów nie są wyjątkiem; to element znacznie szerszej fali ponownego odkrywania wartościowych treści teologicznych zawartych w tytułach maryjnych, które odrzucił dokument Fernándeza. Nie sądzę, by obecna Kuria Rzymska zechciała potraktować je poważnie i odwołać własne decyzje. Nie wiem też, niestety, czy stanie się to kiedykolwiek w przyszłości. Ostatecznie rzecz biorąc, z perspektywy pewnego rodzaju pragmatyki aparatu administracyjnego Watykanu, oznaczałoby to przyznanie się do bardzo kompromitującej porażki, co obciążałoby wizerunkowo samą instytucję kurialną. Kościół katolicki nie myśli jednak w kategoriach lat, ale wieków. W tej perspektywie nota „Mater Populi fidelis" może być tylko jednym z etapów wypracowywania głębokiego rozumienia pojęć teologicznych. Nawet jeżeli trudno sobie dziś wyobrazić formalną dogmatyzację współodkupicielstwa Maryi, to w przyszłości tytuł może być szerzej używany. Kiedy opadnie kurz, a nazwisko kard. Fernándeza przejdzie do przeszłości, nikt nie będzie zwracać uwagi na dziwaczne zastrzeżenia jakiejś watykańskiej noty. Dla katolików najważniejsze pozostanie to, w co wierzą i w co wierzyli zawsze, to znaczy w wyjątkową rolę Matki Bożej w dziele odkupienia człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 8645d9a30d

„Smutni panowie” i olimpiada w Montrealu





Grzegorz Majchrzak

W okresie PRL przedmiotem zainteresowania aparatu bezpieczeństwa stał się także sport. Tak było szczególnie w przypadku najważniejszych imprez, przede wszystkim igrzysk olimpijskich

Casus letniej olimpiady w Montrealu (17 lipca–1 sierpnia 1976 r.) jest jednak o tyle szczególny, że zachowały się zarówno dokumenty Służby Bezpieczeństwa, jak i – co jest sytuacją wyjątkową – również Wojskowej Służby Wewnętrznej. Co z nich wynika?

Oczywiście przede wszystkim to, że członkowie polskiej ekipy olimpijskiej w Kanadzie znajdowali się nie tylko pod czujnym okiem jej kierownictwa, lecz także „smutnych panów” z SB i WSW. W przypadku cywilnej bezpieki była to trzyosobowa grupa funkcjonariuszy (stojący na jej czele Paweł Lewandowski z Departamentu I MSW, czyli wywiadu, a także Andrzej Kwiatkowski z Departamentu III oraz rezydent rezydentury wywiadu PRL /oficer operacyjny rezydentury w Ottawie „pod przykryciem” II sekretarza Ambasady PRL w Ottawie/ pseudonim Tylski, czyli Bronisław Kander), a w przypadku wojska oficer Oddziału I Zarządu I Szefostwa WSW Sławomir Komarnicki. Wszyscy oni byli doświadczonymi bezpieczniakami, najkrótszy (18-letni) staż miał Komarnicki.

LISTA ZAGROŻEŃ

„Smutnych panów” nie interesował przebieg sportowych zmagań, ich zadaniem była walka z zagrożeniami, zarówno tymi prawdziwymi, jak i tymi potencjalnymi. Przy czym, żeby było jasne – zapewnienie (w kontekście choćby wydarzeń sprzed czterech lat, w trakcie olimpiady w Monachium) bezpieczeństwa członkom polskiej ekipy nie było ich priorytetem. Ich zadaniem było zwalczanie innych potencjalnych zagrożeń. Początkowo zaliczono do nich „wrogie kręgi Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej”, a także „służby specjalne przeciwnika”. Później tę listę znacznie rozszerzono. Na pierwszym miejscu umieszczono na niej „starannie dobierany” przez władze kanadyjskie personel do obsługi polskiej ekipy olimpijskiej, na drugim 16 dziennikarzy Radia Wolna Europa, którzy mieli otrzymać akredytację na igrzyska, na trzecim Komitet Przyjęcia Polskich Olimpijczyków, a na czwartym „ekstremistyczną” organizację Free Poland, działającą na terenie Stanów Zjednoczonych. Na wspomnianej liście znaleźli się również działacze sportowi „podejrzani o wrogą działalność wobec Polski” (Tomasz Lempart, Julian Neuding,

eprasa.pl 8645d9a30d



Złoci medaliści olimpijscy w siatkówce, niezapomniana drużyna trenera Huberta Wagnera FOT. ZBIGNIEW MATUSZEWSKI/PAP

Konrad Gruda) oraz przedstawiciele paryskiej „Kultury" i „reakcyjnego kleru", który miał domagać się rozbicia w wiosce olimpijskiej namiotu stanowiącego „rodzaj kaplicy dla polskiej ekipy". Co ciekawe i symptomatyczne, dopiero na ostatnim, siódmym miejscu umieszczono służby wywiadowcze NATO.

Podczas igrzysk „smutni panowie" ze Służby Bezpieczeństwa mieli korzystać ze swojej agentury. Na początku czerwca 1976 r. w gronie ponad 420 przewidywanych członków polskiej ekipy miało się znaleźć 58 tajnych współpracowników, z czego 20 pozostawało w „łączności stałej". Wśród zawodników, trenerów i sędziów było ich 20, w gronie dziennikarzy – ośmiu, pracowników radia i telewizji – kolejnych ośmiu, pośród członków kierownictwa i pionu organizacyjnego ekipy – 12, a wśród przedstawicieli Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – czterech. Tak na marginesie, do osobowych źródeł informacji zaliczono ponadto sześciu zawodników – funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Nie uczyniono tak natomiast w przypadku 15 zawodników będących formalnie żołnierzami i oficerami Wojska Polskiego, których „obsługa" miała zostać „wyjaśniona" z Wojskową Służbą Wewnętrzną. Tajni współpracownicy mieli nie tylko informować o wydarzeniach nadzwyczajnych, lecz także: „podtrzymywać i pogłębiać znajomości z osobami z wrogich […] ośrodków", nawiązywać „trwałe kontakty z ustalonymi figurantami wrogich ośrodków" w celu ich rozpracowania, ustalać plany i zamierzenia „dywersyjnych działań" wobec ekip olimpijskich krajów socjalistycznych i polskich turystów, ujawniać ewentualne kontakty członków polskiej ekipy olimpijskiej i turystów z kraju z „osobami powiązanymi z ośrodkami dywersji i służbami specjalnymi" w celu określenia charakteru tych kontaktów, a ponadto realizować inne, doraźne zadania „wynikające z sytuacji operacyjnej w Montrealu, zlecane przez szefa ekipy".

KWATERUNEK W KONSULACIE

Jak raportowali post factum funkcjonariusze SB, przyszło im działać „w wyjątkowo ciężkich warunkach" stworzonych przez gospodarzy igrzysk. Mieli – jak sami oceniali – przeciwko sobie 35 tys. osób z kanadyjskich „sił porządkowych" (rzekomo „kierowanych na wszystkich szczeblach" przez oficerów wywiadu i kontrwywiadu), „znaczną ilość" oficerów wywiadu amerykańskiego i innych państw członkowskich NATO, wszystkie osoby zatrudnione w wiosce olimpijskiej i personel hoteli. Notabene, cywile mieli być wyczuleni do tego stopnia, że sygnalizowali oficerom kanadyjskiego kontrwywiadu „nawet błahe pytania" ze strony „przedstawicieli k[rajów] s[ocjalistycznych]". Mało tego esbecy odnotowali również „działania prowokacyjne przeciwnika". Takim przypadkiem było np. podrzucenie koperty „z oficjalnym nadrukiem MON Kanady" do pokoju zajmowanego m.in. przez Kwiatkowskiego. Znajdowały się w niej dokumenty dotyczące zasad zabezpieczenia wioski olimpijskiej przez wojsko i policję, „z uwzględnieniem miejsc zgrupowań, haseł i numerów telefonów". Uznano, że materiały te „nie przedstawiają wartości dla zabezpieczenia ekipy polskiej", a ponadto mogą zawierać spreparowane dane i dosłownie w 10 minut po ich znalezieniu zostały zwrócone kanadyjskiej policji, która notabene nie wykazała tą sprawą praktycznie żadnego zainteresowania.

Drugą rzekomą prowokacją miało być zatrzymanie wieczorem na ulicy – pod zarzutem ekshibicjonizmu – Janusza Kubasiewicza, zastępcy kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego PZPR, a w trakcie igrzysk członka kierownictwa polskiej ekipy olimpijskiej, odpowiedzialnego za program pozasportowy. Co prawda nie został on aresztowany i nie postawiono mu zarzutów, ale zażądano jego „natychmiastowego wyjazdu" z Kanady „pod groźbą publicznego procesu", a do chwili opuszczenia Kraju Klonowego Liścia nie miał on prawa do opuszczania polskiego konsulatu.

BRATERSKIE WIĘZI

Jakie były efekty działań „smutnych panów" z SB i WSW i ich agentury? Przede wszystkim odnotowanie wielu zdarzeń niepożądanych oraz podjęcie stosownych przeciwdziałań. Dzięki jednemu z tajnych współpracowników przerwano np. rozmowę dziennikarza Agence France-Presse, który „usiłował prowadzić antyrosyjską agitację polityczną" z grupą polskich wioślarek. Ponadto ustalono personalia kobiety (Reginy Gabrysz) sondującej w Centrum Międzynarodowym jednego z naszych reprezentantów w strzelectwie (Józefa Zapędzkiego, zawodnika Śląska Wrocław, a formalnie ppłk. Wojska Polskiego) w kwestii jego poglądów politycznych, proponującej mu pozostanie na stałe w Kanadzie oraz wypytującej go o przedstawicieli wywiadu w polskiej ekipie. Z kolei po uzyskaniu informacji o spotkaniu trenera wioślarzy Kazimierza Naskręckiego z innym trenerem wioślarstwa Kwiecińskim, który odmówił powrotu do kraju podczas jednego z wyjazdów zagranicznych, „zainspirowano" kierownictwo ekipy do przeprowadzenia rozmowy z tym pierwszym. Co prawda stwierdził on, że „w utrzymywaniu związku z uciekinierem nie widzi nic złego", ale obiecał jednak ten „kontakt zerwać". Nie pomogło mu to jednak – trzy dni po tym, jak funkcjonariusze dowiedzieli się o wspomnianym spotkaniu, Naskręcki wracał już do kraju

eprasa.pl 8645d9a30d

pierwszym samolotem wiozącym z powrotem do Polski naszych olimpijczyków. Służba Bezpieczeństwa „zabezpieczyła" również przez swoją agenturę spotkanie piłkarza ręcznego Jerzego Klempela (zawodnika Śląska Wrocław, starszego sierżanta WP) z jego bratem Januszem, który cztery lata wcześniej podczas igrzysk w Monachium uciekł na Zachód i mieszkał w Stanach Zjednoczonych. W efekcie udało się ustalić, że miało ono czysto rodzinny charakter. Tak na marginesie Jerzy miał spotkać się ze swoim bratem na polecenie Wojskowej Służby Wewnętrznej…

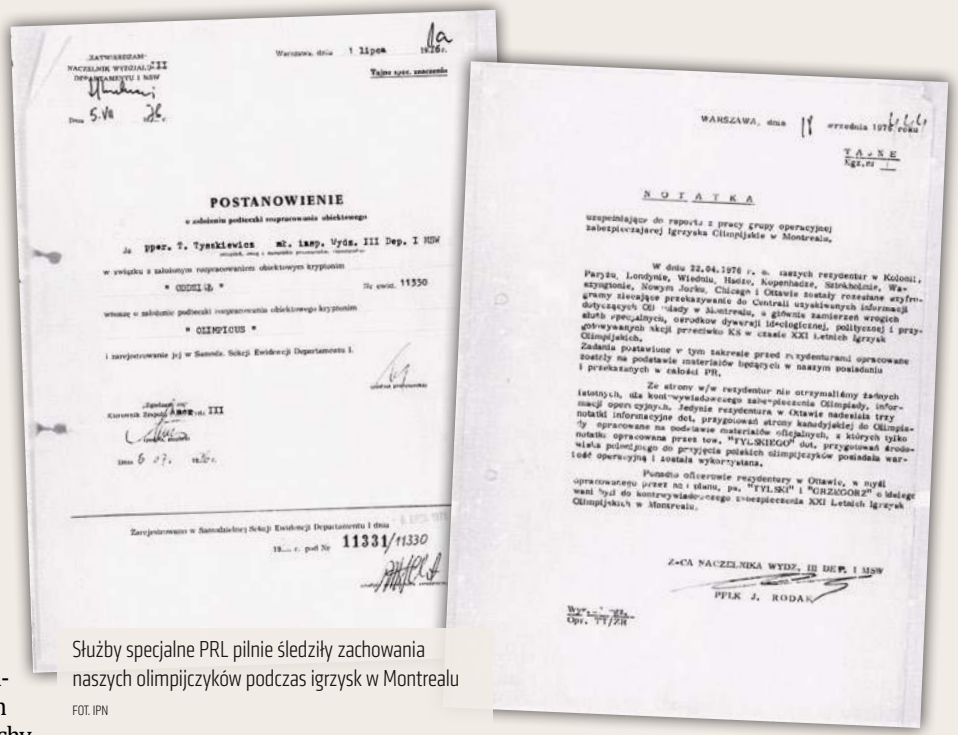
„Dzielni" funkcjonariusze ustalili również „ewidentnych współpracowników" kanadyjskiej policji wśród osób przydzielonych naszej ekipie oraz wyszukiwali zainstalowane w pomieszczeniach przeznaczonych dla naszej ekipy podsłuchy – udało się im wykryć dwa urządzenia do tego służące. Analizowali oni także postawę Polonii kanadyjskiej. W związku z igrzyskami odnotowali „wyraźną polaryzację polityczną poszczególnych grup polonijnych wobec kraju". Zarejestrowali też „dziesiątki telefonów" do wioski olimpijskiej z żądaniem zorganizowania spotkań z naszymi reprezentantami. Jak się zresztą chwalili, najprawdopodobniej zdecydowanie na wyrost: „Na naszych oczach i pod naszym działaniem łamały się dotychczasowe zależności organizacyjne, podporządkowania i inne typowe dla Polonii zachowania się". Ich zdaniem u zdecydowanej większości Polaków „odezwał się duch narodowy, mający swój wyraz w spontanicznym witaniu ekipy, gościnności i dominowaniu na stadionach z barwami narodowymi". To wydaje się jak najbardziej zrozumiałe. Tym bardziej że – co warto przypomnieć – igrzyska olimpijskie w Montrealu były dla polskich sportowców wyjątkowo udane, gdyż wywalczyli rekordową liczbę 26 medali (siedem złotych, sześć srebrnych i 13 brązowych). Więcej (32, ale jedynie trzy złote) udało im się zdobyć tylko w 1980 r., kiedy olimpiadę w Moskwie zbojkotowały państwa zachodnie i w zmaganiach olimpijskich nie brało udziału wielu najlepszych sportowców.

SZCZĘŚLIWY DRES

Mimo tych sukcesów część polskich sportowców znalazła się – z różnych powodów – „na celowniku" czujnych „smutnych panów", a w niektórych przypadkach konsekwencje tego zainteresowania były poważne. Tak było np. w przypadku opuszczenia, bez zgody kierownictwa polskiej ekipy, wioski olimpijskiej przez wioślarkę Ewę Ambroziak w nocy z 26 na 27 lipca. Odnalazł ją na stadionie w Toronto, podczas meczu piłki nożnej Polska – Brazylia, Andrzej Kwiatkowski. Jak się później okazało, wyjechała ona w czteroosobowej grupie polskich wioślarzy do miejscowości Niagara Falls, zapewne po to, aby obejrzeć słynny wodospad Niagara. Mimo że Ambroziak wykonała polecenia esbeka i natychmiast skontaktowała się (telefonicznie) z kierownictwem polskiej ekipy olimpijskiej oraz powróciła do Montrealu, po przyjeździe do kraju miały zostać wyciągnięte wobec niej konsekwencje – usunięcie z kadry.

Podobnego wykroczenia dopuścił się również bokser warszawskiej Legii Andrzej Biegalski, wobec którego postawy kierownictwo ekipy olimpijskiej już wcześniej miało zresztą zgłaszać zastrzeżenia. Co ciekawe, mimo że miał on składać „wykrętne wyjaśnienia, nie chcąc ujawnić miejsca pobytu" (twierdził, że przebywał u znajomych rodziny, których nazwiska i adresu rzekomo nie znał), to brak informacji, aby wobec niego zamierzano wyciągać jakiekolwiek konsekwencje. I to pomimo tego, że był zawodnikiem Legii Warszawa, czyli klubu wojskowego. Można się jedynie domyślać, że w jego przypadku zdecydowało to, że – w przeciwieństwie do Ewy Ambroziak – był mistrzem Europy i dawał większe nadzieje na kolejne sukcesy… Funkcjonariusze odnotowali również „fakty opilstwa" podczas wycieczki ekipy ciężarowców do Niagara Falls oraz wulgarnych zachowań w stosunku do opiekującego się grupą dr. Michała Firsowicza. W tym czasie kierownik drużyny, trener Klemens Rogulski, miał jechać oddzielnie samochodem osobowym (z przedstawicielami Polonii kanadyjskiej) i nie interesować się postawą podległych mu zawodników.

Inne niepokojące wydarzenie związane z naszymi sztangistami, odnotowane przez „smutnych panów", dotyczyło brązowego medalisty olimpijskiego w Montrealu Tadeusza Rutkowskiego. Otrzymał pozwolenie na odwiedzenie rodziny zamieszkałej w Toronto i powrócił dosłownie „na pięć minut przed odjazdem autokarów na lotnisko", co wzbudziło oczywiście nerwowość kierownictwa polskiej ekipy. Również w przypadku innego medalisty – tym razem złotego – pięcioboisty Janusza Peciaka doszło do niepożądanego incydentu. Sportowiec, „znajdując się pod wpływem alkoholu", nie chciał opuścić sali Balu Polonijnego, gdyż zamierzał tam zostać dłużej i bawić się „z przygodnie poznaną kobietą, która miała go odwieźć później do wioski". Ostatecznie jednak, „po ostrej rozmowie", zgodził się opuścić salę, ale już



POSTANOWIENIE

WARSZAWA, dnia 18 września 1976 roku

NOTATKA

Służby specjalne PRL pilnie śledziły zachowania naszych olimpijczyków podczas igrzysk w Montrealu

FOT. IPN

eprasa.pl 8645d9a30d

na zewnątrz przez ok. 10 minut spierał się z szefem misji olimpijskiej – kierownikiem polskiej reprezentacji Marianem Renkem. W efekcie, mimo że jako mistrz olimpijski miał w nagrodę zostać w Kanadzie dłużej, postanowiono go odesłać do kraju wraz z pierwszą grupą sportowców wracających z igrzysk.

Władzom podpadła też złota medalistka w lekkoatletyce (w biegu na 400 metrów) Irena Szewińska, która podczas ceremonii medalowej nie była ubrana w dres z napisem „Polska". Jak się tłumaczyła podczas rozmowy wyjaśniającej z prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego Bolesławem Kapitanem, „dres, w którym wyszła do dekoracji przynosił jej szczęście – złote medale i to było motywem jej działania". Tym razem jednak na reprymendzie słownej się skończyło. Tak na marginesie interesowano się nie tylko polskimi sportowcami biorącymi udział w zmaganiach olimpijskich, lecz także tymi, którzy przed laty uciekli z kraju. Tak było np. w przypadku Andrzeja Jery (pływaka warszawskiej Legii, który w 1963 r. pozostał nielegalnie w Republice Federalnej Niemiec) czy Stanisława Kowalskiego (byłego zawodnika Pogoni Szczecin). W ich przypadku ustalano ich, niekiedy barwne, losy po opuszczeniu PRL – Jera miał „dokonać nadużyć finansowych" w RFN, po czym zbiec do Argentyny, gdzie ponoć należał do „gangu handlującego narkotykami", a „gdy zaczął ponownie mieć kłopoty z policją", wyjechał do Kanady. Tam otrzymał obywatelstwo kanadyjskie, a w czasie igrzysk olimpijskich w Montrealu pełnił rolę tłumacza przy ekipie radzieckiej.

KILOGRAM ZŁOTA

Dzięki „smutnym panom" wiemy też, jak potraktowano powracających z Kanady polskich olimpijczyków, W przypadku części z nich odprawę celną ograniczono (decyzją I zastępcy Głównego Urzędu Ceł) do dewizowej. W jej trakcie stwierdzono, że „wiele spośród odprawionych osób przywiozło znaczne sumy dewiz". Rekordzistą w tym przypadku był znakomity tyczkarz Władysław Kozakiewicz, który do kraju wracał z 2 tys. dol. Sporą sumę miała też przy sobie jego koleżanka z lekkoatletycznej bieżni Szewińska (1 tys. dol.), kajakarz Jerzy Opara (1,3 tys. dol.), siatkarz Włodzimierz Stefański (1250 dol.) czy wioślarz Włodzimierz Chmielewski (1,2 tys. dol.).

Z kolei polscy piłkarze wracający z tych samych zawodów przywieźli do kraju ponad kilogram złota. W tym przypadku niekwestionowanym rekordzistą był zawodnik Stali Mielec Grzegorz Lato (240 gramów). Był on również tym piłkarzem, który przywiózł do Polski zdecydowanie najwięcej dewiz (2 tys. dol.). Inni piłkarze byli przy nim „ubogimi krewnymi" – np. jego klubowy kolega Andrzej Szarmach (300 dol.) czy zawodnik Górnika Zabrze Jerzy Gorgoń (305 dol.). Dziś te sumy nie robią większego wrażenia, ale wówczas były prawdziwą fortuną. Nikt jednak nie dociekał, w jaki sposób weszli oni w ich posiadanie. Warto dodać, że futbolistów najprawdopodobniej poddano kontroli celnej, gdyż funkcjonariusze SB dysponowali informacją, że sekretarz generalny PZPN Piotr Śniadowski „zamierza przemycić do kraju w bagażu piłkarzy pewną ilość złotych sztabek oraz biżuterii".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

REKLAMA



eprasa.pl 8645d9a30d



KOMUCHOŻERCA

Złodzieje z UB

LESZEK ŻEBROWSKI

Pisząc i mówiąc o funkcjonariuszach urzędów bezpieczeństwa, mamy na myśli przede wszystkim popełniane przez nich zbrodnie po 1944 r. I słusznie. Ale była również sfera towarzysząca ich okrutnym wyczynom: bezprzykładny rabunek mienia Polaków. Dokonywany był na różnych poziomach, zależnie od rangi oprawców. „Zwyczajni" ubecy, operujący w terenie, brali dosłownie wszystko. Wprawdzie szukali wszelkich precjozów (złotych obrączek, krzyżyków, medalików, łańcuszków, kolczyków), ale tego było za mało, aby dzielić łupy. Brali więc wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Głównym źródłem „dochodu" szeregowych bandziorów były zatem ubrania, w tym dziewczęce i dziecięce, jako najbardziej chodliwe na bazarach, gdzie upłynniali pokątnie towar. Nie stronili jednak od innych dóbr, które można było szybko spieniężyć. Nie gardzili nawet złotymi zębami wybijanymi ze szczęk ofiar, co stawiało ich w rzędzie hien cmentarnych!

Ich dowódcy, kadra oficerska, była zainteresowana przede wszystkim przedmiotami złotymi, które starali się przejąć z rąk swych podkomendnych, na ogół skutecznie. Jest rzeczą oczywistą, że jedni i drudzy nie bardzo mieli ochotę dzielić się swymi zdobyczami ze zleceniodawcami. A ci, po zwycięskim powrocie grup operacyjnych do powiatowych i wojewódzkich urzędów, byli w miarę starannie sprawdzani, co mają pochowane w zakamarkach mundurów, a nawet w kalesonach. Za ukrywanie większych, bardziej wartościowych zdobyczy byli regulaminowo karani. Po pierwsze, konfiskatą całości łupów, po drugie, stosowano kary służbowe, na ogół były to przymusowe „areszty domowe". W istocie były to swoiste nagrody, bo choć zmniejszano im pensje, nie musieli stawiać się w pracy i brać udziału „w czynnościach". Było to zatem coś w rodzaju dodatkowego urlopu, czyli de facto nagroda!

Natomiast najwyższa hierarchia szukała całkiem innych dochodów. Były to konfiskaty na wielką skalę, dokonywane podczas przeszukań i aresztowań bardziej majętnych obywateli: ziemian, przemysłowców, kupców, a także działaczy podziemia antykomunistycznego, którzy dysponowali funduszami organizacyjnymi. Łup wpadał w ręce ubeckiej hierarchii, która sama siebie za to przecież nie karała.

Oto przypadek depozytu zajętego podczas rewizji u aresztowanej Julii Przybyszewskiej, która przechowywała konspiracyjne fundusze Stronnictwa Narodowego i powojennej Delegatury Rządu. Była to „większa ilość złota w monetach" oraz waluty obce. Co się z nimi stało? Wiadomo co. Hierarchia ubecka uwłaszczyła się, a śledztwo w tej sprawie umorzono. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Debiut FSO Warszawa

SŁAWOMIR KOPER

Pomimo zależności politycznej i gospodarczej od Sowietów nikt przy zdrowych zmysłach w Polsce nie myślał o kopiowaniu tamtejszych rozwiązań motoryzacyjnych. Nawet najbardziej ortodoksyjni komuniści nad Wisłą zdawali sobie bowiem sprawę z tego, że przemysł samochodowy w ZSRS opierał się na licencjach i kopiach pojazdów zachodnich, a do tego wyjątkowo nieudolnie produkowanych.

Motoryzacja PRL była jednak zależna od polityki i Sowieci zażądali zerwania podpisanej już umowy z włoskim Fiatem, oferując w zamian bezpłatną licencję samochodu Pobieda. Pojazd ze wschodu nie budził entuzjazmu wśród polskich decydentów. Wprawdzie w teorii była to całkowicie nowa konstrukcja pochodząca z 1946 r., ale w rzeczywistości auto powstało w wyniku skopiowania wielu rozwiązań zachodnich. Problemem była jednak jakość wykonania samochodów. W pierwszym roku w zakładach w Gorkim powstały zaledwie 23 pojazdy, które w większości powróciły do napraw i poprawek. Nic zatem dziwnego, że produkcję na pewien czas wstrzymano.

Polscy decydenci przyjęli jednak dyktat Stalina, a na domiar złego niebawem okazało się, że Polska będzie musiała solidnie zapłacić za możliwość produkcji Pobiedy. Dokumentacja techniczna kosztowała bowiem 130 mln zł, a oprzyrządowanie maszyn kolejne 250 mln. Była to równowartość 95 mln ówczesnych dol., czyli według obecnej wartości amerykańskiej waluty aż 1,24 mld.

Samochód miano wytwarzać w fabryce na stołecznym Żeraniu, którą wzniesiono w systemie trzyzmianowym w prawdziwie warszawskim tempie. Dzięki temu powstała zaledwie w trzy lata, a pierwszy pojazd opuścił ją już 6 listopada 1951 r. (dzień przed rocznicą wybuchu rewolucji październikowej – nie była to przypadkowa zbieżność). Oczywiście został zmontowany z części dostarczonych z ZSRS, ale dyrektor zakładu mógł zameldować władzom, że „Żerań gotów do pracy!".

Niewykluczone, że pierwsze egzemplarze zmontowano jeszcze w zakładach w Gorkim, gdyż budowa fabryki w połączeniu z produkcją była karkołomnym zadaniem. Dla komunistycznej propagandy nie było jednak spraw niemożliwych, chociaż nawet ideologia i zapał nie potrafiły rozwiązać wszystkich problemów. Do końca roku zmontowano zaledwie 75 pojazdów. Wprawdzie w następnym roku było już lepiej, gdyż z taśm produkcyjnych zjechało 1,6 tys. egzemplarzy, ale nigdy nie udało się osiągnąć zamierzonego poziomu produkcji (25 tys. sztuk rocznie). Sukcesem można nazwać to, że już cztery lata po jej rozpoczęciu model wytwarzano wyłącznie z części powstałych w kraju. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



LWOWSKA EPOPEJA

„SEMPER FIDELIS" W OGIEŃ ZA POLSKĄ „To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tworzących się władz centralnych" – mówi prof. Damian Karol Markowski, autor książki „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918"

SERCE GALICJI, OSTOJA POLSKOŚCI Status autonomiczny Galicji, z Lwowem jako jej sercem, odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów – pisze Tomasz Stańczyk

ŻĄDZA MAGELLANA „Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11 – mówi Roger Crowley, brytyjski pisarz, autor książki „Walka o przyprawy"

MISJA NIEMIECKIEJ KRÓLOWEJ POLSKI Przez całe wieki nasza historiografia wyrażała się o Rychezie niepochlebnie, przypisując jej zdradę. Jednak w końcu nasi historycy zaczęli patrzeć na nią bardziej łaskawym okiem – pisze Leszek Lubicki

ZAGINIONA WARSZAWA PRUSA Pisarz walczył o poprawę życia mieszkańców miasta, w którym umieścił akcję „Lalki" – pochylał się nad losem biednych dzieci i wspierał inicjatywy dobroczynne – podkreśla Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8645d9a30d

Czy Merz dotrwa do marca?



FOT. NADJA WOHLLEBEN/REUTERS/FORUM

Według barometru politycznego stacji telewizyjnej ZDF ok. dwóch trzecich ankietowanych spodziewa się przedterminowego zakończenia kadencji kanclerza Friedricha Merza w fotelu szefa rządu Niemiec. Oceny, wystawiane politykowi CDU, są żałosne. 79 proc. Niemców ocenia jego działania jako niedostateczne – nowy rekordowo niski poziom. Tylko 17 proc. ocenia je pozytywnie. Koalicja CDU/CSU-SPD jako całość również notuje spadek: 74 proc. jest niezadowolonych, a tylko 20 proc. nadal wyraża aprobatę. Nigdy wcześniej w tej kadencji notowania partii kanclerskiej nie były tak niskie.



Jan Bogatko z Berlina

Merz to kanclerz Niemiec, a März (wymowa niemal taka sama) to marzec. A marzec mamy za cztery miesiące. Czy w marcu Friedrich Merz będzie nadal stał na czele rządu w Berlinie? Jeśli wierzyć badaniom preferencji wyborczych w Niemczech, to nie. Wprawdzie sondaż to nie prognoza, lecz daje sporo do myślenia

Ostatni wrześniowy sondaż pokazuje: CDU/CSU nadal traci poparcie na rzecz AfD. Forsowana z maniackim uporem przez lewicowy front jedności narodu zapora ogniowa (Firewall) skończyła się fiaskiem. Zamiast wyhamować wzrost poparcia dla znienawidzonej przez establishment Alternatywy dla Niemiec, przyśpieszyła go. Nie pomogły apele, na nic zdały się żądania delegalizacji naj-

eprasa.pl 8645d9a30d

większej partii politycznej w Niemczech, którą jest konserwatywna AfD. Wręcz odwrotnie – wywołały one falę poparcia dla Alice Weidel i Tina Chrupalli – liderów nowej prawicy.

BRAK ZAUFANIA DO RZĄDU

Dlaczego rząd, a szczególnie kanclerz Merz, traci poparcie? Na Merza i jego CDU Niemcy głosowali jako na przeciwnika rządzącej lewicowej koalicji z SPD na czele. SPD dostała w ubiegłorocznych wyborach do Bundestagu potężnie po łapach. Socjaliści, którzy zwracają się do siebie nadal „towarzyszu", stracili w ich wyniku aż 86 mandatów. To po prostu klęska. A co robi Friedrich Merz, którego CDU zyskała dodatkowo ledwie 12 mandatów? Wyciąga pomocną dłoń do towarzyszy i odwołanym przez Niemców politykom proponuje… udział w nowej koalicji rządzącej w Berlinie! Wywołało to szeroką dyskusję, zwłaszcza że Alternatywa dla Niemiec biła na głowę towarzyszy z SPD, osiągając 152 mandaty (niewiele mniej niż CDU), więc o 32 mandaty więcej od przegranej SPD. Wielu Niemców zakładało, że Merz zaprosi AfD do koalicji, tworząc rząd zdolny do przeprowadzenia głębokich reform w popadającym w zapaść gospodarczą kraju, niegdyś „lokomotywie" Unii Europejskiej. Okazało się to jednak mrzonkami i wyszło, jak wyszło. Dlaczego źle dzieje się w państwie niemieckim? Kanclerz z ramienia CDU, Friedrich Merz, przypisuje swoją żałosną popularność oraz brak zaufania, który 85 proc. społeczeństwa wyraża wobec kompetencji rządu Niemiec w zakresie rozwiązywania problemów, brakowi „sprawiedliwości społecznej". Zatem na lewo patrz?

OPIEKUŃCZE PAŃSTWO?

Ale Berlin Anno Domini 2026 to nie wczesnokapitalistyczny Manchester. Niemcy to państwo „socjalnej gospodarki rynkowej", czyli sockapitalistyczne. To państwo, które wydaje niemal trzecią część swego produktu krajowego brutto – 1,4 bln euro rocznie – na jeden z najbardziej kompleksowych systemów opieki społecznej na świecie. To państwo opiekuńcze, które chroni obywateli – a nawet powiedzieć trzeba: mieszkańców, bo dotyczy to także milionów cudzoziemców – przed zagrożeniami życiowymi, zapewniając im ubezpieczenie zdrowotne, emerytalne, wypadkowe i długoterminowe od bezrobocia. Państwo, które prawnie gwarantuje opiekę nad dziećmi, zapewnia urlopy rodzicielskie, wspiera studentów i stażystów oraz pomaga tym, którzy nie są już w stanie związać końca z końcem, zapewniając im dochód podstawowy i zasiłki mieszkaniowe. Wbrew niektórym narracjom niemieckie państwo opiekuńcze było stale rozbudowywane od dnia narodzin Republiki Federalnej. W sprawach socjalnych CDU kanclerza Adenauera biło na głowę nawet towarzyszy z SPD! Z założenia katolickiego polityka z Nadrenii Niemcy miały się stać „prawdziwym społeczeństwem miłości bliźniego". Reforma emerytalna z 1957 r. w Niemczech, która świadczenie na poziomie pomocy socjalnej zmieniła w ekwiwalent wynagrodzenia, stanowiła rewolucyjny przełom otwierający drogę prowadzącą do państwa opiekuńczego. Zasadza się ono na następujących filarach: społeczna gospodarka rynkowa, dynamiczna emerytura, integracja przesiedleńców i stabilizacja wewnętrzna. Zasady te obowiązują do dziś.

CORAZ DROŻSZE ŻYCIE

Nawet budzące początkowo lęk reformy w ramach „Agendy 2010" kanclerza z ramienia SPD Gerharda Schrödera (późniejszego pracownika Gazpromu) nie doprowadziły do długoterminowej redukcji wydatków socjalnych państwa na początku XXI w. Najwyżej przypomniały wszystkim, że to w końcu pracujący podatnicy płacą na potrzebujących. W ciągu ostatnich 20 lat sytuacja ta uległa radykalnej zmianie. Coraz powszechniejszy staje się pogląd, że to państwo odpowiada za pełne finansowanie wszystkich aspektów życia. Nie jest to jednak żądanie większości społeczeństwa, lecz raczej lewicowych lobbystów, absolwentów równie lewicowych, ba, marksistowskich niemieckich uniwersytetów, grup interesów, finansowanych przez państwo oczywiście lewicowych organizacji pozarządowych i pozbawionego wyobraźni establishmentu politycznego, który coraz bardziej przyzwyczaja się do zasypywania irytujących nastrojów świeżo wydrukowanymi pieniędzmi. I tak SPD, dryfując jeszcze bardziej w lewo, wycofuje się z mozolnie wypracowanych kompromisów z CDU i CSU, grożąc unieważnieniem niedawno uchwalonych reform i wysuwając nowe żądania, wywiera presję na i tak już oblężonego kanclerza, aby zaciągnął jeszcze więcej długów. Ale może Niemcy i tak już źle oceniający kanclerza wcale tego nie chcą? Być może tym, czego najbardziej pragnie wielu z nich, jest to, aby finansowane z podatków społeczeństwo funkcjonowało w miarę sprawnie na co dzień, aby pociągi jeździły, i to w miarę punktualnie, aby żłobków i przedszkoli nie zamykano o godz. 13 wskutek genderowskich szkoleń na temat płci personelu; aby w wiosce był lekarz i aby można było bez obaw spacerować po parku w mieście, nawet wieczorem. Chcą, aby życie nie stawało się coraz droższe z powodu ideologicznie motywowanych podatków i aby instytucje państwowe powstrzymały się od wszelkich form paternalizmu. Kiedy wszystko idzie w miarę dobrze, obywatele zazwyczaj nie chcą dziękować za to swoim politycznym przedstawicielom. Na to przyjdzie czas w wyborach. Obywatele chcą po prostu na co dzień odczuwać, że panują nad swoim życiem i nie postrzegają siebie ani jako petentów, ani jako ofiar czy nie daj Boże klientów coraz bardziej przytłaczającego państwa redystrybucyjnego. I spoglądają z nadzieją w kierunku AfD.

NIEPOPULARNY KANCLERZ

Garść opinii i statystyki. Najpierw opinia: „Kiedy kanclerz o tak niskim poparciu nie wykazuje absolutnie żadnych oznak zmiany w komunikacji, polityce, stylu przywództwa, to pozostawia społeczeństwo samemu sobie. To po prostu brak szacunku". Kto to powiedział? Friedrich Merz, wypowiadając się o ówczesnym kanclerzu Niemiec, Olafie Scholzu. W tamtym czasie, w styczniu 2024 r., według Research Group Elections (FGW) dwie trzecie wyborców było niezadowolone z działań Scholza. Zaledwie niecałe dwa lata później ówczesny lider opozycji, a obecny kanclerz, Friedrich Merz, musi odpowiedzieć za te słowa. Według Research Group Elections (FGW) 75 proc. Niemców ankietowanych w ramach barometru politycznego (Politbarometer) uważa

eprasa.pl 8645d9a30d

obecnie, że polityk CDU kiepsko radzi sobie z rządzeniem państwem. W szczytowym momencie odsetek ten wynosił aż 68 proc. w przypadku jego poprzednika. W wyborach Scholz z SPD przepadł z kretesem. A jak wygląda sytuacja dziś? W badaniu „Deutschlandtrend", przeprowadzonym przez instytut badania opinii publicznej Infratest Dimap, oraz w regularnych sondażach Forsa dla tygodnika „Stern" i telewizji RTL Merz wypada znacznie gorzej. W obu badaniach odsetek niezadowolonych wyborców przekracza aż 80 proc.! Niepopularny kanclerz zawsze stanowi poważny problem dla swojej partii, co pokazują trzy wybory landowe we wrześniu 2027 r. Porażka wyborcza w Saksonii-Anhalcie należy do najpoważniejszych w historii koalicji CDU/CSU. Jeszcze gorzej było w Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim: CDU nie przekroczyła tam nawet progu 5 proc. Czyli znalazła się za drzwiami! W Berlinie partia Friedricha Merza straciła prawie 10 punktów procentowych i prawdopodobnie nie będzie wchodzić w skład przyszłego rządu krajowego w stolicy Niemiec!

Friedrich Merz przeżywa obecnie gwałtowny upadek. A jeszcze rok temu oczekiwano, że przywróci spokój w kraju po latach sporów

POLITYKA FIREWALL

Widzi to każdy gołym okiem. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz z CDU przeżywa obecnie gwałtowny upadek. A przecież jeszcze rok temu był promykiem nadziei, oczekiwano, że przywróci spokój w kraju po prawie trzech latach sporów koalicyjnych, zanim rząd upadł. Teraz Merz jest już opisywany w mediach (nawet do niedawna mu sprzyjających) jako najbardziej niepopularny polityk w historii Republiki Federalnej Niemiec. Niemcy praktycznie go nie cierpią. „Merz, daj spokój!" – piszą w Internecie młodzi ludzie. Zaledwie 3,6 proc. z nich uważa, że kanclerz dobrze sobie radzi. A jeszcze rok temu odsetek ten wynosił prawie 30 proc.! Co u licha zrobił ten człowiek, żeby zasłużyć na taką pogardę? Czy swoimi chybionymi decyzjami wpędził kraj w recesję? Czy wpędził Niemcy w wojnę? Nie. Recesja pojawiła się długo przed tym. A wojna, w której Niemcy biorą udział, nie biorąc w niej udziału, trwa od lat! Nie. Po trzykroć nie. Merz próbuje ciąć ogromne wydatki na emerytury i ubezpieczenia zdrowotne, zaostrzyć politykę azylową i zwiększyć wydatki wojskowe ze względu na zmienioną rzeczywistość geopolityczną. Czy to dobrze czy to źle? Koalicjantowi polityka CDU z uwagi na dziecięcą chorobę lewicowości nie całkiem się podoba.

Z AfD – piszą wyborcy w listach do redakcji pod artykułami na temat kanclerza – nawet głębsze reformy zrealizowano by już na początku koalicji. Ale na ten krok nie pozwala polityka Firewall, czyli wykluczenia AfD, prowadzona przez tzw. siły demokratyczne, do których zalicza się partię Die Linke, spadkobierczynię NRD-owskiego odpowiednika PZPR – SED. To tak, jakby w Republice Federalnej po II wojnie światowej Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników weszła na scenę polityczną pod nową nazwą (np. SRP, Sozialistische Reichspartei), udając ramię demokracji. Jednak zdelegalizowano ją na czas, czego nie da się powiedzieć o SED-bis.

NIEUBŁAGANE TEMPO OCZEKIWAŃ

Na domiar złego Merzowi brakuje charyzmy. Ma on wdzięk kierownika prowincjonalnej podstawówki. Jest fatalnym mówcą, kompletnie nie nadaje się na TikToka. Porażki wyborcze w Saksonii-Anhalcie i Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim następowały jedna po drugiej. Jako obiekt kpin i drwin w tych regionach Merz został praktycznie wykluczony z kampanii. Presja na niego rośnie. Nawet we własnych szeregach. Jak długo wytrzyma? Miesiąc? Może do Bożego Narodzenia? Może do Wielkanocy? Tempo jest nieubłagane. Uczucie uciekającego czasu przenika codzienne życie w Niemczech. Nie można sobie dalej pozwolić na czekanie. Dzisiaj nową książkę ściąga się jednym kliknięciem, nowe słuchawki zamawia się też jednym kliknięciem i odbiera się w idealnym przypadku tego samego dnia. Musimy polubić nową piosenkę w ciągu kilku sekund albo przewijamy dalej. Odpowiedź na naszą wiadomość na WhatsAppie musi nadejść natychmiast.

Nic dziwnego, że wymagania wobec polityków również rosną. Wyborcy są niecierpliwi; oczekują, że ich rządy spełnią ich wymagania: niższe czynsze, wcześniejsze emerytury, wyższe świadczenia socjalne, lepszą przyszłość. Teraz! Polityka jest traktowana jak usługa dostawy pizzy, a demokracja jak dobro konsumpcyjne. Wyborcy uważają decyzje polityczne za uzasadnione przede wszystkim wtedy, gdy przynoszą im korzyści, jak zauważa niemiecki socjolog Steffen Mau. A nie dlatego, że zostały podjęte w procesie demokratycznym, z argumentami i debatą, większością i mniejszością. „Demokracji nie pojmuje się jako czegoś, co pomaga kształtować, ale jako coś, co ma przynosić korzyści". „A jeśli dostawa nie będzie zadowalająca, wystawię całemu sklepowi złą opinię" – wyjaśnił w niedawnym wywiadzie inny socjolog, Matthias Quent.

PRZYKŁAD MELONI

Europa. Włochy zaznały spokoju dopiero za rządów Giorgii Meloni z Fratelli d'Italia, partii – jak mówiono – skrajnie prawicowej. Jednak po objęciu władzy Meloni odłożyła na bok rewolucyjny zapał i zapewniła krajowi stabilność, której brakowało mu przez dziesiątki lat. Na początku września, po prawie czterech latach rządów, została najdłużej urzędującą premier od zakończenia II wojny światowej. Giorgia Meloni nigdy nie sprawia wrażenie wyniosłej. Podobna jest tu do Alice Weidel. Meloni ma niewątpliwie charyzmę, a dzięki rzymskiemu akcentowi sprawia wrażenie osoby z ludu, jak Tino Chrupalla z niemieckiego Zgorzelca. Meloni trafia do wyborców, którzy wcześniej byli konserwatystami, a potem przeszli do Berlusconiego, ale także do tych, którzy szukają przede wszystkim jednego: polityków, którzy tworzą porządek i bezpieczeństwo.

Czy Merz również mógłby się czegoś nauczyć od Meloni? Do marca chyba nie zdąży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



FOT. ADOBE STOCK

NIETYPOWA KOLEKCJA

Posiada ją Andrea Austin. 56-letnia Amerykanka mieszkająca w Salt Lake City zbiera bowiem... długopisy. Zaczęła je gromadzić, jeszcze będąc uczennicą college'u. Kolejne eksponaty kupowała, względnie ofiarowali jej bliscy albo znajomi. Natomiast firmowe dostała od rozmaitych koncernów, sklepów tudzież hoteli – w ramach reklamy. Zbiór liczący obecnie 8,5 tys. sztuk – pochodzących ze wszystkich kontynentów – jest pieczołowicie przechowywany w suterenie jej domostwa. Z tym że zdecydowana większość długopisów nie nadaje się do użytku z powodu wyschnięcia wkładów z tuszem.

PODIUM STUDENCKO-SPORTOWE

Zgodnie z kilkunastoletnią tradycją amerykańskie uczelnie sportowe ogłosiły najoryginalniejsze dysertacje studenckie ubiegłego roku akademickiego. Najwyższy stopień podium zajęła praca zatytułowana „Zakres ruchów czynnych w stawach biodrowych u lekkoatletek", a na kolejnych uplasowały się, odpowiednio, tematy: „Badania nad technikami rwania sztangi oburącz" oraz „Czynniki sprzyjające wzmacnianiu sprawności narciarskiej". Laureatów wyselekcjonowali – jak zwykle – reprezentanci kadry pedagogicznej placówek naukowych kultury fizycznej USA.

WIZERUNKI PRZYPADKÓW

Duński malarz współczesny, Claus Bertelsen, nie stosuje ostatnio standardowego ekwipunku plastycznego. Zamiast pędzla, sztalugi czy palety używa... wiadra. Rozrobione w nim starannie farby, z lekka zagęszczone, wylewa na płaszczyzny o zróżnicowanych strukturach. Zastygająca ciecz tworzy, jak definiuje, wizerunki przypadków. Tak też zatytułował swoją najnowszą wystawę, której wernisaż odbył się tej jesieni w Kopenhadze. Ekspozycja oczarowała krytykę, lecz wzbudziła mizerne zainteresowaniem publiczności. Ku rozczarowaniu artysty.

INTRYGA Z INSEKTAMI

Dopiero śledztwo przeprowadzone przez policję w Sydney rozszyfrowało zagadkę, skąd w jednej z miejscowych restauracji systematycznie pojawiały się karaluchy. Kontrole urzędników tamtejszego odpowiednika naszego sanepidu nie wykazywały bowiem śladu nieprawidłowości w funkcjonowaniu lokalu. Detektywi policyjni, którzy przez parę dni bywali – oczywiście incognito – w przybytku, ustalili, że insekty regularnie podrzucało kilku gości. Okazały się nimi osoby bezrobotne wynajęte przez gastronomiczną konkurencję usytuowaną w budynku znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy. Wnosili owady w pudełkach, otwierając je dyskretnie pod stołami, względnie w toaletach. Sprawa znajdzie epilog przed sądem. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rekordowo drogie romanse

Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem. Bardzo mi przykro – oznajmił współzałożyciel i prezes amerykańskiego koncernu Nvidia, Jensen Huang, przyznając się do małżeńskiej niewierności.

63-letni przedsiębiorca, którego majątek szacowany był jeszcze niedawno na ok.185 mld dol., za romans zapłacił nie tylko reputacją, lecz także miliardami dolarów, które już stracił. Zaryzykował też utratę stanowiska, ogromnego wynagrodzenia, a być może nawet wolności. Chińska kochanka siwowłosego miliardera jest bowiem podejrzewana przez amerykańskie służby o pracę dla rządu Chin.

Nvidia wszczęła wewnętrzne dochodzenie, informując, że jej prezes mógł być „celem działań obcego wywiadu". Śledztwo prowadzi też FBI. Jeśli okaże się, że Jensen Huang zdradzał agentce tajne informacje, pomagał jej w obchodzeniu przepisów o kontroli eksportu i działał jako niezarejestrowany agent obcego rządu, to grozić mu może nawet 40 lat więzienia. I nie pomaga mu to, że władze Chin zaprzeczyły „całkowicie bezpodstawnym" oszczerstwom i ogłosiły, że kobieta nie była ich agentką.

Poważne straty ponieśli też akcjonariusze. Po ujawnieniu skandalu kurs spółki Nvidia na nowojorskiej giełdzie runął o kilkanaście procent. A potem okazało się, że romanse były dwa... Od październikowego szczytu kurs akcji spadł o ok. 30 proc. Tym samym Nvidia doświadczyła największego spadku od 2025 r. (wówczas inwestorzy obawiali się skutków wojny handlowej Donalda Trumpa). Grupa amerykańskich akcjonariuszy pozwała więc koncern, zarzucając władzom spółki, że wprowadzały w błąd co do afery z kochanką prezesa. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



Premier Andy Burnham w prounijnej gorliwości może posunąć się za daleko

FOT. KIN CHEUNG / REUTERS / FORUM

Debrexit?



Teresa Stylińska

Premier Wielkiej Brytanii Andy Burnham uważa, że brexit przyniósł więcej szkody niż pożytku

Niewiele jest terminów, które w świecie polityki zrobiły tak oszałamiającą karierę jak brexit. I nic dziwnego: Brytania plus exit, czyli wyjście, to mariaż językowy ze wszech miar udany. W jego wyniku zrodziło się określenie krótkie, zgrabne i czytelne, a w dodatku uniwersalne – czego dowodem liczne potomstwo: italexit, frexit, grexit, a także – rzecz jasna – polexit. Językowo na miejscu, choć politycznie w sferze spekulacji.

To nie wszystko. Remainers, czyli zwolennicy pozostania w Unii, w pamiętnym referendum w 2016 r. przegrali, dziś jednak chwytają wiatr w żagle, przemienieni w rejoiners, zwolenników powrotu. Sprawcą tego nadzwyczajnego odrodzenia jest nowy – ma za sobą zaledwie trzy miesiące rządów – premier Andy Burnham.

Burnham początkowo ostrożnie badał teren, przy różnych okazjach rzucając luźne uwagi, zawsze wobec brexitu krytyczne. Rekonesans musiał wypaść zachęcająco. Pod koniec października w stacji telewizyjnej ITV, w programie „Good morning, Britain", premier powiedział wreszcie coś, co odebrano jako deklarację nie wiążącą, lecz fundamentalną: „Chciałbym, by za mojego życia Wielka Brytania wróciła do Unii".

Burnham jak dotąd nie wytycza drogi powrotu. Mówi jedynie o resecie – ułożeniu stosunków z Unią na nowo. Jego intencje lepiej jednak oddawałby termin debrexit: odwrócenie brexitu.

POCZĄTEK NOWEJ DROGI

Andy Burnham ma 56 lat, horyzont czasowy jest zatem odległy. Ale nie o to chodzi. To on sprawił, że na porządku dziennym znowu stanęła kwestia, która wydawała się zamknięta: zwolennicy brexitu usatysfakcjonowani, przeciwnicy – pogodzeni z losem. Rzecz w tym, że rany, które spowodowała kampania przed referendum, i późniejsze skrajnie trudne negocjacje z Unią przyschły, ale się nie zagoiły.

A premier właśnie je rozdrapuje, choć stosuje bezpieczniki w postaci zapewnień i zastrzeżeń: rząd nie zamierza przekraczać czerwonej linii i niczego Brytyjczykom nie będzie dyktować. Do czasu wyborów nie podejmie też żadnych decyzji (przypomnijmy, że nie ma mandatu od wyborców, bo do władzy wynieśli go koledzy partyjni), a ewentualne przywrócenie swobody przepływu osób – kwestię newralgiczną, bo zahaczającą o imigrację – podda pod referendum. Ta powściągliwa retoryka ma uspokoić tę część opinii publicznej, która obawia się, że Burnham w prounijnej gorliwości może posunąć się za daleko.

Premier nie kryje, że brexit uważa za przedsięwzięcie nieudane. Nie udało się przede wszystkim zahamować napływu imigrantów, a to było przecież jednym z głównych argumentów uzasadniających konieczność rozstania z Unią. „Przyniósł więcej szkody niż pożytku" – mówił Burnham we wrześniu, podczas dorocznej konferencji Partii Pracy.

Koronny argument, że brexit zaszkodził gospodarce, wyśmiał nie kto inny jak David Cameron – który sam był za pozostaniem w Unii, choć to on jako premier ogłosił referendum brexitowe. „Za dużo wydajemy, za dużo pożyczamy, mamy zbyt wiele podatków i regulacji. I o wiele za dużo wydaje się na świadczenia dla ludzi w wieku produkcyjnym. Nie ma to nic wspólnego z brexitem" – powiedział.

CZAS DLA NEGOCJATORÓW

Tak czy inaczej, reset jest chyba blisko. Pierwszy krok to brytyjsko-unijny szczyt, który ma odbyć się 20 listopada w Brukseli. Pierwotnie planowany był na koniec lipca, ale odejście Keira Starmera, przejęcie władzy przez nowego premiera i przebudowa rządu wymusiły przesunięcie terminu. Andy Burnham zyskał czas na oswojenie się ze stanowiskiem, a negocjatorzy – na dopracowanie trzech porozumień i treści wspólnej deklaracji, które mają być podpisane podczas spotkania. Ale i tak na niespełna dwa tygodnie przed szczytem brytyjskie media ciągle donoszą o trudnościach.

Porozumienia dotyczą bezpieczeństwa żywnościowego i regulacji fitosanitarnych, uzgodnień dotyczących handlu

eprasa.pl 8645d9a30d

emisjami oraz zasad wymiany studenckiej. Tu niespodzianka: można by sądzić, że najwięcej kłopotów sprawią agrifood, jak się to określa, i ETS-y. Nic bardziej mylnego. Nawet po brexicie w Wielkiej Brytanii nie odwrócono się od religii klimatycznej, a w kwestiach żywnościowych Brytyjczycy wykazują daleko idącą ustępliwość, godząc się docelowo na przyjęcie standardów unijnych, nawet jeśli na razie w pewnych dziedzinach zachowują własne.

Przeszkodą jak dotąd nie do pokonania okazała się natomiast kwestia opłat za naukę studentów z Unii na brytyjskich uczelniach. Bruksela domaga się, by czesne wynosiło 10 tys. funtów, na poziomie przyjętym dla studentów brytyjskich. Rząd obstaje przy opłacie jak dla cudzoziemców, maksymalnie 18 tys. funtów, spełnienie unijnych oczekiwań uszczupliłoby bowiem dochody uczelni. Niewykluczone jednak, że rząd przystanie na unijne żądania i pokryje różnicę z budżetu. Jak podał portal The i Paper, jest skłonny wyasygnować na ten cel 580 mln funtów. W zamian za to Wielka Brytania oczekuje dopuszczenia do udziału w unijnych programach Made in Europe i SAFE.

Sprawa jest na tyle trudna, że Bruksela proponuje odłożenie jej o sześć miesięcy. Ta zapowiedź znalazłaby się we wspólnej deklaracji wraz z informacją, że trzy porozumienia stanowią pakiet: albo wchodzą w życie razem, albo wcale. W deklaracji nie zabraknie naturalnie zapewnień o niezmiennym poparciu obu stron dla Ukrainy i wzmianki o kwestii deportacji. Unia chciałaby wymusić na Londynie obietnicę znacznego zmniejszenia (może nawet o połowę) liczby przestępców deportowanych do państw Unii.

OBAWY ŻYWE JAK DAWNIEJ

Ustępliwość strony brytyjskiej doskonale pokazuje, jak bardzo władzom zależy na ułożeniu stosunków z Unią. Mają zresztą, według „The i Paper", dodatkowy bodziec. Chodzi o to, by z resetem zdążyć przed zmianą władzy we Francji. Negocjacje z Brukselą w sytuacji, gdy wpływ na ich przebieg mogą mieć Marine Le Pen i jej Zjednoczenie Narodowe, mogą być o wiele trudniejsze.

Ale Unii również zależy – teraz na resecie, a w przyszłości zapewne na czymś

Ustępliwość strony brytyjskiej pokazuje, jak bardzo władzom zależy na ułożeniu stosunków z UE

więcej. Czy nie dlatego jest skłonna wykazać się elastycznością? Według brukselskich źródeł, na które powołuje się portal Politico, Wielka Brytania, gdyby zdecydowała się na powrót do Unii, nie będzie zmuszana ani do przyjęcia euro, ani do wejścia do strefy Schengen. Respektowane miałyby być wszystkie tzw. wyłączenia, które zapewniła sobie przed laty.

To ciągle jednak melodia przyszłości i nie sposób jest dzisiaj powiedzieć, jak to będzie wyglądać. Warto jednak odnotować, że Michel Barnier, negocjator umowy brexitowej ze strony Unii, w niedawnej rozmowie z dziennikiem „Guardian" mówił o istnieniu pewnych warunków, od których Unia nie powinna odstąpić. To np. zasada swobody przepływu ludzi – jeden filar jednolitego rynku z czterech. Dla Brytyjczyków jest jednak nie do przyjęcia z uwagi na kwestię imigracji. Przed referendum antyimigracyjna kampania była wymierzona właśnie w nadmierny napływ ludzi z terenu Unii, zwłaszcza z jej nowych państw. Brexit problemu istotnie nie rozwiązał, zmienił jednak jego charakter: pochodzenie imigrantów i drogi, którymi docierają na Wyspy Brytyjskie.

Barnier zaznaczył, że wyraża nie stanowisko Unii, lecz własny pogląd na tę sprawę. Czy jednak Unia będzie mogła sobie pozwolić na zlekceważenie obaw, które żywią tysiące Brytyjczyków? Badania opinii publicznej pokazują, że po ponad dekadzie od referendum obawy są równie żywe jak dawniej.

Oto sondaż instytutu YouGov z października: 55 proc. Brytyjczyków akceptuje powrót do Unii, podczas gdy 34 proc. uważa, że lepiej być poza nią. Gdy jednak pada pytanie, co robić, jeśli Bruksela zażąda przyjęcia euro i wejścia do strefy Schengen, oceny się zmieniają. Już tylko 35 proc. chce wracać do Unii, zaś 43 proc. jest przeciw.

Premier Burnham dobrze o tym wie. Wie również, że nawet jego rząd nie mówi w tej sprawie jednym głosem. Za przeciwniczkę zbliżenia z Unią uchodzi Shabana Mahmood, która jako minister spraw wewnętrznych stara się panować nad napływem imigrantów. Dystans zachowuje kanclerz skarbu John Healey. – Ja mam 66 lat – odparł dyplomatycznie, czyli wykrętnie, na pytanie, czy podziela stanowisko premiera w sprawie powrotu do Unii jeszcze za jego życia.

JUŻ NIE TA SAMA UNIA

Zwolennicy powrotu czy choćby resetu sięgają po klasyczny zestaw argumentów: musimy stosować się do unijnych regulacji, choć nie mamy wpływu na ich treść. Przeciwnicy natomiast mają po latach zupełnie nowy ich pakiet, związany z tym, jak Unia dziś funkcjonuje i czego oczekuje od swych członków. Po co wracać do organizacji, która jest w stanie rozpadu? Po co ryzykować, że Bruksela zacznie traktować nas jako nowe państwo członkowskie, ze wszystkimi tego konsekwencjami? Że zacznie sprawdzać, co z rządami prawa i czy respektujemy wartości europejskie? Po co nam – pytał na łamach „Spectatora" Andrew Tettenborn, profesor prawa i komentator tego tygodnika – sterowana demokracja à la Unia Europejska? To już nie jest ta sama Unia, którą Wielka Brytania przed laty opuściła.

Co ciekawe, podobnego zdania jest ekspremier Tony Blair, zdeklarowany eurofil. Opinię formułuje bardziej oględnie, ale jasno: należy wrócić, ale dopiero wtedy, gdy Unia się zreformuje i znowu będzie organizacją suwerennych państw narodowych.

Andy Burnham zapewnia. że w polityce wobec Unii Europejskiej niczego nie zmieni do czasu wyborów. Czyli do kiedy? Muszą się odbyć do lipca 2029 roku, lecz mogą być wcześniej, może nawet już wiosną. A wtedy powrót do UE powinien znaleźć się w programie wyborczym Partii Pracy. Tak, na razie luźno, sugeruje premier.

David Cameron bardzo go przed tym przestrzega, tego rodzaju deklaracja osłabiłaby pozycję negocjacyjną Wielkiej Brytanii. „W Unii – mówi – powiedzą tak: skoro oni chcą do nas wrócić, po co dawać im dobrą, partnerską umowę?" Najlepiej zaś – jego zdaniem – o powrocie do UE na razie zapomnieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



Funkcjonariusze Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) podczas akcji

FOT. UKRAINSKA PRAVDA/AFP/EAST NEWS

Kulisy ukraińskiej Kartaginy



Maciej Pieczyński

Wysocy rangą funkcjonariusze służb „kryszowali" rosyjską mafię, zajmującą się prowadzeniem nielegalnych call center, handlem narkotykami oraz porwaniami dla okupu. Operacja „Kartagina" ujawniła skandaliczny wymiar korupcji na Ukrainie

Za kilka miesięcy minie pięć lat od rosyjskiej inwazji. Teoretycznie egzystencjalne zagrożenie z zewnątrz powinno być wystarczającą motywacją do zwalczenia toczących państwo patologii. Tymczasem w cieniu wojny korupcja na szczytach władz kwitnie w najlepsze. Serial pt. „Ujawnianie kolejnych afer na Ukrainie" wydawał się już nudnawy. Ile można słuchać o kolejnych śledztwach w sprawie urzędników i polityków okradających własny kraj, ile można czytać o tym, że pomoc nie dotarła do potrzebujących, tylko do kieszeni rządzących, ile można się zastanawiać, czy Wołodymyr Zełenski wiedział czy nie wiedział o konkretnym procederze czy może nawet uczestniczył w nim? Nie trzeba chyba więcej dowodów, że Ukraina, najdelikatniej rzecz ujmując, nie radzi sobie z łapówkarstwem w szeregach władzy. Jednak operacja „Kartagina" do dyskusji o korupcji nad Dnieprem wprowadziła nową, nieznaną dotąd w podobnej skali „jakość". Oto bowiem wysocy funkcjonariusze SBU i policji „kryszowali" (czyli zapewniali ochronę) rosyjską mafię, kontrolującą 52 nielegalne, oszukujące klientów call center, handel narkotykami oraz porwania dla okupu. Tak wynika z ustaleń NABU.

OSZUKAŃCZE CALL CENTER

Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) i Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna (SAP) 4 listopada ujawniły szczegóły działalności organizacji przestępczej, do której należało co najmniej 12 osób. Wśród nich znaleźli się funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, policji oraz ludzie powiązani z prokuraturą. Postawiono zarzuty pięciu osobom, w tym generałowi SBU i wysokiemu rangą policjantowi. Przeprowadzono ok. 70 przeszukań. Podejrzanym zarzucono udział w organizacji przestępczej, korupcję, pomoc w torturach, pranie pieniędzy i fałszowanie banknotów.

Centralną postacią afery jest Andrij Osipow, pseudonim Kryminał. Trzykrotnie karany recydywista, mający na koncie m.in. rozbój, kradzież samochodu, chuligaństwo i spowodowanie obrażeń ciała. Mimo takich „referencji" Osipow miał dobre znajomości w ukraińskim aparacie bezpieczeństwa. W materiałach pojawia się nawet nazwisko byłego szefa SBU Wasyla Maluka, podobnie jak „Kryminał" pochodzącego z Korostyszewa. Nie przedstawiono jednak dowodów, że uczestniczył w przestępczym procederze.

eprasa.pl 8645d9a30d

Osipow miał być łącznikiem między państwowymi funkcjonariuszami a międzynarodowym kartelem narkotykowym Chimprom, kierowanym przez Rosjanina Jegora Burkina, pseudonim Meksykanin. Chimprom działał w Rosji już od 2012 r. Następnie rozwinął działalność na Ukrainie. Według śledczych Burkin utrzymywał również kontakty z rosyjską FSB, m.in. w sprawach związanych z dostawami substancji.

Podział obowiązków był następujący. Burkin zapewniał biznes, pieniądze i ludzi. Osipow – kontakty z ukraińskimi funkcjonariuszami oraz możliwość załatwiania problemów. Część uzyskanych dochodów miała trafiać do przedstawicieli służb i policji w zamian za ochronę. Nie chodziło jedynie o przymykanie oczu na przestępstwa. Według NABU funkcjonariusze mieli ostrzegać gangsterów przed kontrolami, pomagać odzyskiwać zajęte pieniądze, przekazywać poufne informacje, a nawet ułatwiać organizowanie brutalnych napadów.

Jednym z najważniejszych źródeł dochodów były oszukańcze call center. Oszuści podszywali się pod przedstawicieli instytucji finansowych, wykorzystywali fałszywe oferty inwestycyjne i inne sposoby manipulowania klientami. Według NABU mafia kontrolowała co najmniej 52 takie placówki, zatrudniające ponad 2,7 tys. osób.

Za ochronę przed policją każde biuro miało płacić miesięcznie 7 tys. dol. Gdyby wszystkie 52 placówki regularnie wnosiły pełną opłatę, dawałoby to 364 tys. dol. miesięcznie. Pieniądze przekazywano przede wszystkim w kryptowalucie USDT, której kurs jest powiązany z dolarem. Kluczową rolę odgrywał Wołodymyr Cenow, pseudonim Prajs. Był pułkownikiem policji, pierwszym zastępcą szefa Departamentu Dochodzeń Strategicznych, a w czasie ujawnienia sprawy pełnił obowiązki jego szefa. To szczególnie wymowne stanowisko: departament zajmuje się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej. Człowiek, który powinien tropić przestępców, według śledczych miał ich chronić. Policjanci przeprowadzili kiedyś przeszukanie w jednym z call center w Odessie, które miało już wykupioną ochronę. Osipow wpadł w panikę. Ostrzegał Cenowa, że funkcjonariusze zniszczą im cały biznes i żądał natychmiastowego rozwiązania problemu. Sprzęt komputerowy został jednak skonfiskowany.

Wtedy Cenow miał zaproponować sposób odzyskania majątku przy pomocy sądu. Należało złożyć pięć podobnych wniosków do Sądu Rejonowego w Peczersku, licząc, że dzięki systemowi automatycznego przydzielania spraw przynajmniej jeden trafi do odpowiedniego sędziego. Według NABU za zwrot sprzętu przekazano dodatkowo 47 tys. USDT. W rezultacie zajęte urządzenia wróciły do właścicieli. W sprawie pojawiają się nazwiska sędziów Romana Nowaka i Tetiany Ostapczuk, ale oboje występowali dotychczas jako świadkowie, nie podejrzani.

BIZNES NARKOTYKOWY

Drugim wielkim interesem Chimpromu był handel narkotykami. Wiosną 2025 r. na Ukrainie zaczęła powstawać sieć sklepów U420. Oferowano w nich m.in. „pamiątki" wyglądające jak marihuana. W marcu 2026 r. dziennikarze Bihus.Info ujawnili wyniki własnego śledztwa. Kupili produkty w trzech kijowskich sklepach, a następnie oddali je do analizy laboratoryjnej. Wykryto syntetyczne kannabinoidy, czyli substancje psychoaktywne znane z tzw. dopalaczy, które mogą działać znacznie silniej i bardziej nieprzewidywalnie niż naturalna marihuana.

Według NABU sieć należała do Burkina, a Osipow miał udział w jej dochodach. Przestępcy obawiali się, że nowe zakazy zmuszą ich do zmiany receptury i zniszczenia zapasów. W rozmowach pojawił się więc pomysł przekupienia dwóch ministrów: spraw wewnętrznych Ihora Kłymenki i zdrowia Wiktora Laszki. Rozważano wręczenie każdemu po 500 tys. dol., aby nie przeszkadzali w prowadzeniu biznesu. Nie ma jednak dowodów, że ministrowie otrzymali pieniądze.

W kwietniu policja przeprowadziła wielką operację przeciw U420. Zlikwidowano sieć liczącą 105 sklepów, zabezpieczono produkty i zablokowano rachunki. Zajęto kryptowaluty o wartości kilku milionów dolarów.

Wkrótce przestępcy zaczęli zastanawiać się, co zrobić z ludźmi, którzy przeszkadzali w narkotykowym biznesie. Szczególnie niewygodny okazał się Denys Bihus, redaktor naczelny portalu Bihus.Info, którego dziennikarze jako pierwsi ujawnili wyniki badań sprzedawanych substancji. „Ja to porządnie załatwię, bo ten szczur, jeśli dzisiaj nic o nas nie nakręci, to znaczy, że nakręci za pół roku. A jak oblejemy mu mordę kwasem, to niech sobie ze swoim strasznym wyglądem kręci filmy dla swoich dzieci" – mówił na nagraniu jeden z członków mafii.

Na celowniku mafii znalazł się także Wiktor Łachno, pseudonim Leleka, weteran pułku Azow, obrońca Mariupola i były rosyjski jeniec wojenny. Publicznie sprzeciwiał się on działalności narkotykowych sklepów. W rozmowach dotyczących rozprawienia się z nim pojawił się dylemat: kwas czy młotek? Burkin oceniał, że użycie młotka wywoła mniejszy rozgłos, ale kwas będzie skuteczniejszym ostrzeżeniem dla innych przeciwników kartelu. Nie ma potwierdzenia, że te konkretne plany ataków na Bihusa i Łachna zostały zrealizowane.

BRUTALNE ZAPLECZE

Osipow miał własne zaplecze do wykonywania brutalnych zleceń. Należeli do niego m.in. Witalij Rybałka, pseudonim Bokser, oraz obywatel Węgier Tarik Pal, nazywany „Paszą". W telefonie Osipowa śledczy znaleźli nagranie, na którym nieznani sprawcy uderzają młotkami całkowicie związanych ludzi. Według śledczych grupa zajmowała się też porwaniami dla okupu. W jednym z takich przypadków uprowadzono przedsiębiorcę z branży węglowej, przetrzymywano go w piwnicy i zażądano 5 mln dol.

Szczególnie symptomatyczny jest przypadek przedsiębiorcy Witalija Jakymenki. 7 lipca 2026 r. został napadnięty przed kijowskim klubem sportowym. Według śledczych gangsterzy wcześniej ustalili jego miejsce pobytu dzięki systemowi miejskiego monitoringu. Dostęp do kamer uzyskali za pośrednictwem konta funkcjonariusza departamentu SBU odpowiedzialnego za ochronę państwowości.

Jakymenkę śledził „Bokser", a następnie razem z innymi napastnikami zaatakował go przed siłownią. Trzech mężczyzn przytrzymywało przedsiębiorcę, bijąc go metalową rurą. Napad zarejestrowały

eprasa.pl 8645d9a30d



Najwyższym rangą podejrzanym w listopadowej odsłonie „Kartaginy" jest generał major SBU Serhij Duka ps. Akim

FOT. ANTIKOR.INFO

kamery. Sprawcy zdobyli później nagranie i przesłali je Osipowowi jako dowód wykonania zadania. Zleceniodawca miał jednak pretensje, że ofiara już po kilku dniach wróciła do treningów.

Co robiła w tym czasie policja? Według NABU jeden z jej funkcjonariuszy, Ołeksandr Demjanczuk, pseudonim Konsultant, pomagał napastnikom uniknąć zatrzymania. Po napadzie poinformował Osipowa, że nie ogłoszono planu przechwycenia sprawców, a wykonawców ewakuowano poza Kijów. Następnego dnia przekazywał informacje o postępach policyjnego śledztwa.

Najwyższym rangą podejrzanym w listopadowej odsłonie „Kartaginy" jest generał major SBU Serhij Duka, pseudonim Akim, zastępca szefa Departamentu Ochrony Państwowości Narodowej. Według NABU znał Osipowa co najmniej od 2022 r., a później pomagał mu rozwiązywać problemy z organami ścigania.

Duka miał wykorzystywać swoją pozycję do zdobywania informacji, organizowania spotkań i załatwiania przysług. Ostrzegał przed zagrożeniami dla działalności call center. Generał miał również pomagać narkotykowemu biznesowi Chimpromu. Po policyjnej operacji przeciw U420 zablokowano cztery portfele kryptowalutowe zawierające ok. 2,4 mln USDT. Według śledczych Duka rozmawiał z wysokimi przedstawicielami prokuratury i policji o możliwości odblokowania środków. 30 lipca poinformował Osipowa, że wie już, jak doprowadzić do uchylenia blokady. Plan nie został wykonany, ponieważ tego samego dnia „Kryminał" trafił w ręce NABU.

Podczas listopadowego przeszukania domu Duki doszło do kolejnego incydentu. Według detektywów generał nie chciał ich wpuścić, a chroniący go funkcjonariusze jednostki specjalnej Alfa mieli grozić bronią. Przed wejściem śledczych Duka miał zniszczyć siekierą telefony i twardy dysk. Nie postawiono mu zarzutu osobistego przyjmowania łapówek od kartelu, lecz uczestnictwa w organizacji przestępczej.

Jak w ogóle udało się rozpracować tak rozbudowany układ? Paradoksalnie przyczynił się do tego sam Osipow. W 2022 r. miał zażądać 1 mln dol. od Rosjanina Aleksandra Kuzniecowa w zamian za pomoc w uniknięciu ekstradycji z Ukrainy. Sprawą zainteresowały się NABU i SAP.

30 lipca 2026 r. Osipow został zatrzymany. Podczas przeszukania śledczy uzyskali dostęp do jego telefonu. Znaleźli w nim ogromną ilość korespondencji, nagrań głosowych, filmów oraz informacji o pieniądzach i przysługach załatwianych przez funkcjonariuszy. Według dziennikarzy „Slidstwo.Info" Osipow mógł gromadzić te materiały jako zabezpieczenie na wypadek konfliktu z wpływowymi znajomymi. W ten sposób człowiek, który miał chronić tajemnice przestępców, sam stworzył archiwum kompromitujących dowodów.

Na ich podstawie 24 sierpnia wszczęto nowe postępowanie. A 4 listopada NABU i SAP ogłosiły wyniki operacji. Wśród pięciu podejrzanych znaleźli się Osipow, Duka, Cenow, Demjanczuk i Rybałka. Wszystkie te osoby korzystają z domniemania niewinności, a obrońcy kwestionują część zarzutów.

Nazwa operacji nawiązuje najprawdopodobniej do słynnego hasła Katona Starszego: „Kartagina musi zostać zburzona". Pierwsza odsłona akcji, ujawniona we wrześniu, dotyczyła innej organizacji zajmującej się ochroną oszukańczych call center. Jej domniemanym organizatorem był Serhij Kropywa, wysoki urzędnik Prokuratury Generalnej. Śledczy zarzucili grupie systematyczne pobieranie łapówek i pranie wielomilionowych dochodów, m.in. poprzez zakup nieruchomości i rejestrowanie majątku na podstawione osoby. Choć listopadowe ujawnienia NABU nazwano kontynuacją „Kartaginy", to chodzi o osobne postępowanie, którego bezpośrednich związków z wrześniową sprawą dotąd nie wykazano.

W tle pojawia się jeszcze jeden wątek. Latem 2025 r. ukraińskie władze próbowały ograniczyć niezależność NABU i SAP, co wywołało protesty społeczne i krytykę zagranicznych partnerów Ukrainy. W działaniach przeciw organom antykorupcyjnym uczestniczyli wówczas niektórzy funkcjonariusze SBU, których nazwiska wracają przy okazji „Kartaginy". Według materiałów ujawnionych przez śledczych pojawiło się nawet podejrzenie preparowania dowodów rosyjskich powiązań jednego z detektywów NABU, Rusłana Magomiedrasułowa.

Po listopadowych ujawnieniach Zełenski określił praktyki przypisywane funkcjonariuszom SBU jako niedopuszczalne. Doszło do dymisji na wysokich stanowiskach. Jednocześnie ukraińska policja przypomina, że sama prowadziła śledztwo przeciw Chimpromowi, zamknęła sklepy U420 i ścigała ludzi kartelu. Nie można więc mówić o podporządkowaniu całych służb mafii. Afera pokazuje raczej, jak wewnątrz tych samych instytucji jedni funkcjonariusze mogli zwalczać przestępców, a inni im pomagać.

Śledztwo pozostaje otwarte. Przedstawiciele NABU twierdzą, że ujawnione materiały są jedynie częścią zgromadzonych dowodów. Już dziś jednak sprawa odsłania mechanizm, w którym rosyjski kartel narkotykowy mógł przez lata rozwijać interesy na Ukrainie, korzystając – według śledczych – z pomocy ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



PROSTO ZYGZAKIEM

Ludwik Kotecki zaleca modlitwę

PIOTR GABRYEL

Tak, tak, już nawet Ludwik Kotecki zaleca modlitwę. Ludwik Kotecki, czyli jeden z najbardziej twardo stąpających po ziemi polskich ekonomistów. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej, od 2012 r. do 2015 r. główny ekonomista Ministerstwa Finansów, a od 2022 r. do niedawna członek Rady Polityki Pieniężnej; i bardziej jastrząb (choć „nienachalny") niż gołąb w tejże RPP. A teraz – członek zarządu NBP.

A zatem Ludwik Kotecki – w kontekście stanu finansów Polski – radzi się modlić. Bo na wszystko inne jest już za późno. Oto do czego doprowadzili politycy duopolu PO-PiS, przemianowanego na KO-PiS po ucieczce przez Donalda Tuska od skompromitowanej nazwy Platforma Obywatelska i próbie ukrycia się za nazwą Koalicja Obywatelska.

„Obawiam się, że z szybko narastającym długiem niewiele da się zrobić. Na stopniową redukcję deficytu budżetowego może być już po prostu za późno – pozostaje nam tylko modlitwa" – przestrzega Kotecki w rozmowie z money.pl. Po czym dodaje: „Nie widzę dziś innego wyjścia niż trwanie i modlenie się o to, żeby to wszystko nie skończyło się jakąś gwałtowniejszą reakcją rynku finansowego".

Spór toczy się już właściwie tylko o to, kiedy Polska – od 20 lat nieudolnie rządzona przez duopol PO-PiS/KO-PiS, czyli na przemian przez PiS Jarosława Kaczyńskiego i PO/KO Donalda Tuska – przekroczy ustawowy próg ostrożnościowy na poziomie 55 proc. długu w relacji do PKB, który nakłada na rząd obowiązek wprowadzenia drakońskich oszczędności budżetowych. A zatem o to, czy te drakońskie oszczędności, czyli wielkie cięcie wydatków i podwyżki podatków, spadną na nas już w 2029 r. czy „dopiero" w 2030 r. Taki oto – na skutek rządów duopolu PO-PiS/KO-PiS – mamy „wybór".

A przekroczenie ustawowego progu ostrożnościowego na poziomie 55 proc. długu w relacji do PKB to nic innego jak konieczność uchwalenia budżetu państwa na kolejny rok bez deficytu albo co najwyżej z minimalnym deficytem. Jak tego dokonać, jeśli w ciągu ostatnich trzech lat deficyt ten co roku sięga niemal 300 mld zł? Jak o tyle obciąć jego wydatki, skoro nawet całkowite skasowanie wszystkich zasiłków „800+" oraz 13. i 14. emerytur pozwoliłoby go ograniczyć tylko o ok. 100 mld zł?

A jeśli dodać do tego, że literalnie nic nie wskazuje na to, by partie Tuska i Kaczyńskiego miały wreszcie zacząć traktować interes Polski wyżej niż własny, a nadto zbliża się spowolnienie wzrostu gospodarczego i trudno liczyć na to, że świat przestanie nas doświadczać kolejnymi kryzysami, które windują ceny ropy i gazu, to dobrze wiadomo, dlaczego Ludwik Kotecki ratunku dla Polski upatruje już tylko w modlitwie. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Nieposkromiony temperament prezydenta

ŁUKASZ WARZECHA

Dobrze pamiętam, co dawało nadzieję w pierwszym okresie urzędowania Andrzeja Dudy jako prezydenta: jego całkiem wówczas nowe i świeże w tonacji wystąpienia podczas najważniejszych narodowych świąt. Po okresie brutalnej konfrontacji (aczkolwiek w zestawieniu z dniem dzisiejszym tamten czas wydaje się wręcz Wersalem) z czasów rządów PO, po ośmiu latach, gdy zwolennicy PiS – wówczas partii absolutnie hegemonicznej na „prawicy" – śpiewali „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie", nowy prezydent zaczął sięgać po akcenty mocno koncyliacyjne. Zwłaszcza 11 listopada odwoływał się do oczywistych historycznych konotacji, czyli wspólnej walki o odtworzenie polskiego państwa, toczonej nawet przez tak zawziętych przeciwników, również na gruncie osobistym, nawet prywatnym, jak Józef Piłsudski i Roman Dmowski.

Powie ktoś: taki ma styl prezydent, a moment jest taki, że nie ma się co obcyndalać

Inna sprawa, że wiele z tych koncyliacyjnych tonów w praktyce nie wynikło, a i niewiele wynikło potem z samego Andrzeja Dudy. Ale to już inna opowieść.

Karol Nawrocki wybrał odmienną drogę. 11 listopada nawiązał otwarcie do sprawy Trybunału Konstytucyjnego, zrugał personalnie ministra Andrzeja Domańskiego jak nauczyciel uczniaka przy całej klasie, a w ramach wątków historycznych mocno potępił samowolę magnaterii występującej w końcowym okresie I Rzeczypospolitej otwarcie przeciwko królom elekcyjnym. Trudno było nie odczytać aluzji do czasów obecnych, przy czym nie jest do końca jasne, czy prezydent Nawrocki siebie porównywał do królów elekcyjnych, czy też to może moja nadinterpretacja.

Powie ktoś: taki ma styl pan prezydent, a moment jest taki, że nie ma się co obcyndalać. Niby tak, ale jednak coś tu zgrzyta. Są te dwa momenty w roku – 3 maja i 11 listopada – gdy od każdego występującego na trybunie polityka, a szczególnie od głowy państwa, można by oczekiwać poskromienia swojego temperamentu. Do wzajemnych połajanek można wrócić już następnego dnia. Jeśli jakaś część państwowego decorum miałaby być wyjęta z zakresu dogłębnie wyniszczającego sporu, to właśnie te dwa dni. Jak jednak widać, i ta bariera padła. Szkoda. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

Chińczycy sięgają po koronę



Wiceprezes koncernu BYD Stella Li oraz główny projektant Wolfgang Egger pokazali w Abu Zabi luksusową limuzynę YangWang Altior, której grill jest zdobiony 137 diamentami FOT. JAP



Jacek Przybylski z Abu Zabi

YangWang, luksusowa marka koncernu BYD, największego na świecie producenta pojazdów elektrycznych i hybryd plug-in, przystąpiła do globalnej ofensywy. W Abu Zabi model U9 Xtreme poprawił rekord prędkości. W stolicy ZEA Chińczycy pokazali też luksusową limuzynę, która ma odebrać klientów takim markom jak Rolls-Royce, Mercedes-Maybach czy Bentley. Koncern wdraża też strategię, która ma mu pozwolić stać się liderem globalnej motoryzacji do 2030 r.

Droga Sheikh Khalifa Bin Zayed w Abu Zabi. Najdłuższa trasa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i część autostrady E11, która biegnie od granicy z Arabią Saudyjską aż do granicy z Omanem, łącząc ze sobą wszystkie główne emiraty. Czteropasmowa długa prosta sprzyja wysokim prędkościom. Znaki wskazują, że samochody osobowe mogą się tu rozpędzać do 160 km/h, a przestrzegania tego limitu pilnują gęsto rozstawione fotoradary. To tu na 10-kilometrowym zamkniętym odcinku na początku listopada elektryczny hipersamochód YangWang U9 Xtreme z czterema silnikami o łącznej mocy 3019 KM, współpracującymi z instalacją 1200 V, osiągnął 503,17 km/h.

Niemiecki kierowca wyścigowy Marc Basseng poprawił tym samym własny rekord (dotąd wynosił on 496,22 km/h) i pomógł koncernowi BYD ustanowić nowe rekordy Guinnessa w dwóch kategoriach: najwyższej prędkości osiągniętej przez samochód produkcyjny w przejeździe w jednym kierunku i najwyższej prędkości osiągniętej przez elektryczny samochód produkcyjny w przejeździe w jednym kierunku. – Dostępna natychmiast ogromna moc jest niesamowita. Jeśli więc tylko uda się rozwiązać kwestię energii, a więc czasu ładowania baterii oraz dostępnego zasięgu, to każdy będzie wolał auta z napędem elektrycznym od tradycyjnych spalinowych – mówił „Do Rzeczy" Marc Basseng podczas spotkania z dziennikarzami zaproszonymi do Abu Zabi.

Chiński koncern BYD planuje wyprodukować zaledwie 30 egzemplarzy modelu U9 Xtreme, który wyróżnia nie tylko maksymalna moc, lecz także niezwykły stosunek mocy do masy, który w tym modelu wynosi aż 1217 KM na tonę. Samochód jest też naszpikowany elektroniką oraz nowoczesnymi technologiami, które sprawiają, że nawet przy dużych prędkościach system komputerowy utrzymuje pełną kontrolę nad nadwoziem, zapobiegając poślizgowi kół czy utracie przyczepności.

Szacowana cena egzemplarza z tej bardzo limitowanej edycji waha się od 3 do 4 mln dol. (11,8 mln zł do 15,7 mln zł). Posiadanie tak dużych pieniędzy nie gwarantuje jednak wcale, że będzie się mogło kupić taki samochód. Już zgłosiło się bowiem ponad 300 zainteresowanych. Przedstawiciele koncernu zastrzegają więc, że rozważnie podejmą ostateczną decyzję, komu sprzedać rekordowe hiperauta, biorąc pod uwagę to, czy potencjalny nabywca jest pasjonatem wysokich prędkości oraz innowacyjności.

NIE TYLKO DLA SZEJKA

Dzień po ogłoszeniu nowego rekordu prędkości BYD zaprezentowało w Abu Zabi swój najbardziej luksusowy produkt. YangWang ALTIOR to mierząca 5600 mm długości i 2030 mm szerokości elektryczna limuzyna ze czterema silnikami, która ma konkurować z autami takich marek jak Rolls-Royce Ghost, Bentley Flying Spur czy Mercedes-Maybach Klasy S. Szefowie BYD podkreślają, że to prawdziwy pałac na kołach. Kształt sylwetki auta inspirowany

eprasa.pl 8645d9a30d

jest przez tysiące lat chińskiego dziedzictwa kulturowego oraz starożytne chińskie naczynie ding – symbol siły, godności i harmonii. Stella Li, wiceprezes koncernu BYD, podkreślała podczas pokazu auta, że ding jest stabilniejszy niż europejska korona, którą łatwo można strącić. – To nie jest samochód z chińskimi dekoracjami. To kwintesencja chińskiego luksusu, która ma na pokładzie najbardziej zaawansowane technologie, jakie kiedykolwiek stworzyliśmy – mówiła Stella Li.

Centralne miejsce limuzyny z czterema silnikami zajmuje emblemat YangWang inspirowany starożytnym chińskim pismem wyrytym na kościach wróżebnych. Diamentowy grill wysadzany jest 137 kamieniami. W czteroosobowej kabinie wykończonej z użyciem naturalnego drewna, żółtego jadeitu, skórzanej tapicerki z diamentowymi przeszyciami i chińskiego haftu znajdują się m.in. fotele z funkcją zerowej grawitacji, licowa skóra, wełniane dywaniki oraz 39-głośnikowy system audio. Wystarczy jedno naciśnięcie guzika, aby fotel podniósł podnóżek, ustawił się do ulubionej pozycji swojego/swojej pana/pani i rozpoczął masaż. Jeden przycisk wystarcza też do zasłonięcia rolet i zapewnienia prywatności. Drzwi tylne otwierają się w kierunku przeciwnym do przednich, co ma ułatwiać zajmowanie foteli w drugim rzędzie. W ich wnękach – podobnie jak w limuzynach Rolls-Royce'a – znajdują się zaś miejsca na duże parasole. System komputerowy steruje również odpowiednim rozprowadzaniem perfum w kabinie. Na pokładzie są również dwie lodówki, w których można schłodzić napoje.

Elektryczna limuzyna na jednym ładowaniu potrafi przejechać ponad 1000 km (według chińskiej procedury CLTC, która łaskawiej patrzy na zasięgi niż europejski standard WLTP). Dzięki czterem niezależnym silnikom pojazd może się obrócić niemal w miejscu. Auto posiada również funkcję awaryjnego unoszenia się na wodzie, dzięki której jego pasażerowie mogą przetrwać, jeśli samochód nagle wpadnie do głębokiej wody. Limitowana wersja ma kosztować równowartość ponad 1,2 mln zł.

PRZEŁOM W ŁADOWANIU

Koncern chwali się, że w tym roku pokazał nie tylko najszybszy samochód świata oraz limuzynę będącą wizytówką chińskiego luksusu, lecz także technologię superszybkiego ładowania samochodów elektrycznych. Na pustyni w Zjednoczonych Emiratach Arabskich BYD pokazał pierwszy na świecie zintegrowany system błyskawicznego ładowania, który umożliwia wykorzystanie energii odnawialnej do ładowania pojazdów nawet w miejscach z ograniczonym dostępem do sieci energetycznej. Gdy na zewnątrz praży ostre słońce, a temperatura w cieniu przekracza 37 st. C, nie trzeba nawet opuszczać auta. Dzięki funkcji Automated Valet Parking samochód sam podjeżdża pod stację ładowania, na której ramię robota automatycznie odnajduje gniazdo ładowania i samodzielnie podłącza pojazd do ładowarki. Brzmi jak science fiction, ale BYD deklaruje uruchomienie na całym świecie 6 tys. stacji FLASH Charging do końca przyszłego roku.

REKORDOWY EKSPORT

Na polskim rynku motoryzacyjnym od września mamy już więcej marek chińskich (29) niż tych, które mają europejski rodowód (28). Które najlepiej się sprzedają? Otóż w październikowych statystykach najlepiej sprzedających się marek z Państwa Środka na podium znalazły się MG, BYD oraz Chery. Według danych NBP już w drugim kwartale 2026 r. Chiny awansowały na drugiego dostawcę aut do Polski. Chińczycy wyprzedzili już m.in. Czechów i szybko gonią Niemców (w ciągu roku udział Chin w imporcie samochodów osobowych do Polski zwiększył się z 5,3 proc. do 11,2 proc.).

Chińskie marki dobrze radzą sobie nie tylko nad Wisłą, lecz także w wielu krajach Starego Kontynentu. Według danych firmy badawczej Dataforce w tym roku marki z Państwa Środka pierwszy raz osiągnęły wyższy udział w europejskim rynku niż firmy japońskie. W ciągu zaledwie pięciu lat udział w rynku chińskich marek wzrósł zaś z 1 proc. do 12,7 proc. Z danych ACEA wynika, że tylko BYD zdobył już 2,7 proc. udziału w rynku w Europie, a sprzedaż BYD od stycznia do września wzrosła rok do roku ponaddwukrotnie do ok. 284 tys. egzemplarzy. Przychody spółki w trzecim kwartale 2026 r. wzrosły o 13,6 proc. do poziomu 221,5 mld juanów (ok. 132,51 mld zł). Głównie zagraniczna sprzedaż sprawiła zaś, że zyski spółki w trzecim kwartale 2026 r. wzrosły o 28,08 proc. rok do roku do poziomu ponad 10 mld juanów



W Dubaju przy mierzącym 828 m budynku Burdż Chalifa pokazano, jak działa technologia FLASH Charging, umożliwiająca naładowanie auta od 10 do 70 proc. w pięć minut, a od 10 do 97 proc. w dziewięć minut FOT. JAP

(równowartość ok. 5,97 mld zł). Analitycy liczyli na więcej, ale zysk ograniczyła spadająca sprzedaż w Chinach (o 12 proc. rok do roku) i zaostrzająca się wojna cenowa.

Kwartalne wyniki eksportu były za to rekordowe. Od lipca do września BYD sprzedał poza granicami Chin aż 550 704 egzemplarze (wzrost o 137 proc. rok do roku), dzięki czemu sprzedaż zagraniczna odpowiadała już za 42 proc. całkowitego wolumenu sprzedaży (łącznie koncern sprzedał w trzecim kwartale ponad 1,32 mln samochodów). Aby zachować konkurencyjność na globalnym rynku, koncern BYD konsekwentnie realizuje strategię „od kopalni do koła". Zakłada ona, że firma przejmuje kontrolę nad całym łańcuchem produkcyjnym, od wydobycia niezbędnych surowców (koncern inwestuje bezpośrednio np. w kopalnie litu, który jest niezbędny do budowy akumulatorów), poprzez wytwarzanie kluczowych podzespołów (koncern sam wytwarza do swoich pojazdów akumulatory, układy scalone, mikrokontrolery, silniki elektryczne, fotele etc.) oraz montaż aut, aż po transport samochodów do klientów w kilkudziesięciu krajach (BYD zbudował całą flotę własnych statków typu Ro-Ro).

Taka strategia pozwala w długim terminie obniżyć koszty. Uchroniła ona już też koncern przed potencjalnie potężnymi stratami wynikającymi z kryzysu na globalnym rynku chipów. Ma ona również pozwolić BYD wyprzedzić Toyotę i stać się liderem globalnej motoryzacji jeszcze przed 2030 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8645d9a30d



Ze Stellą Li, wiceprezes wykonawczą koncernu BYD Company Limited oraz dyrektor generalną BYD na obie Ameryki, Europę, Bliski Wschód i Afrykę
rozmawia w Dubaju Jacek Przybylski

FOT. AP

Każdy chce być zwycięzcą

JACEK PRZYBYLSKI: Koncern BYD może się już pochwalić nie tylko najszybszym samochodem na świecie – Yangwangiem U9 Xtreme, lecz także superluksusową limuzyną Yangwang Altior. To zaś wyraźnie pokazuje, że zamierzacie konkurować nie tylko z Porsche czy Bentleyem, lecz także z takimi markami jak Rolls-Royce czy Mercedes-Maybach. Zastanawiam się jednak, co – poza istotnie niższą ceną – miałoby przekonać europejskich klientów do porzucenia największych tradycyjnych producentów samochodów i wyboru właśnie chińskiej marki?

STELLA LI: Tak naprawdę to nie zamierzamy z nikim konkurować. My chcemy po prostu rozwijać nasze technologie i tworzyć najlepsze samochody, przesuwając wszelkie granice, aby móc zaoferować coś, czego nikt inny nie jest w stanie osiągnąć. Dotyczy to zarówno nowoczesnych technologii, jak i poziomu luksusu.

Chiny to kraj z pięciotysiącletnim dziedzictwem kulturowym, w którym tradycje związane z dawnymi rodami królewskimi stanowią fundament prawdziwego, wyrafinowanego luksusu. Chcemy więc czerpać z tej kultury i wykorzystywać to wielowiekowe dziedzictwo podczas tworzenia naszych modeli.

Łączymy chiński luksus z zaawansowaną, nowoczesną technologią. I zamierzamy robić to dalej, co roku pokazując coś nowego i dokonując kolejnego przełomu. W tym roku była nim choćby technologia superszybkiego ładowania Flash Charging.

W Polsce dostępne są na razie dwie wasze marki: popularna BYD oraz premium, czyli Denza. Czy zarząd koncernu zamierza wprowadzić do salonów nad Wisłą również waszą najbardziej prestiżową i najdroższą markę, czyli Yangwang?

Tak, podjęliśmy już decyzję o wprowadzeniu marki Yangwang na terenie całej Europy.

Kiedy to się stanie?

Nie mamy jeszcze takiego harmonogramu. Damy znać, gdy tylko będziemy gotowi ogłosić datę premiery. Mogę tylko powiedzieć, że chcemy, aby nasza nowa limuzyna emanowała luksusem i wyznaczała nowy standard dla modeli luksusowych.

Czy koncern BYD rozważa uruchomienie w Europie swoich nowych fabryk?

Tak, jesteśmy właśnie na etapie planowania naszej drugiej fabryki w Europie, a być może nawet trzeciej.

W jakich krajach?

Ogłosimy to później. Na razie niech to pozostanie jeszcze naszą małą firmową tajemnicą.

Rozważacie wybudowanie którejś z nich w Polsce?

eprasa.pl 8645d9a30d

Polska akurat w tym kontekście nie znajduje się na naszej krótkiej liście. Akurat w Polsce zaczęliśmy jednak niedawno wprowadzać naszą markę premium: Denzę.

Sprzedaż BYD w Europie rośnie w trzycyfrowym tempie – w sierpniu 2026 r. sprzedaż marki wzrosła o 131 proc., a w okresie od stycznia do sierpnia obecnego roku wolumen sprzedaży chińskich marek z grupy BYD zwiększył się w Europie aż o 144 proc. Zastanawiam się, jakie jest największe wyzwanie dla rozwoju BYD w Europie? Czy to kwestie polityczne, czy może ryzyko gospodarcze?

Myślę, że największym wyzwaniem jest kwestia swego rodzaju niepewności. Czasami świat polityki wysyła bardzo niejasne sygnały, co wiele osób wprawia w zakłopotanie. Nas ten problem jednak nie dotyczy. Niezależnie od zachodzących zmian koncentrujemy się na analizie zachowań konsumentów. Badamy, czego dokładnie nasi klienci oczekują od swoich wymarzonych samochodów, a następnie dokładamy wszelkich starań, aby te potrzeby zaspokoić.

Skoro mowa o sprzedaży, to jaki jest wasz oficjalny cel na najbliższe lata? W Polsce jesteście obecnie jedną z najszybciej rozwijających się marek. Zastanawiam się, czy w ciągu najbliższych kilku lat planujecie jeszcze bardziej podkręcić tempo i znaleźć się w gronie, powiedzmy, trzech największych firm motoryzacyjnych w Europie?

Każdy chce być zwycięzcą. Nie powinniśmy jednak używać tego typu statystyk jako miary naszego sukcesu. Obecnie skupiamy się przede wszystkim na tworzeniu wysokiej jakości sieci dealerskiej oraz dbaniu o to, aby nasza obsługa posprzedażowa była na najwyższym poziomie. Zachęcamy również nasz zespół do szerokiego wdrażania sztucznej inteligencji w celu zapewnienia klientom zupełnie nowych doświadczeń. I to właśnie na tym się teraz koncentrujemy. Wierzymy bowiem, że jeśli odpowiednio dobrze zadbamy o naszych klientów, jeśli uda nam się zyskać ich zaufanie, to będą do nas wracać, co pozwoli nam zbudować lojalność na długie lata.

Co ma pani na myśli, mówiąc o szerokim wykorzystaniu sztucznej inteligencji?

Chodzi na przykład o wykorzystanie sztucznej inteligencji w kontekście obsługi posprzedażowej. Mamy do czynienia z dużą liczbą modeli nafaszerowanych nowymi technologiami. Oczywiście mechanicy muszą się nauczyć ich obsługi, ale i tak czasem zdarza im się zapominać niektóre rzeczy. Dzięki goglom wykorzystującym sztuczną inteligencję wystarczy, że nasz pracownik spojrzy na konkretną część samochodu, a w okularach rozszerzonej rzeczywistości wyświetlą mu się dokładne instrukcje, jak powinien przeprowadzić naprawę.



Najszybszy samochód na świecie Yangwang U9 Xtreme podczas parady technologicznej 110 aut koncernu BYD na ulicach Abu Zabi FOT. JAP

To może być ciekawa recepta na utrzymanie wysokiego poziomu sprzedaży. W Europie pojawia się jednak coraz więcej chińskich producentów samochodów. Tylko w Polsce oferowanych jest obecnie ok. 30 chińskich marek. Czy nie sądzi pani, że rynek motoryzacyjny będzie w końcu zmierzał w stronę konsolidacji i że niektóre chińskie marki będą musiały prędzej czy później zniknąć ze Starego Kontynentu?

Niestety, nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Właśnie dlatego zawsze skupiam się na naszej pracy i wyłącznie na naszych markach. A inni niech zajmują się swoimi firmami.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Stella Li** – wiceprezes wykonawcza koncernu BYD Company Limited oraz dyrektor generalna BYD na obie Ameryki, Europę, Bliski Wschód i Afrykę. Odpowiada za globalną strategię i rozwój na rynkach międzynarodowych koncernu, którego wartość giełdowa wycena wynosi obecnie ok. 112 mld dol. Jest również obecnie międzynarodową twarzą tej chińskiej spółki.*

W 1992 r. uzyskała licencjat ze statystyki na Uniwersytecie Fudan w Szanghaju, jednym z pięciu najlepszych uniwersytetów w Chinach. W założonym w roku 1995 koncernie BYD pracuje niemal od początku istnienia firmy. We wrześniu 1996 r. dołączyła bowiem do spółki jako menadżer do spraw marketingu odpowiedzialny za eksport na globalne rynki. Do najważniejszych osiągnięć w jej karierze należało założenie pierwszego biura BYD w Hongkongu w 1997 r., otwarcie europejskiej siedziby firmy w Rotterdamie w 1999 r. oraz założenie pierwszej północnoamerykańskiej filii BYD w Chicago w 2000 r.

To jej działania pomogły przekształcić BYD z producenta akumulatorów w innowacyjną międzynarodową potęgę działającą na różnych polach: produkcji baterii, samochodów, taboru kolejowego czy elektroniki. W odpowiedzi na bariery handlowe i cła wprowadziła strategię „bycia lokalnym", osobiście nadzorując budowę fabryk m.in. na Węgrzech, w Turcji, Brazylii, Tajlandii, Uzbekistanie czy Meksyku.

To pod jej kierownictwem koncern BYD wszedł do ponad 80 krajów świata, a sprzedaż spółki na rynkach międzynarodowych w 2025 r. podwoiła się, przekraczając milion aut. Pozwoliło to chińskiemu koncernowi osiągnąć łączny wynik 4,6 mln sprzedanych pojazdów niskoemisyjnych i wyprzedzić Teslę w kategorii globalnej sprzedaży aut w pełni elektrycznych.

Stella Li była pierwszą kobietą nagrodzoną tytułem Człowieka Roku 2025 w historii konkursu World Car Awards. W listopadzie 2026 r. podczas londyńskiej gali World Branding Awards 2026–2027 odebrała zaś nagrodę Globalnej Marki Roku dla BYD w kategorii Motoryzacja.

eprasa.pl 8645d9a30d

POCZET POLSKICH WODZÓW

Zdrajca Janusz Radziwiłł



JACEK KOMUDA

Książę Janusz Radziwiłł, hetman litewski, znany jest z powieści „Potop" Henryka Sienkiewicza jako zdrajca, który podpisał układ podporządkowujący Litwę Szwecji i zrywający unię z Polską. Oceny tego postępowania nawet dziś są różne. Bez wątpienia poszedł w ślady szlachty koronnej, która poddawała się Szwedom, a Litwa – podbita i wyniszczona przez najazd Moskwy – nie mogła wybrać inaczej. Decyzja Radziwiłła (a faktycznie nie tylko jego, lecz także znacznej części magnaterii) została jednak potępiona przez mieszkańców Wielkiego Księstwa. Wojsko zawiązało konfederację w Wierzbołowie wymierzoną przeciwko hetmanowi, do walki stanął ród Sapiehów rywalizujący z Radziwiłłami, a na Żmudzi wybuchło powstanie antyszwedzkie. Hetman zakończył życie 31 grudnia 1655 r. w Tykocinie, który został potem zdobyty przez wojska wierne królowi Janowi Kazimierzowi.

Radziwiłł miał jednak ogromny dorobek wojskowy. Urodzony w 1612 r. jako syn Krzysztofa Radziwiłła, hetmana, odebrał wykształcenie na uniwersytetach w Lipsku i Altdorfie, przebywał też w Niderlandach w czasie wojny z Hiszpanią. W młodych latach cieszył się względami króla Władysława IV, który powierzył mu godność posła do Brukseli i Anglii. Prowadził też dla króla zaciągi wojskowe. Pierwsze laury zebrał w czasie wojny o Smoleńsk w latach 1632–1634, walcząc u boku ojca z Moskwą. Następnie został podkomorzym królewskim i przy okazji dał się poznać jako krewki magnat, mający zatargi z Krzysztofem Opalińskim, Piotrem Gembickim i Adamem Kazanowskim. W 1640 r., po śmierci ojca, został, w wieku 28 lat, przywódcą protestantów litewskich. Później był posłem na sejm, starostą żmudzkim, a wreszcie król powierzył mu godność hetmana polnego litewskiego. Ponieważ hetman wielki Janusz Kiszka z powodu choroby nie był w stanie pełnić obowiązków, Radziwiłł został najwyższym dowódcą odpowiedzialnym za obronę Litwy.

Niemal od razu, bo w 1648 r., przyszło mu zaznajomić się z buntem kozackim Bohdana Chmielnickiego, kiedy musiał bronić granicy atakowanej przez oddziały zaporoskie. W lutym 1649 r., po klęskach zadanych armii koronnej nad Żółtymi Wodami, Korsuniem i pod Piławcami, Radziwiłł odbił Mozyrz i Turów, z czego pierwsze miasto zajął atakiem spieszonej jazdy. Następnie krwawo rozprawił się z wziętymi do niewoli buntownikami, wbijając kilku atamanów na pale. W kolejnych miesiącach, kiedy wojsko koronne przygotowywało się do obrony Zbaraża, hetman polny wyruszył przeciwko oddziałom Stepana Podobajły, które wtargnęły na tereny Litwy i umocniły się w widłach Dniepru i Soży. Kiedy jednak rozpoczęła się jego wyprawa, Chmielnicki – przerażony, że wojska litewskie uderzą mu na tyły – wysłał przeciwko nim pułk Stanisława Michała Krzyczewskiego. Zaskoczył on pod Łojowem armię litewską w trakcie zdobywania pozycji Podobajły i przeprawy. Radziwiłł jednak wygrał tę bitwę, kompletnie rozbijając przeciwnika szarżą jazdy, a ranny Krzyczewski zmarł w niewoli. Było to znakomite zwycięstwo, pamiętajmy jednak, że odniesione nad wojskami kozackimi pozbawionymi wsparcia Tatarów.

Dwa lata później książę Janusz wygrał kolejną bitwę pod Łojowem, rozbijając siły płk. Martyna Nebaby. Następnie wziął szturmem Kijów, po czym połączył się z armią koronną. Kiedy jednak pod Białą Cerkwią chciał dobić kozaków, został powstrzymany przez hetmana Mikołaja Potockiego, który zawarł z Chmielnickim kolejną ugodę.

Niestety, unia perejasławska i poddanie się wodza kozaków Moskwie postawiły Litwę w rozpaczliwym położeniu. Na księstwo uderzyły potężne armie cara, a chociaż hetman polny pokonał je 12 sierpnia pod Szkłowem, w bitwie, w czasie której nastąpiło zaćmienie Słońca, wkrótce odniósł porażkę pod Szepielewiczami, tracąc wschodnią część Wielkiego Księstwa. Co gorsza, na początku października padł Smoleńsk, który nie został dostatecznie umocniony przez hetmana. Był to skutek konfliktu z królem Janem Kazimierzem, który choć nadał Radziwiłłowi godność hetmana wielkiego litewskiego, to jednak prowadził politykę zmierzającą do osłabienia jego pozycji. Mianował więc hetmanem polnym jego wroga – Wincentego Gosiewskiego – i poddał pod jego rozkazy posiłki przysłane z Korony.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać – w 1655 r. Moskwa zajęła większość Litwy, dokonując 7 sierpnia rzezi Wilna i – niejako zmuszając Radziwiłła do podpisania układu ze Szwedami w Kiejdanach. O dziwo, Litwa pozostająca w stanie kompletnej klęski nie chciała jednak poddać się kolejnemu wrogowi, a w obliczu potopu szwedzkiego wojska carskie wstrzymały się od ataków i nawet zawarły z Rzecząpospolitą układ w Niemieży, pozwalając na skierowanie wszystkich sił przeciwko nowemu wrogowi. Radziwiłł już nie wyplątał się z sieci, którą sam sobie uplótł; nie będąc w stanie zmienić strony, atakowany przez skonfederowane wojska litewskie, zakończył życie z piętnem zdrajcy w Tykocinie. ©℗



FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 8645d9a30d

VOLVO V60 T8 PLUG-IN



FOT. JAP

Ten model łączy ze sobą skandynawski minimalizm w luksusowym wydaniu, przestronność i praktyczność kombi oraz potężną moc napędu hybrydowego. Z przodu elegancji i nowoczesności dodają mu charakterystyczne dla szwedzkiej marki reflektory w kształcie młota Thora. W połączeniu z klasycznym grillem testowany model wygląda zaś lepiej niż niejeden Mercedes.

Volvo V60 w testowanej odmianie T8 eAWD napędza turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 2,0 l wspomagany przez jednostkę elektryczną. Taki zestaw generuje moc 455 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś aż 709 Nm. Efekt? Sprint od zera do setki zajmuje 4,6 s. Nieźle jak na rodzinne kombi. Prędkość maksymalna to 180 km/h.

Co ważne dla osób dojeżdżających do pracy w dużych metropoliach, Volvo V60 z napędem Plug-In może poruszać się wyłącznie na prądzie przez kilkadziesiąt kilometrów (według producenta nawet przez 90 km, mnie udało się w ten sposób pokonać 76 km). Przy rozładowanej baterii średnie spalanie w cyklu mieszanym (miasto, trasa krajowa, autostrada) podczas naszego testu wyniosło 7,3 l/100 km.

Auto znakomicie trzyma się drogi. Układ kierowniczy jest precyzyjny, a w stabilnej jeździe podczas jesiennych wichur pomaga też ciężka bateria trakcyjna umieszczona centralnie pod podłogą pojazdu. W jesienno-zimowych warunkach docenić można również napęd na wszystkie koła, który poprawia przyczepność na śliskich drogach.

W jasnym wnętrzu – idealnym, gdy dni stają się coraz krótsze, a dookoła robi się ponuro – króluje subtelny, nordycki szyk. Świetnie wyciszoną kabinę wykończono materiałami premium. Uwagę zwraca m.in. kryształowa dźwignia zmiany biegów. Dobrze też, że projektanci nie zamienili eleganckiego wnętrza w jeden wielki ekran multimedialny. W V60 wyświetlacz centralny ma przekątną 9 cali, a wyświetlacz kierowcy 12,3 cala (i to naprawdę wystarczy). Szkoda jednak, że do połączenia się z Apple CarPlay niczym za króla Ćwieczka niezbędny jest kabelek.

Przednie fotele – z funkcją ogrzewania i wentylowania – są bardzo wygodne. Atmosferę luksusu budują też dźwięki z systemu audio Bowers & Wilkins. Miejsca z przodu jest mnóstwo. Z tyłu komfortowo mogą podróżować dwie dorosłe osoby. Trzecia też teoretycznie się zmieści, ale daleka podróż może nie być dla niej już tak przyjemna.

Długi bagażnik ma 529 l pojemności, a po złożeniu tylnych siedzeń rośnie do 1431 l. Nie są to może rekordowe wartości jak na kombi, ale nie jest źle.

Najtańsze Volvo V60 w wersji B4 Mild Hybrid (197 KM, 300 Nm, FWD, 0–100 km/h w 7,6 s) kosztuje 197,9 tys. zł. Ceny wariantu T6 AWD Plug-In Hybrid (335 KM, 589 Nm, zasięg na prądzie 98 km w cyklu mieszanym, przyspieszenie od zera do 100 km/h w 5,4 s) zaczynają się od 245,9 tys. zł. Za hybrydową wersję T6 z najbogatszym pakietem wyposażenia (kamera 360 stopni, dach panoramiczny, wyświetlacz przezierny HUD) trzeba zapłacić 294,9 tys. zł.

JABRA EVOLVE3 65 FLEX

Aż sześć mikrofonów, dobra jakość dźwięku, adaptacyjna aktywna redukcja hałasu oraz lekka, składana konstrukcja – to największe zalety słuchawek biznesowych duńskiej marki Jabra.

Wprawdzie praca wyłącznie zdalna powoli staje się przywilejem tylko dla wąskiej grupy specjalistów, ale rynkowym standardem jest nadal praca hybrydowa. Firmy chcą, aby pracownicy podczas łączenia się z domu brzmieli równie profesjonalnie jak w biurze. Inżynierowie Jabry podjęli się zatem trudnego zadania: spróbowali stworzyć słuchawki do biznesowego użytku, które jednocześnie będą lekkie, przenośne i stosunkowo ładne.

Czy im się udało? Model Jabra Evolve3 65 Flex waży zaledwie 143 g i ma minimalistyczne wzornictwo. Trzecia generacja sprawdzonych biznesowych słuchawek została też pozbawiona mikrofonu na wysięgniku, dzięki czemu nie powinny one niepotrzebnie zwracać uwagi ani w biurze, ani na ulicy czy w tramwaju. Niewielkie muszle są dość komfortowe nawet podczas wielogodzinnego użytkowania (również w okularach), choć sztuczna skóra na ich poduszkach sprawia, że uszy mocno się nagrzewają.

Jakość dźwięku podczas rozmów jest dobra. Testowany model można też wykorzystywać do słuchania muzyki. I choć odtwarzane utwory brzmią przyzwoicie, to z pewnością nie są to słuchawki przeznaczone dla audiofilów.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dobrze widoczna z każdego kierunku jest dioda zajętości – żaden ze współpracowników/domowników nie będzie zatem miał wymówki, że nie wiedział, iż przeszkadza (niestety, nasz krótki test pokazał dobitnie, że psy prosząc o przysmak podczas rozmowy z szefem, ignorują nawet tak dobrze widoczne sygnały).

Adaptacyjna aktywna redukcja hałasu działa dobrze. I to zarówno jeśli chodzi o niwelowanie odgłosów, które inni mogliby słyszeć u nas w domu lub podczas podróży (algorytm dość sprawnie wycina np. wiatr), jak i o tłumienie dźwięków docierających do naszych uszu w gwarnym biurze.

Praktycznym dodatkiem jest też niewielkie etui na złożone słuchawki. Dzięki temu można ich używać podczas telekonferencji w domu, a gdy przychodzi czas na pracę w biurze, wrzucić do plecaka lub aktówki i zabrać do firmy. Zaletą jest też wymienny akumulator.

Minusy? Niewielkie przyciski do sterowania są mało wygodne, co szczególnie irytuje, gdy próbuje się szybko wyciszyć mikrofon podczas spotkania. Cena: 941 zł.

NĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 8645d9a30d



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lava cake

To wyjątkowe ciasto, które wzbogaca odświętny stół i dodaje mu powabu egzotyki. Zwłaszcza imieniny lub urodziny są dobrą okazja, by lawą uhonorować solenizanta. Uwielbiamy je za wyjątkowo aksamitny smak, delikatność i tę niewyobrażalnie mocno czekoladową płynną lawę w środku. To ciasto to istny raj dla miłośników czekolady, jest bardzo pociągające i doskonale się sprawdzi jako zwieńczenie wyjątkowej kolacji.

Najlepiej przygotować ciasto w małych foremkach. Jednak dla tych, którym nie przeszkadza, że deser będzie trochę nieforemny, możemy go zrobić w tradycyjnej większej foremce i nakładać je łyżką.

Nasze łasuchowanie ma jednak zupełnie racjonalne i wyjątkowo odżywcze podstawy. Otóż oprócz walorów smakowych jest to również źródło białka pochodzącego z jaj, antyoksydantów, magnezu i witaminy z grupy B pochodzących z czekolady. Ciasto zawiera wyjątkowo małą ilość mąki, ale za to dość sporo cukru, którego dla przyzwoitości możemy dodać nieco mniej (byle nie kosztem smaku!).

Cała idea lavy to płynny środek, który rozlewa się na talerzu i miesza się z dodatkami, takimi jak gałka lodów waniliowych, bita śmietana czy świeże owoce jagodowe, maliny, truskawki czy borówki. Historia tego ciasta nie jest jednoznacznie określona, kilku kucharzy przypisuje sobie autorstwo tego przepisu. Jeden z nich ponoć zainspirował się gorącą czekoladą, przy której rozgrzewała się rodzina podczas jazdy na nartach. Mogło tak być, bo lava cake podaje i je się na gorąco, tak jak gorącą czekoladę, którą przypomina.

Wykonanie jest bardzo proste i nie wymaga mistrzowskich umiejętności. Wystarczą czekolada, jajka, mąka i cukier. Najważniejszy jest czas pieczenia. Ważne, aby ciasta nie przeciągnąć. Wystarczy dosłownie kilkanaście minut i gotowe.



FOT. ADOBE STOCK

Fondant czekoladowy:

• forma 20 cm • 3 czekolady min. 64 proc. • 6 dużych jaj • 100 g mąki pszennej • 1 szklanka cukru (u nas ¾ i też jest dobrze) • 100 g masła • cukier puder do posypania ciasta • szczypta soli do ubijania białek i kolejna szczypta do ciasta

Czekoladę z masłem roztapiamy w kąpieli wodnej, aż będzie płynna i aksamitna. Żółtka oddzielamy od białek i ucieramy z cukrem na puszysty kogel-mogel. Czekoladę odstawiamy, chwilkę czekamy, aż przestygnie. Delikatnie mieszamy z utartymi żółtkami. Ubijamy białka z solą na sztywną pianę i partiami przekładamy do żółtek. Na koniec wszystko razem delikatnie mieszamy i przekładamy do foremki wyłożonej papierem do pieczenia. Wkładamy do piekarnika nagrzanego do 190 st. C na 15 min. Wyłączamy piekarnik, czekamy jeszcze chwilkę i wyjmujemy. Posypujemy cukrem pudrem. Podajemy z gałką lodów, świeżymi, owocami lub bitą śmietaną. Smacznego! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Trzy dni w Szanghaju

Przed naszym 20-piętrowym blokiem leży stos paczek. Nikt ich nie rusza, czekają widocznie na kuriera, który je rozdzieli na dziesiątki, może nawet setki odbiorców. Człowiek się dziwi, że w ogóle jeszcze ktoś w Chinach kupuje w sklepie.

O tyle łatwiej jest zamówić. Dwa kilogramy pomarańcz, herbata, gąbki kuchenne? Kurier przyniesie pod drzwi.

Jesteśmy w Szanghaju. Wiele jest tu rzeczy dziwnych dla człowieka, który przyjechał z Europy. Ulice bez jednego śmiecia, bo jeśli ktoś rzuci papierek, to zaraz na swoją wielką śmietniczkę zgarnie go jeden z setek śmieciarzy. Segregujemy śmiecie w mieszkaniu, ale i tak przypisana do altany śmieciowej pracowniczka dokona ponownej analizy, bo wiadomo – lokatorzy nie umieją.

Można się przyzwyczaić do wszechobecnego tłumu: w metrze, na ulicach. Nie jesteśmy w Polsce wzorem organizacji społecznej, ale jednak pewne cywilizowane zachowania są już normą. Przynajmniej w metrze. Zanim wejdziemy, czekamy, aż pasażerowie wyjdą. Tu w drzwiach do wagonu odbywa się bitwa na pięści między wychodzącymi i wchodzącymi. Ci drudzy nie zamierzają czekać, aż przejście się zwolni, i atakują, skutkiem czego dwie zacięte grupy staczają bezlitosny pojedynek w drzwiach wagonu.

Kto przetrwał i zdążył wsiąść, ten pędem rzuca się na wolne miejsce, o ile jest takowe.

Ciekawe, bo w innych sytuacjach Chińczyk jest uprzejmy, uśmiechnięty, nawet pełen kurtuazji. Kłania się w pas, uśmiecha, składa dłonie w podziękowaniu. To miłe, zwłaszcza w porównaniu ze Słowianinem, który burknie pod nosem jakieś marne „dziękuję". I to nie zawsze.

Jadamy na mieście, co jest tutaj niezwykle łatwe i tanie. Początkowo wydawało nam się, że „chińskie jedzenie" będzie wszędzie takie samo. Pierwszy weekend przez arkana gastronomii prowadziły nas nasze dzieci (syn jest wykładowcą szanghajskiego uniwersytetu). Potem trzeba było przejść na samodzielność. Porażek było więcej niż sukcesów. Apetycznie wyglądająca na kolorowym menu potrawa okazywała się mieszanką cynaderek, chrząstek, kurzych łapek, skór (nieznanego zwierzęcia) oraz świńskich uszu.

Podobno dla oszczędnych Chińczyków nie ma niejadalnej części zwierzęcia, ale gdy ten uzdolniony kulinarnie naród to wszystko umiejętnie przyprawi kolorowymi papryczkami i podleje sosem, wygląda całkiem przyjemnie. Do tego gorąca woda, podobno dobra na trawienie. Nie ma także napiwków. Ani papierowych biletów, rachunków w sklepie. Komórka robi wszystko. Otwiera drzwi, wpuszcza do metra, płaci.

Czekam, aż komórka urodzi dziecko i pomoże staruszkowi przejść przez ulicę. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskich klechdach

Postępowa oficyna „Laterza edizioni" wydała podręcznik historii najnowszej pt. „Wątki czasu", przeznaczony dla wyższych klas licealnych. Można w nim wyczytać, że „rząd Meloni, który doszedł do władzy po raz pierwszy 100 lat po marszu na Rzym i 77 lat po wyzwoleniu spod faszyzmu, reprezentuje partię, która przejęła faszystowskie dziedzictwo i otwarcie deklaruje faszystowskie poglądy. Wprowadził represje godzące w swobody obywatelskie, wydał wojnę migrantom, realizując plan deportacji i kryminalizując migrantów w mediach. A przecież to dzięki migrantom włoska gospodarka wyszła z długiego i głębokiego kryzysu".

Naturalnie można wzruszyć ramionami, popukać się w głowę i zapomnieć, gdyby nie to, że troje po uszy zaangażowanych ideologicznie i politycznie autorów, pisząc te brednie, popełniło edukacyjną zbrodnię: zamiast uczyć młodzież myśleć, uczy ją, co ma myśleć, łżąc przy tym bezprzykładnie. W końcu podręcznik historii to nie kolportujące takie i podobne brednie komunistyczne dzienniki „Il Manifesto" czy „L'Unità".

Po części dzięki takim zabiegom propagandystom udało się zrobić wielu Włochom wodę z mózgu. Podczas obchodzonej niedawno rocznicy upadku muru berlińskiego można było z ust lewicowych polityków usłyszeć, że mur wznieśli nacjonaliści i suwerennościowcy (sic!), a jego obalenie oznaczało koniec podzielonej Europy i świata podzielonego na dwa bloki (Anna Ascani, lewicowa wiceprzewodnicząca Izby Deputowanych). Naturalnie o tym, że mur zbudowali niemieccy komuniści nie bez udziału Kremla, ani słowa. Natomiast wiele mówiło się o tym (europarlamentarzysta Sandro Gozi), że teraz nacjonaliści i suwerennościowcy chcą na nowo budować mury w Europie. Pomieszało się również w głowie, i to z kretesem, lewicowej senatorce Tatjanie Rojc. Niewiasta ujawniła, że posiada cenny talizman: kawałek berlińskiego muru jako symbol... nadziei na przyszłość.

Co więcej, pojawiają się znów akcenty prosowieckie. Kandydat na burmistrza Mediolanu Lorenzo Pacini, chyba chory na głowę, niedawno agitował: „Który kraj jako pierwszy zalegalizował aborcję i jako jeden z pierwszych rozwody? Związek Sowiecki. Chleb, pokój i wolność! To jest socjalizm!". Chociaż niewykluczone, że Pacini zawlekł tę chorobę prosto z Rosji. Jako wolontariusz międzynarodowej organizacji Youth Action for Peace pracował w Sankt Petersburgu, w Woroneżu, a nawet na Sołowkach (gdzie poeta Iwan Bezdomny na Patriarszych Prudach chciał zesłać Immanuela Kanta). ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wciąż jesteśmy w pandemii

Przyszły dane z NFZ. Dla mnie najbardziej miarodajne, co do obecnego trendu, jest porównanie ich z czasami covidowymi. Wiadomo, słyszeliśmy o tym: były to czasy wyjątkowe, wyjątkowe procedury, wyjątkowe hospitalizacje (tzw. ujednoimiennianie szpitali), potworne obłożenie pracowników służby zdrowia i gwałtowny skok ich zarobków związanych z tzw. dodatkami covidowymi, które były przyczyną różnych patologii polegających na dopisywaniu COVID-19 całkiem konwencjonalnym chorym czy zgonom pacjentów.

Okazało się, że po pandemii te trendy wcale nie wróciły do swoich przedpandemicznych poziomów. Popatrzmy: hospitalizacje wróciły do normy sprzed COVID-19 (ok. 8 mln), ale wracały powoli – po gwałtownym spadku w roku 2020 (start pandemii) podnosiły się powoli i dopiero w 2025 r. doszły do poziomu z roku 2017. To tak, jakby pandemia zakaziła nie tyle chorych, ile służbę zdrowia, ponieważ ta dochodziła do siebie przez siedem lat, z czego pięć lat po pandemii.

Średni czas oczekiwania na wizytę w NFZ też wygląda (nie)ciekawie: od roku 2020 do końca pandemii zwiększył się z kwartału do trzech i pół miesiąca, za to po pandemii skoczył do czterech i pół miesiąca. A więc w służbie zdrowia pandemia trwa w najlepsze. Może to jest efekt tego, że kolejkę wydłuża zwiększona liczba chorych? Ale wtedy dostaniemy dowód na odłożony po pandemii dług zdrowotny, kiedy pandemiczna zapaść służby zdrowia, poprzez nieleczenie, wyhodowała sobie na przyszłość falę niewykrytych, a więc nieleczonych chorób już w ostrym stanie. Falę, która obecnie zalewa służbę zdrowia.

Teraz koszty prywatnej wizyty: w pandemii przeciętny wynosił 125 zł, dziś (to znaczy na 2025 r.) wynosi średnio 230 zł, a więc praktycznie podwoił się. Obecnie o takich kosztach wizyty można tylko pomarzyć, zaczynają się od 300 zł wzwyż.

Na koniec crème de la crème: zarobki lekarzy. W pandemii mieliśmy skok o ponad 100 proc., ale myli się ten, kto myśli, że to z powodu li tylko dodatków covidowych. Gdyby tak było, to po pandemii zarobki lekarzy nie wzrosłyby o kolejne 13 proc. Oczywiście są to dane oficjalne i nie uwzględniają obecnie wykrytych (rzecz jasna, jednostkowo) przypadków pracy na etatach przekraczających 24 godziny na dobę.

Mamy więc finansowo i dostępowo sytuację taką, jakbyśmy byli wciąż w pandemii. A przypomnę, że Fundusz Covidowy ciągle działa i wydaje pieniądze. Dowodzi to stałego trendu, że procedury nadzwyczajne wprowadza się szybko, lecz potem wcale się ich nie wyprowadza. System z chęcią przyjmie pieniądze. Każde. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Kto załamie się pierwszy?

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Ciekawe wydarzenia miały ostatnio miejsce w położonej na obrzeżach Kijowa miejscowości Petropawliwska Borszczahiwka. Jak opisuje portal Onet.pl, „w prywatnym budynku działał tam tymczasowy punkt dyslokacji jednego z oddziałów Gwardii Narodowej Ukrainy". Oddział, o którym mowa, nie był jednak zwykłą jednostką wojskową. Należał do utworzonego niedawno korpusu Azow i pełnił funkcję improwizowanego więzienia dla dezerterów i mężczyzn uchylających się od służby wojskowej. Zgodnie z relacją Onetu, „w mediach społecznościowych zaczęły rozprzestrzeniać się informacje o tym, że w piwnicy budynku ma być przetrzymywanych nawet 40 osób. Pojawiały się również doniesienia o torturach, ciężko rannych osobach, a nawet o śmierci jednej z przebywających tam osób". W reakcji na te pogłoski „wokół budynku zaczęli gromadzić się ludzie, wśród których byli krewni wojskowych. Domagali się wypuszczenia wszystkich znajdujących się w środku".

W zamieszkach, w których uczestniczyło kilkaset osób, zniszczone zostały cztery samochody policyjne i autobus, należący do Gwardii Narodowej. Jak informuje ukraińska prasa, policja zidentyfikowała już ponad 130 uczestników tych zajść, z których kilkoro zostało aresztowanych. Postawiono im zarzuty „utrudniania działalności Sił Zbrojnych Ukrainy" oraz wywoływania niepokojów społecznych.

Skomentował tę sytuację Valentyn Dziubenko, oficer do spraw komunikacji korpusu Azow. Na Ukrainie „standardową praktyką" ma być umieszczanie żołnierzy w zwykłych, wynajmowanych domach prywatnych, stojących wśród cywilnych budynków. „Ze względów bezpieczeństwa większe ilości żołnierzy nie są kwaterowane w pojedynczych lokalizacjach, zwłaszcza w bazach wojskowych, których położenie może znać nieprzyjaciel". Potwierdził to inny oficer Azowa, Pavlo „Kil" Kurczenko. „Zgodnie z instrukcjami nasi żołnierze zakładają cywilne ubrania, kiedy opuszczają budynki, i starają się być jak najmniej widoczni. Personel wychodził na ulicę tylko po zmroku. Staramy się być bezpieczni, zachowujemy się dyskretnie i nie zwracamy na siebie uwagi".

Konwencja genewska, której sygnatariuszem jest Ukraina, kategorycznie zabrania ukrywania obiektów wojskowych wśród zabudowań cywilnych. „Obecność ludności cywilnej nie może być wykorzystywana w celu osłaniania celów wojskowych przed atakami" – głosi artykuł 51 tej konwencji. „Strony konfliktu zobowiązane są unikać lokalizowania celów wojskowych wewnątrz lub w pobliżu obszarów cywilnych". Łamanie tych zapisów stanowić może zbrodnię przeciw ludności cywilnej.

W zaskakujący sposób wyjaśnia ukraińska prasa to, iż wielu przetrzymywanych w budynku mężczyzn wymagało pomocy medycznej. Kilkunastoletni chłopiec, którego sparaliżowaną strachem twarz zobaczyć można na kanale YouTube, „sam wszedł na drzewo rosnące przy ogrodzeniu otoczonego przez tłum budynku, z którego spadł nieszczęśliwie po drugiej stronie płotu". Uwolniony żołnierz, imieniem Ivan Yareshko „był pod wpływem narkotyków", więc trzymano go w izolatce. Tam dopiero „zaangażował się w działania tożsame z samookaleczeniem". Kolejny przetrzymywany wojskowy leczyć się miał w szpitalu z powodu potrzaskanego kręgosłupa. Podczas kuracji szpitalnej zdołał się jednak upić i oddał mocz na szpitalnym dziedzińcu. Przeniesiono go więc do „punktu dyslokacji", zapewniając jednak, zgodnie ze wskazówkami troskliwych lekarzy, „możliwość pozostawania w pozycji leżącej".

Dowódca korpusu Azow, nagrodzony tytułem „Bohatera Ukrainy" i orderem Bohdana Chmielnickiego pułkownik Denis Prokopenko, cytowany przez brytyjskiego polityka, lorda Ashcrofta, powiedział: „To jest wojna na wyczerpanie. Rosja też je odczuwa, choć próbuje to ukryć. Jeśli pozostaniemy silni, to Rosja załamie się pierwsza". O ile nielegalne więzienia, ukryte wśród cywilnych osiedli, uznać za wyraz siły, o tyle pułkownik Prokopenko trzyma się swoich planów. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Walka o duszę świętego miasta



KRYSTIAN KRATIUK

Walka o duszę Krakowa trwa od dekad, ostatnio zaś wyraźnie przyspieszyła. Nasze miasto przez całe wieki było wszak miastem świętych i miastem świętym. Tak, miastem świętym – choć przecież nie miastem bezgrzesznym.

Było też miastem świętych – chodzących niegdyś tymi samymi uliczkami, którymi my chodzimy dzisiaj. Żadne inne polskie miasto, z całym dla nich szacunkiem, nie jest pod tym względem miejscem aż tak symbolicznym.

To w Krakowie św. Stanisław ze Szczepanowa oddał życie w obronie ładu moralnego, któremu podlega także król. Przy Stolarskiej spoczywa św. Jacek Odrowąż, u św. Anny – św. Jan Kanty, pod Wawelem u bernardynów – św. Szymon z Lipnicy, a w Kościele Bożego Ciała – św. Stanisław Kazimierczyk. Na Wawelu przechowywane są relikwie bł. Wincentego Kadłubka, u św. Marka spoczywa tamtejszy zakrystian bł. Michał Giedroyć, a u franciszkanów – piastowska księżniczka bł. Salomea i krakowska służąca bł. Aniela Salawa. Na Zwierzyńcu spoczywa bł. Bronisława, przy ulicy Smoleńsk – bł. Maria Angela Truszkowska. Przy Szpitalnej bł. Zofia Czeska otworzyła swój dom dla ubogich dziewcząt. Na Prądniku Czerwonym czczeni są św. Brat Albert i bł. Bernardyna Jabłońska, a u św. Mikołaja spoczywa bł. Hanna Chrzanowska, pielęgniarka, która odwiedzała chorych w ich domach.

Mało? Też coś!

To na Wawelu pochowany jest jedyny święty polski monarcha – królowa Jadwiga. To do krakowskich Łagiewnik przybył Chrystus, by za pośrednictwem św. s. Faustyny objawić światu swoje miłosierdzie, i to wreszcie stąd na Stolicę Piotrową wezwany został Jan Paweł II.

Dziś w Krakowie jest 140 kościołów, a już w pierwszej połowie XVII w. – gdy Kraków wraz z Kazimierzem, Kleparzem i przedmieściami liczył ok. 30 tys. mieszkańców – stało tu aż 50 kościołów i kaplic!

Kraków tak mocno kojarzy się ze świętością, że jeden z dziennikarzy szwedzkich mediów, widząc niedawno obrazki z ostrzelanego Krakowa, w absurdalnych słowach sugerował, że zamach może mieć jakieś podłoże religijne, gdyż do strzałów doszło… w okolicach Kościoła Mariackiego. Nie miał zapewne świadomości, że tylko na krótkiej przecież trasie zabójczego rajdu Michała Oksińskiego stoi ok. 10 innych świątyń… Tutaj wszystko dzieje się koło jakiegoś kościoła!

Jednocześnie od dekad trwa walka o duszę naszego pięknego miasta – wszak diabeł, jako małpa Boga, uporczywie próbuje obrócić wszystko do góry nogami.

Jeśli zatem do Krakowa przez wieki przybywały tłumy pielgrzymów, by oddawać cześć Bogu w Jego świętych, tak w naszych czasach miasto zaczęło reklamować się za granicą jako cel pijackich wyjazdów czy erotycznych weekendów. Przez lata borykaliśmy się w tej uświęconej przestrzeni z nachalnymi naganiaczkami do barów ze striptizem, a Rynek przerodził się w scenę zagranicznych wieczorów kawalerskich. Mieszkańców centrum miasta zaczęto zmuszać do wyprowadzki, aby oddać przestrzeń coraz głośniejszym turystom. Ulicami, którymi kroczyli święci, przez ostatnie dwa lata pod patronatem prezydenta miasta przechodziły parady równości. Pod papieskim oknem feministki krzyczą o zabijaniu dzieci, na magistracie wiszą tęczowe flagi, o wybrykach krakowskiego artystowskiego półświatka nawet tu nie wspomnę.

Zamach terrorystyczny z początku listopada tylko pogłębił nasze poczucie przegrywanej z roku na rok walki o duszę Krakowa. Oto zło w czystej postaci, pędzące autem i strzelające do przypadkowych ludzi, zamanifestowało się w tej uświęconej przestrzeni, pokazując wprost, jak wygląda świat pozbawiony zasad moralnych, którym hołdowali zapomniani już święci.

I oto nasza – Polaków – ostatnia wspólna duma (a niewątpliwie byliśmy dumni z tego, że na tle innych miejsc w Europie pozostajemy bardzo bezpiecznym krajem) też umarła pod kulami zamachowca.

Kraków do tej pory w światowych mediach przedstawiano jako najbezpieczniejsze z pięknych miejsc. A teraz wszyscy pokazują Kraków niebezpieczny.

Ale walka o duszę miasta wciąż trwa. I toczy ją nie tylko Zły. I nie tylko jego słudzy. ©℗

To na Wawelu pochowany jest jedyny święty polski monarcha – królowa Jadwiga. To do Łagiewnik przybył Chrystus za pośrednictwem św. s. Faustyny. I to stąd na Stolicę Piotrową wezwany został Jan Paweł II

eprasa.pl 8645d9a30d

WYCHÓW



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jak wychować chłopca na mężczyznę? Jak go wychować, aby potrafił stanąć w obronie innych? Co trzeba robić, by był mężny, odważny, a gdy zajdzie konieczność, bohaterski? W mojej wiosce jest Ochotnicza Straż Pożarna. Gdy szukam kogoś solidnego, zaczynam od strażaków. Oni trenują młodych. Ojciec trenuje syna, czasem wuj lub sąsiad. Potem chłopcy rosną i są gotowi wbiec do płonącego budynku, aby kogoś zasłonić własnym ciałem i uratować. Nie trenuje się ich na bohaterów, choć czasami bohaterami zostają.

Trening to obowiązki. Wóz strażacki jest atrakcyjną zabawką, ale chłopcy się uczą, że trzeba go szorować, smarować i utrzymywać w gotowości. Trzymanie sikawki to świetna zabawa do chwili, gdy odkręcą wodę i wtedy okazuje się, jaka to ciężka fizyczna robota. Wielu chłopaków odpada po kilku lekcjach. Ci, którzy zostają, uczą się, jak być mężnym, odważnym.

***

Obaj policjanci z Krakowa – Artur Morański i Jakub Kulik – byli ministrantami w swoich rodzinnych parafiach. Tak podała redakcja „Gościa". Jakub Kulik przez wiele lat służył w Parafii pw. Chrystusa Króla w Bielsku-Białej. Mimo że miał daleko do kościoła, był bardzo obowiązkowym ministrantem. Ówczesny opiekun ministrantów mówi tak: To bardzo solidny i obowiązkowy chłopak. Nie pyskował. Zawsze to, co miał do zrobienia, robił solidnie, bez problemów.

Potem ministrant został żołnierzem, a po zakończeniu służby w wojsku wstąpił do policji i wziął na siebie kule terrorysty.

Jak wychowywać młodych chłopaków, aby byli tacy jak ci dwaj policjanci z Krakowa, a nie tacy jak zamachowiec?

Obie strony umiały dobrze strzelać, więc to nie o trening strzelecki chodzi. Jedna strona strzelała, by zabijać niewinnych. Druga strzelała, aby niewinnych ratować.

O zamachowcu wiemy mało, ale są zdjęcia z jego profilu. Zdjęcia złe, złośliwe, wredne. Z kolei zdjęcia policjantów… twarze dobre, przyjemne, uprzejme. Przy okazji zwróciło moją uwagę sformułowanie „nie pyskował". Czyli dzisiaj jest tak źle z wychowaniem, że ministranci potrafią księdzu pyskować, a ten jeden się wyróżniał, bo nie pyskował.

Jak wychować chłopaka, aby był solidny, mężny, odważny, uprzejmy i na pierwszy rzut oka DOBRY z wyglądu? Jak to zrobić, aby nie został terrorystą o paznokciach lakierowanych na czarno?

***

Cytat:

... od lat upupiamy chłopców. Wychowawczyni mówi, że „nieważne, kto zaczął", a katechetka robi z Kazania na Górze instrukcję pokornego przegrywania. Chłopiec, który stanął w obronie słabszego, dowiaduje się, że powinien być „ponad to". Ten, który oddał dręczycielowi, słyszy, że dobry chrześcijanin nadstawia drugi policzek.

Jasne, dziecko trzeba uczyć panowania nad gniewem. Trzeba tępić okrucieństwo, pogardę dla słabszych i rozwiązywanie pięściami spraw, które można załatwić słowem. Ale czym innym jest wychowanie siły, a czym innym jej amputacja.

Dobro zaczyna się wtedy, gdy człowiek zdolny do użycia siły świadomie poddaje ją rozumowi i sumieniu. Nie potrzebujemy mężczyzn nieszkodliwych. Potrzebujemy mężczyzn dobrych. Takich, którzy potrafią zatrzymać wilka, ale nie szukają pretekstu, żeby samemu biegać po lesie z wyszczerzonymi zębami.

Syn powinien być sprawny fizycznie, umieć udzielić pierwszej pomocy, zachować zimną krew w sytuacji zagrożenia i znać podstawy samoobrony. Gdy dorośnie, powinien znać prawo oraz potrafić bezpiecznie posługiwać się legalnymi narzędziami obrony, także bronią. Nie po to, by każdy spór kończyć strzałem, ale po to, by w chwili, w której stawką będzie życie, nie stać z pustymi rękami i pustą głową. (To mój skrót tekstu „Dobry mężczyzna musi umieć użyć przemocy" Mateusza Ochmana opublikowanego na portalu PCh24.pl).

***

Napisał do mnie facet, którego żona twierdzi, że oceny dzieci w szkole nie powinny być ujawniane, ponieważ to prowadzi do obniżenia samooceny i zniechęca dzieci o gorszych wynikach. I to są twierdzenia współczesnej psychologii. A co na to antropologia? Dzieci to homo sapiens. Homo sapiens to drapieżnik. Drapieżniki mają w naturze konkurencję, ściganie się, gonitwę i wyprzedzanie innych. Drapieżniki, gdy są małe, bawią się we współzawodnictwo i to część ich NATURALNEGO rozwoju. Małe kotki walczą ze sobą, gryzą się, wywracają i to je cieszy. Dzieci też to lubią – baraszkują. Nikt nie lubi przegrywać, ale każdy lubi wygrywać. To, co proponuje współczesna psychologia, oznacza, że nie ma wygranych i przegranych, bo nikt nie wie, kto wygrał, kto przegrał. Ktoś kocha swoje dzieci i dlatego chce im oszczędzić porażki. Niedobrze! Porażki dopingują i uczą.

***

Pamiętam, gdy moja Mama przyszła z wywiadówki w szkole i powiedziała mi, że jestem najlepszy z matematyki. Świętowaliśmy ten dzień, byłem dumą rodziny. (A współczesna psychologia proponuje, by dzieci nigdy nie dowiadywały się, że są najlepsze).

Potem, właśnie dlatego, że byłem najlepszy, uczyłem się pilnie, bo chciałem utrzymać tę pozycję. Ale jednocześnie zrobiłem się okropny, pyszny, niegrzeczny. Jestem prymusem, to mi wszystko wolno. Na kolejną wywiadówkę w szkole poszedł Ojciec.

Wrócił z informacją, że nadal jestem najlepszy z matematyki, ale jednocześnie jestem najgorszy z zachowania.

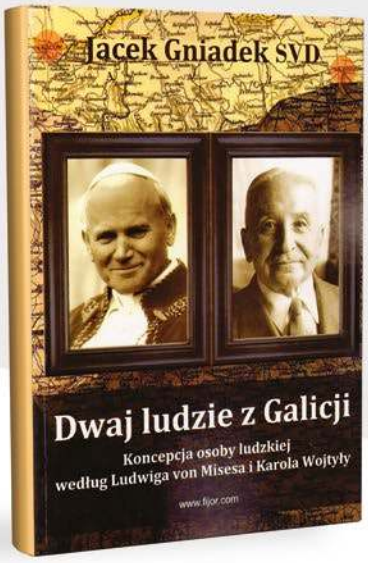
Dostałem wtedy tort. Cała rodzina siadła do tortu i to był mój tort – nagroda za wybitne osiągnięcia z matematyki – ale byłem jedyną osobą w domu, która nie jadła tego tortu – za karę za złe zachowanie. Miałem tort w nagrodę – i jednocześnie nie miałem tortu za karę. Pamiętam to do dziś. Tak się prawidłowo wychowuje drapieżniki homo sapiens. One muszą być wystawione na sukcesy i porażki, kary i nagrody. Wychów musi być zimny albo gorący. Nigdy nijaki. ©℗

eprasa.pl 8645d9a30d

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8645d9a30d

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 8645d9a30d